

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

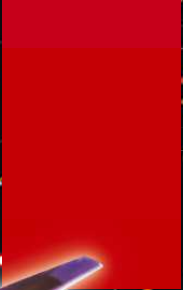
WOLNA
SOBOTA



**ADAM
NERGAL**
Miałem problem
z „kocham” ► 22



**WYSOKIE
OBCASY**
Przecierają
szlaki
50 Śmiałych



GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

Szczęśliwego 2025!
Niech nam pójdzie jak po maśle



Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198

52>
ISSN 0860-908X
9 770860 908167

Tusku, znowu musisz

Polska od morza do morza

Nie dosłownie, jak za Jagiellonów. Ale możemy odgrywać w Unii Europejskiej podobną rolę



Bartosz T. Wieliński

– Drzwi się u mnie nie zamykają – mówi mi dyplomata z długim stażem urzędujący w jednej z bardzo ważnych stolic w Europie. Wszyscy chcą z Polską konsultować: bezpieczeństwo, migracje, rolnictwo, wszystko. Spotkania za spotkaniem z innymi dyplomatami, z urzędnikami, ministrami.

W styczniu Polska zaczyna prezydenturę w UE. Po nieudanym przewodnictwie Węgier, podczas którego Viktor Orban Unii tylko szkodził, na przykład jadąc na własną rękę do Putina, w sprawach ważnych dla wspólnoty działa się niewiele. Polska musi teraz nadrobić stracony czas.

Jest jasne, że Węgrzy będą wetować wszystkie kwestie związane z Ukrainą, a relacje z Polską zostały zerwane po tym, jak Orban udzielił azylu poszukiwanemu listem gończym byłemu wiceministrowi sprawiedliwości Marciniowi Romanowskiemu. Polscy dyplomaci będą musieli znaleźć sposób, by węgierskie blokady omijać i nie ulegać szantażom Budapesztu. A jednocześnie trzeba Węgrom przykręcić śrubę, bo numer z azylem nie może ująć im na sucho.

Węgierskie zagrywki to jednak tylko lekka niestrawność w porównaniu z tym, co Europę czeka w pierwszej połowie 2025 r. Donald Trump jest zagadką i dla przeciwników, i dla sojuszników USA. Im bliżej jego inauguracji, tym więcej źle wróżących pomruków – o aneksji Kanady, wymuszeniu sprzedaży Grenlandii, inwazji na Meksyk. Które raczej nie są na poważnie, ale pokazują podejście ekipy, która zaraz wprowadzi się do Białego Domu.

Główny problem oczywiście dotyczy Ukrainy, a tu też nie ma jasno-



ści, czy Trump wesprze ją, czy odtęnie pomoc i zmusi do przyjęcia upokarzających rosyjskich warunków. Europa nie może dopuścić do sytuacji, w której jakiegokolwiek decyzje o przyszłości wielkiego europejskiego kraju, sojusznika UE, zostaną podjęte bez udziału Europejczyków, w tym samych Ukraińców, tylko przez Trumpa i Putina.

Ale Europa potrzebuje przywódców, a na liderów tradycyjnych potęg, Emmanuela Macrona i Olafa Scholza, nie za bardzo może liczyć. Francja i Niemcy pograżyły się w politycznym chaosie. Macron przynajmniej trzyma fason w polityce międzynarodowej, natomiast Scholz skompromitował się i na tym polu – prowadząc dialog z Putinem, by poprawić sobie notowania przed przedterminowymi wyborami w lutym, stracił resztki wiarygodności.

Wybory zresztą i tak przegra. A wtedy na europejskiej scenie zostaje polski premier. Tylko że Donald Tusk wcale nie kwapi się, by nadawać ton w Europie.

Słyszałem taką opowieść. Trwa jedno z wielu spotkań europejskich przywódców, które po ośmiu latach przerwy odbywały się w ostatnim roku w Warszawie. Premier Danii Mette Friedriksen mówi do Tuska: „Donald, you're most senior here”, wskazując, że Polak z obecnych unijnych przywódców ma najdłuższe doświadczenie, był zresztą szefem Rady Europejskiej i w związku z tym jego zdanie ma najważniejsze znaczenie. A Tusk robi unik i obraca to w żart, grę angielskich słów. – Tak, jestem najstarszy, mam 67 lat – mówi.

Nie chce, ale chyba będzie musiał... Trump nie jest pierwszym amerykańskim prezydentem, który domaga się, by Europa wzięła odpowiedzialność za własne bezpieczeństwo.

Gdy Scholz przegra wybory, na europejskiej scenie zostanie Donald Tusk

Europejscy przywódcy gadali o tym przez ostatnie ćwierć wieku, ale nie tylko nie powstała europejska armia, ale istniejące armie Europy zostały praktycznie rozbijane. To, że z takim trudem dostarczamy broń i amunicję dla walczącej Ukrainy, jest tego konsekwencją.

Z jednym wyjątkiem. Polska ustawiła bezpieczeństwo jako główny priorytet dla Unii i daje dobry przykład. Żaden kraj w NATO nie wydaje tyle na obronność, co my. To prawie pięć proc. PKB.

Wokół kwestii obronności i wspólnego frontu wobec Ukrainy Tusk i Radosław Sikorski konsolidują inne ważne kraje Unii Europejskiej. Tusk niedawno zacieśnił relacje z krajami nordyckimi i bałtyckimi, Sikorski regularnie współorganizuje zjazdy szefów dyplomacji krajów tzw. wielkiej piątki, czyli Polski, Niemiec, Francji, Włoch i Hiszpanii, doprasza do nich Wielką Brytanię i Ukrainę.

Polska – to rzecz bez precedensu – nadaje w tej chwili ton dyskusji o bezpieczeństwie Europy. I tę polską opowieść o wielkiej inwestycji w obronność, o ochronie europejskich granic, o solidarnym wsparciu Ukrainy Europa może sprzedawać Amerykanom. Tego przecież od Europy oczekują.

Prezydent Macron przyjeżdża do Warszawy rozmawiać o możliwych scenariuszach rozejmu na Ukrainie. Przyjeżdża Friedrich Merz, szef niemieckiej chadecji, najprawdopodobniej przyszedł kanclerz. W przyszłym roku być może przyleci Trump. Szczerze mówiąc, nie wierzyłem, że tak szybko Polska wróci do gry.

Po latach dewastacji dyplomacji, nieustannych międzynarodowych awanturach, marginalizacji Polski w Unii, wydawało się, że partnerzy będą patrzeć na Polskę podejrzliwie. Nic takiego nie ma miejsca, bo zmieniła się również Europa.

Polska nie jest już w Unii Europejskiej ubogim krewnym, którego wpuszczono do klubu i nieustannie poucza się, jak ma się zachowywać, w co się ubrać, co jeść. Stara Europa po serii ostatnich kryzysów osłabła. Polska ma za sobą ćwierć wieku intensywnego rozwoju, sama wyzwoliła się z oków prawicowego populizmu, ma premiera, który ma międzynarodowy autorytet i za którym stoi stabilna większość. To przepis na dobrą przyszłość. Ale...

Tusk zdaje sobie sprawę, że polityką zagraniczną, nawet najbardziej spektakularnymi posunięciami, nie wygrywa się wyborów. Wybory wygrywa się polityką krajową.

Gdy w październiku zapytałem premiera, dlaczego więcej uwagi poświęca polskiemu podwórku niż Unii, odpowiedział, że nie może zrobić nic lepszego dla Unii niż to, co robi dla Polski. – Nic gorszego nie może Polski i Europy spotkać, niż powrót do władzy ludzi, których celem było nieustanne atakowanie tego, co jest istotą europejskości i gwarancją obecności Polski w UE – mówił.

W kampanii przed wyborami prezydenckimi to, że ich stawką jest miejsce Polski w Europie, nie będzie miało żadnego znaczenia. – Jedyne, co możemy przewidzieć, to że sytuacja jest nieprzewidywalna – mówi mi jeden z dyplomatów.

Zdarzyć może się dosłownie wszystko. Trzeba się liczyć ze scenariuszem, że nie tylko Rosja – co jest oczywiste – będzie mieszać się do polskich wyborach. To samo może zrobić nowa amerykańska administracja. PiS i ich węgierski sojusznik Orban o to Trumpa wręcz proszą, wszak dla Jarosława Kaczyńskiego wybory to sprawa gardłowa. W razie przegranej wielu jego przybocznych – a może i on sam – stanę przed perspektywą spędzenia kilku laty w więzieniu.

A więc w 2025 r. Polska może wybić się na wielkość. Albo pograżyć się w otchłani – jeśli ulegniemy samozadowoleniu i będziemy wzajemnie poklepywać po plecach, że już wszystko w porządku i może być tylko lepiej. ●

Kod dostępu do Wyborcza.pl



ILUSTRACJA NA OKŁADCE: MONTAŻ: JAKUB PIOTROWSKI, ŁUKASZ IŻYK, MARIUSZ ROSA

FOT. EVAN VUCCI/ AP PHOTO/ EAST NEWS, SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, EPA/CAROLINE BREHMAN, PAP/MARCIN GADOMSKI, MOIZ SALHI/ANADOLU VIA GETTY IMAGES, KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL, REUTERS/ VALENTYN OGIRENKO, TONY LEPRIEUR PHOTOGRAPHY/SHUTTERSTOCK, LUDOVIC MARIN/POOL VIA REUTERS, MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Optyzmizm na przekór

Skąd przyplyną czarne łabędzie

Skoro wszyscy mają teraz własną „prawdę” i każdy fakt da się zakwestionować, to może nie ma też jednoznacznie dobrych lub złych wiadomości?



Robert Stefanicki

Rok 2024 oszczędził nam wielkich zaskoczeń. Przy najmniej do grudnia, kiedy runął reżim Baszara al-Asada. Większość Syryjczyków się cieszy, większość świata niekoniecznie, bo dotychczasowe przykłady demontażu dyktatur przez islamistycznych rewolucjonistów nie napawają optymizmem.

Zwycięstwo Trumpa w USA było mniej nieoczekiwane, ale budzi podobnie ambiwalentne uczucia. Jedno plemię się cieszy, drugie niepokoi, a realne skutki od czujemy w kolejnych latach. Nie wykluczone, że uradowani zamienią się w rozczarowanych, a zmartwieni w uspokojonych – albo może się okazać, że nie starczyło wyobraźni, żeby nakreślić prawdziwie czarny scenariusz zmiany w Białym Domu.

Armia Izraela konsekwentnie rozprawia się z „irańską osią”, bombardując co się da w Libanie, Syrii, Jemenie – i dalej obracając w gruzy Strefę Gazy. Tu również mamy dwie alternatywne rzeczywistości. Dla jednych sukces Izraela to zwycięstwo zachodniej cywilizacji, niechby i po trupach. Dla innych bezkarność Izraela w zabijaniu arabskich cywili jest klęską humanizmu. Znów – za wcześniej oceniać, czy Izraelowi uda się trwale zmienić sytuację w regionie na swoją korzyść. Dotychczasowe podobne osiągnięcia były odwracalne. Zagrożenie ze strony najsilniejszego rywala, Iranu, nie zostało zażegnane.

Nie pozwólmy, żeby katastrofy poszły na marne

Czy koniec wojny w Ukrainie, powszechnie spodziewany w przyszłym roku, będzie dobrą wiadomością, jeśli będzie się wiązał z zaakceptowaniem rosyjskiej okupacji zdobytych ziem ukraińskich? Większość trzymających kciuki za Ukraińców powie, że nie, ale warto by zapytać też tych, którzy dzięki wstrzymaniu ognia ocalać życie.

Nawet ta wojna miała jakieś dobre strony: Europa uniezależniła się od surowców z Rosji i zrozumiała konieczność budowy silnej armii, Szwecja i Finlandia dołączyły do NATO, Polacy poratowali ukraińskich przyjaciół w biedzie, a oni – nasz rynek pracy.

Dobrym przykładem względności dobrych i złych wiadomości jest pandemia. Odebrała ży-

cie 7 mln ludzi, zrujnowała wielokrotnie więcej zdrowia fizycznego i psychicznego, wygenerowała olbrzymie koszty. Zarazem przyspieszyła postęp w medycynie, który w przyszłości może uratować więcej istnień. I dała lekcję rządzącym i ekonomistom, jak należy reagować.

Covid-19 był podręcznikowym przykładem „czarnego łabędzia”, jak nazywa się zjawiska bardzo mało prawdopodobne, które jednak od czasu do czasu się pojawiają i mają kolosalny wpływ na rzeczywistość. Autor tej metafory, libańsko-amerykański naukowiec Nassim Nicolas Taleb, uważa wręcz, że to czarne łabędzie pchają świat do przodu.

„Economist” nakreślił scenariusze dziesięciu czarnych łabędzi, które mogłyby się wydarzyć w przyszłym roku, wśród nich trzy o globalnych konsekwencjach: wybuch nowej pandemii; rozmieszczenie przez Rosję broni jądrowej w kosmosie; duża erupcja wulkanu, która wpłynęłaby na produkcję żywności i mogłaby zakłócić transport przez miesiące.

Ofensywa bitcoina

Dolożę do tego łabędzia, który wystartował do lotu na fali wyborów w USA. Wygranymi są nie tylko Trump i ludzie, którzy przez cztery lata będą paść się u jego boku, na czele z Elonem Muskem, ale też rzesza posiadaczy kryptowalut. Nowa administracja jest postrzegana jako przychylna temu rynkowi, więc wycena bitcoina urosła o jakieś 250 proc. od dolka z wiosny, kiedy to założyciela jednej z giełd kryptowalutowych skazano na 25 lat za jedno z największych oszustw finansowych w historii, jak uznali prokuratorzy.

Bitcoin przekroczył już magiczną barierę 100 tys. dol. i rozsądni uczestnicy rynku wyczekują, kiedy bańka pęknie, a nierozsądni liczą zyski. Na fali euforii pojawiają się analizy, co się stanie, jeśli za parę lat jego cena sięgnie miliona dolarów, albo lepiej półtora miliona – bo wtedy kapitalizacja bitcoina zrównałaby się z całkowitą wartością pieniądza fiducyjnego w obiegu.

Niemożliwe? Kryptowaluty są aktywnym czysto spekulacyjnym, nie mają oparcia w żadnym aktywie materialnym. Będą rosnąć tak długo, jak długo będą kolejni chętni do zakupu po wyższych cenach. Niepohamowany wzrost bitcoina oznaczałby rewolucję na wielu płaszczyznach. Dziś banki centralne tylko trzech państw mają znaczące ilości tej kryptowaluty: USA, Chiny i Wielka Brytania. Na dalekim czwartym miejscu jest Salwador, jedyny kraj, w którym bitcoin jest oficjalnym środkiem płatniczym.

Przetasowania miałyby miejsce nie tylko na mapie geopolitycznej. Ludzkość podzieli się na dominującą klasę wczesnych posiadaczy bitcoina i podrzędną kla-

sę pozostałych. „Obecni właściciele staną się najbogatszymi ludźmi, rywalizując z cesarzami, którzy rządzą imperiami w minionych stuleciach. Dosłownie będą posiadać wszystkie pieniądze”, fantazjował Jon Danielsson, dyrektor Centrum Ryzyka Systemowego w London School of Economics. „Ale w przeciwieństwie do najbogatszych ludzi dzisiejszych czasów – Bezosów i Musków, których bogactwo pochodzi z tworzenia firm przynoszących korzyści większości z nas – arystokraci bitcoina nie wniosą żadnego wkładu do społeczeństwa”.

Krypto zacznie wypierać tradycyjne pieniądze, za które będzie można kupić coraz mniej. Nie da się dodrukować bitcoina, bo jego podaż jest ściśle ograniczona. Bitcoin wysie pieniądze z innych aktywów, nie będzie sensu inwestować w cokolwiek innego. Zacznie się kolejne wielkie wymieranie, tylko tym razem to nie będzie wina planetoidy.

Pocieszmy się, że żaden łabędź nie jest całkiem czarny. W wielu kosmologiach zniszczenie jest warunkiem koniecznym przemiany, która umożliwi odnowienie i transformację.

W oczekiwaniu na odświeżającą katastrofę

Spróbujmy poszukać jednoznacznie dobrych wiadomości. Odniesiono dwa zwycięstwa w walce z malarią: Egipt pozbył się jej po 100 latach starań, a pierwsze szczepionki zostały dodane do rutynowych programów szczepień w kilku krajach afrykańskich po udanych pilotażach.

Amerykańscy naukowcy ogłosili przełomowy sukces w dziedzinie transplantologii: wszczepili chłopcu z wadą serca zastawki, które będą rosnąć wraz z dzieckiem. Naukowcy ze Szwecji opracowali badanie krwi, które może wykryć chorobę Alzheimera u osób starszych z 90-proc. dokładnością. Szczepionka łączona na COVID-19 i grypę może wejść do sprzedaży już w 2025 r. Opracowano nowy lek zapobiegający zakażeniom HIV, który wystarczy podać raz na pół roku, co daje nadzieję na zakończenie pandemii AIDS.

Zaskakująco, w obliczu wszystkich tych niekończących się wojen, potrzeby humanitarne spadły w tym roku o ponad 10 proc., tak jak i liczba osób potrzebujących pomocy (323 mln pod koniec listopada wobec 363 mln rok wcześniej). A unijne biuro pomocy humanitarnej OCHA przewiduje, że ten trend utrzyma się w 2025 r.

Tadżykistan i Laos zakazały wszelkich kar cielesnych wobec dzieci, dołączając do 65 innych krajów świata z takimi przepisami. Sierra Leone przyjęło nowe prawo zakazujące małżeństw dzieci. Brazylia zakazała firmie Meta wykorzystywania danych osobowych nieletnich do trenowania sztucznej inteligencji. ●

Agnieszka Kublik



Wiceprezydent Orban

Avienc będzie tak. Na Węgry po azyl udadzą się kolejni wysocy urzędnicy państwa PiS. I azyl dostaną, bo przywódca kraju, który toczy z Komisją Europejską liczne spory o praworządność, uważa, że w Polsce sprawiedliwości nie zaznają. Czyli, przekładając z języka deklaracji na język realnej polityki, ugruntowuje swoją pozycję jako lidera europejskich eurosceptyków.

Orban się wygadał, że kolejka po azyl już się ustawiła. Mogą na niego liczyć Obajtek, Wąsik, Kamiński. Niewykluczone, że Ziobro i Morawiecki. A może nawet sam Kaczyński.

„Im wyższy szczebel, na którym dokonano zbrodni, tym większe prawdopodobieństwo, że będzie uznana nie za zbrodnię, lecz konieczne posunięcie” – pisał Ryszard Kapuściński w „Zegarze piaskowym”. PiS tak właśnie to widzi.

Ma już w Budapeszcie azyl Marcin Romanowski, wiceminister sprawiedliwości odpowiedzialny za Fundusz Sprawiedliwości, z którego miliony płynęły nie do ofiar przestępstw, a na kampanie wyborcze oraz do półprywatnych przedsięwzięć ludzi rządzącej prawicy. Towarzystwo ma przednie, azyl u Orbana dostał były premier Macedonii Nikole Gruewski, w swoim kraju skazany za korupcję i były prezydent Brazylii Jair Bolsonaro, który ukrył się w węgierskiej ambasadzie podczas śledztwa w sprawie zamachu stanu, jaki szykował.

Na Nowogrodzkiej są zakłopotani, bo Romanowskiego bronić nie wypada, ale nie bronić też nie można, bo wtedy wiarę w Kaczyńskiego straci twardy elektorat oraz inni żyjący w lęku przed prokuraturą byli urzędnicy. Ale w duchu cieszą się – bo rząd Tuska będzie z rozliczeniami zmagał się dłużej, niż to sobie wyobrażają wyborcy. A pytanie „dlaczego oni jeszcze nie siedzą?” Polacy wymieniają jako ważny powód rozczarowania Koalicją 15 Października.

Co robi Duda, jeśli Trzaskowski zwycięży, ale minimalną ilością głosów?

wczesna. Szef Komisji, Sylwester Marcinia, usiłuje przegłosować to, co komisja już raz przegłosowała: odroczenie w sprawie decyzji Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego.

PKW odrzuciła sprawozdanie komitetu wyborczego PiS. Izba, która powstała po to, by zadbać o interesy PiS w razie utraty władzy, miała pomóc odzyskać kasę – bo odrzucenie sprawozdania oznacza utratę subwencji, a chodzi o grube miliony – i pomogła. Uchyliła decyzję PKW. W Izbie Kontroli zasiadają sami neosędziowie. A to oznacza, że w myśl wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Trybunału Sprawiedliwości UE to nie jest sąd.

Skoro zaś Izba nie jest sądem, PKW musiała odroczyć decyzję. Nie miała wyjścia, bo przyjąć lub odrzucić uchylene Izby nie może, skoro Izby nie ma. Ale zignorować jej też nie może, gdyż Izbę uznaje za legalną nie tylko poseł Kaczyński i PiS – oni mogą jedynie wygłaszać opinie – ale też Andrzej Duda, najwyższa osoba w państwie.

A Marcinia zmusza PKW, by znowu i znowu głosowała nad decyzją Izby. Bo może przy kolejnym głosowaniu nad tym samym – co jest nielegalne w myśl kodeksu wyborczego i regulaminu PKW – dostanie w końcu wynik pomyślny dla PiS. A nuż ktoś w głosowaniu zdalnym się pomyli? I PKW zaakceptuje decyzję nielegalnej Izby i PiS dostanie kasę, czyli nie odpowie za kradzież wyborczą z funduszu sprawiedliwości.

A to oznacza prezydenckiego pokera. Bo ta Izba, która nie istnieje, orzeka o ważności wyborów prezydenckich. Jeśli zwycięży Rafał Trzaskowski, ale dostając nieznacznie więcej głosów niż Karol Nawrocki, to PiS wynik zaskarży do tej Izby. Jej orzeczenia nie uzna ani Trzaskowski, ani Koalicja 15 Października. Ale uznają je Kaczyński i Duda.

Ustępujący prezydent ogłosi więc nową głowę państwa Nawrockiego. I choć nie ma takich uprawnień, to im dłużej będzie powtarzał w orędziach, w sieci i podczas gospodarskich wizyt, że nowym prezydentem jest Nawrocki, tym bardziej za prezydenta będą uważali go wyznawcy PiS i wyborcy bogoojczyźnianej prawicy.

Ale legalnym prezydentem elektem będzie Trzaskowski. Lecz gdy upłynie kadencja Dudy, a ważnego prezydenta nie będzie, pierwszą osobą w państwie będzie tymczasowo i jako p.o. prezydenta marszałek Sejmu. Czyli Szymon Hołownia. Czyli ten, który wybory przegrał.

Jak długo? A kto to wie? I kto w ogóle mógłby to rozstrzygnąć? Marszałek Sejmu w trosce o państwo spróbuje przeciąć ten węzeł gordyjski. Ale mleko już będzie rozlane. PiS będzie hulal z oskarżeniami, odwołaniami, pikietami, apelami do Waszyngtonu. Trolle będą rozsiewać dezinformację, potęgując chaos. A połowa obywateli nie będzie respektowała prezydenta elekta i podważała decyzje p.o. prezydenta oraz sądów, bo zapanuje podział głębszy niż ten posmoleński.

Ucieszą się „uchodźcy polityczni” w Budapeszcie. Ucieszy się Orban. A najbardziej ucieszy się Putin. Chaos, tymczasowość, podział w jednym z najważniejszych krajów UE i NATO to byłby wspaniały prezent przed 73 urodzinami. ●

WYDARZENIA 2024



Trump

• Butler, USA, 13 lipca. **Zamach na Donalda Trumpa.** Republikański kandydat na prezydenta draśnięty kulą w ucho przed odjazdem do szpitala zdążył podnieść w stronę tłumu pięść jako symbol oporu. Strzelał 20-letni mieszkaniec Pensylwanii Thomas Matthew Crooks. Zginął uczestnik wiecu.

Most

• USA, 26 marca. **Mierzący 2,5 km długości most Francis Scotta Keya w Baltimore zawalił się,** gdy w jego filar wpłynął statek handlowy. Kontenerowiec „Dali” pływający pod singapurską banderą zmierzał do Colombo na Sri Lance. Statek wypłynął z portu w Baltimore zaledwie pół godziny przed wypadkiem.

Plot

• Puszcza Białowieska, 29 maja. **Po stronie białoruskiej koczowało 28 osób, m.in. siedem somalijskich dziewczyn.** Trzy z nich nie miały skończonych 18 lat, jedna była w szóstym miesiącu ciąży. Prosiły o międzynarodową pomoc. Polscy funkcjonariusze odmówili.



FOT. EVAN VUCCI/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS, ANIL SHAKYA/AFP/EAST NEWS, KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL JERRY JACKSON/BALTIMORE SUN/TRIBUNE NEWS SERVICE/GETTY IMAGES, AGNIESZKA SADOWSKA/ AGENCJA WYBORCZA.PL, AZIZ KARIMOV/GETTY IMAGES



Susza

• Prayagraj, Indie, 10 czerwca.
Kobiety gaszą pragnienie podczas fali upałów. Temperatury sięgały nawet 45 st. C w cieniu.

Olimpiada

• Le Bourge Escalade Sportive w Paryżu, 7 sierpnia.
Aleksandra Mirosław cieszy się ze zwycięstwa w finale we wspinaczce na czas. Po złoto biegła 6,10 sekundy.

Gruzja

• Premier Gruzji Irakli Kobachidze w imieniu rządzącej, prorosyjskiej partii Gruzkańskie Marzenie ogłosił 28 listopada 2024 r. zawieszenie do 2028 r. rozmów o przystąpieniu Gruzji do Unii Europejskiej. Wywołało to protesty uliczne na masową skalę. Na zdjęciu manifestanci pod budynkiem gruzińskiego parlamentu.





Ostatnie Pokolenie

Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie, 8 marca 2024 r.

Aktywistki ekologiczne w ramach protestu oblały pomnik warszawskiej Syrenki czerwoną farbą kredową.

Jest życie na wojnie

• Kyseliwka, Ukraina, 22 lutego. **Wieś założona przez polskich zesłańców, zajęta przez Rosjan podczas pierwszych dni ofensywy w lutym 2022 r. została wyzwolona przez Ukraińców podczas ciężkich walk w listopadzie 2022 r. Stała się celem intensywnych rosyjskich bombardowań. Duża część wsi, w tym szkoła, została doszczętnie zniszczona. Do Ksylimki po odsunięciu frontu za Dniepr powrócił co dziesiąty mieszkaniec. Ale też wiele rodzin z dziećmi. Zdjęcie zdobyło III nagrodę w konkursie Grand Press Photo Single w kategorii culture, hobby, sport.**

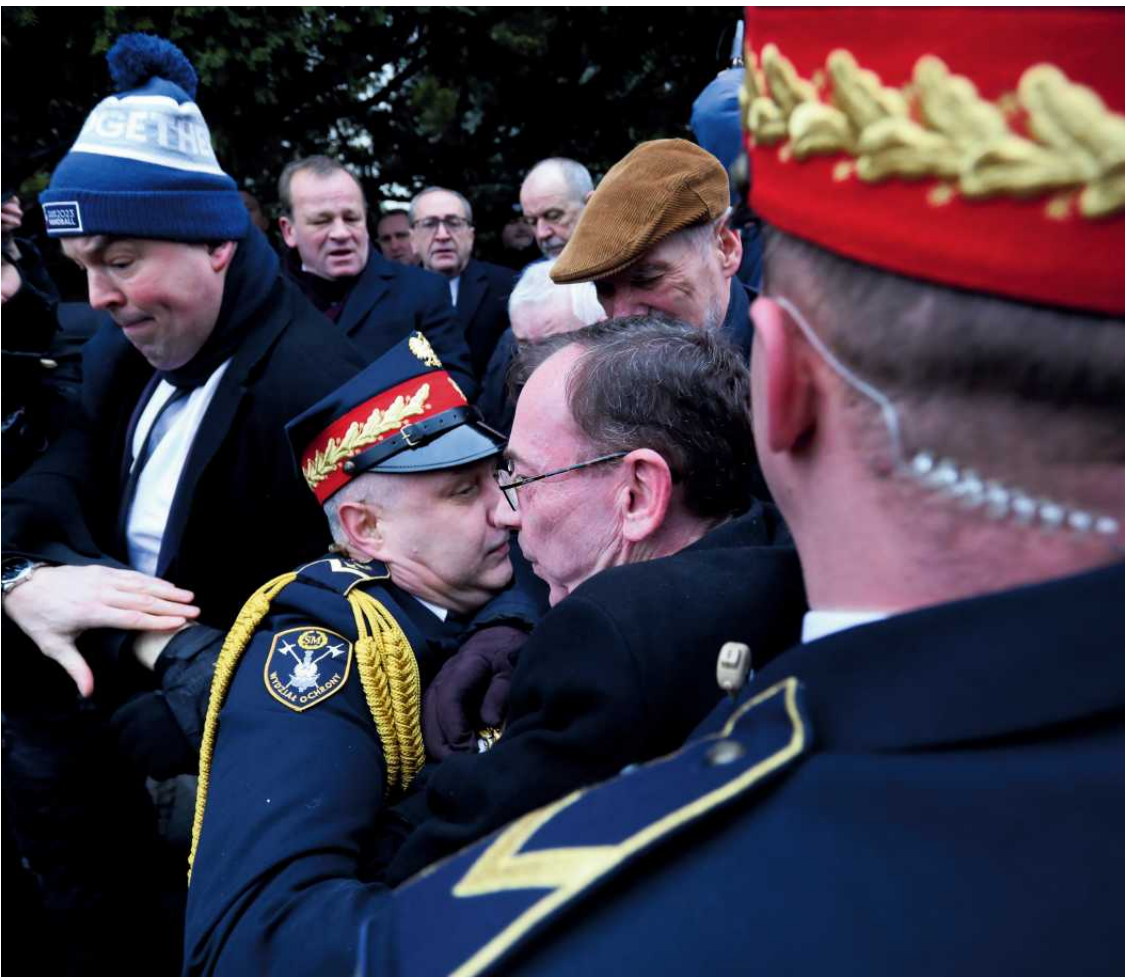


FOT. MACIEK JAŻWIECKI, CEZARY ASZKIELOWICZ, SŁAWOMIR KAMIŃSKI, JAKUB WĘDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL, ANTON BRINK/PAP/EPA, DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



Pol'and'Rock

• Lotnisko Czaplinek - Broczyno, 31 lipca.
Radosne otwarcie 29. festiwalu muzycznego firmowanego przez Jurka Owsiaka .



Nieposeł

• Warszawa, 7 lutego 2024 r. **Ma-riusz Kamiński w asyście partyj-nych kolegów zmierza na posie-dzenie Sejmu. Kontestuje fakt, że po skazującym wyroku sądu utracił mandat posła. I nie ma już prawa wchodzić na salę plenarną**



Wulkan

• Islandia, 21 listopada.
Lawa z wulkanu na półwyspie Grindavik widziana z drona. To już piąta erupcja na półwyspie Reykjanes w ciągu dwóch lat. Utworzyły się dwie szczeliny, z których lava spłynęła w kie-runku miasteczka rybackiego, mieszkańcy musieli się ewaku-ować.

Nawalny

• Warszawa, 16 lutego
Manifestacja pod ambasada Rosji po śmierci Aleksieja Na-walnego. Na wiecu słychać było hasła „Solidarność naszą siłą”, „Rosja będzie wolna”. Lider an-typutinowskiej opozycji Aleksiej Nawalny zmarł w kolonii karnej.



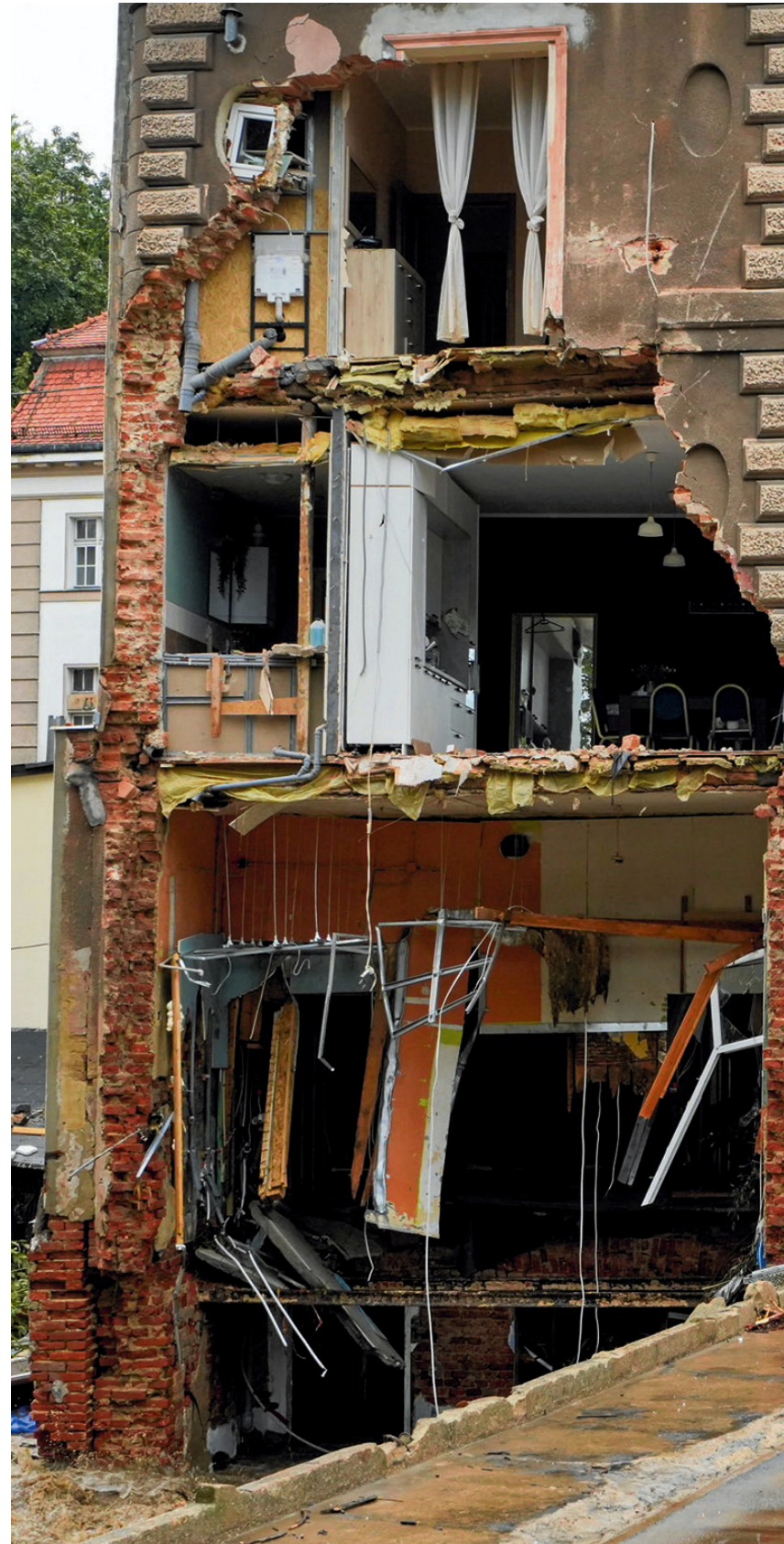
Ojciec

Warszawa, 14 czerwca.

Daniel Niedziałkowski zbiera na bardzo kosztowne leczenie syna, który cierpi na porażenie mózgowie i padaczkę Westa. Organizuje specjalne akcje. - Trzy razy wszedłem na Śnieżkę w stroju Olafa – bałwanka. Rok temu, zdobyłem Rysy od strony słowackiej w przebraniu klauna. Za każdym razem ogłaszam akcję na portalach społecznościowych, na górze rozdaję ulotki z prośbą o 1 proc. - mówił w rozmowie dla „Dużego Formatu”.

Powódź

• Łądek-Zdrój, we wrześniu
po przejściu fali na rzece Białej Łądeckiej, po pęknięciu tamy w Stroniu Śląskim. Potężna fala płynęła ulicami, porywając wszystko po drodze. Do budynków wdzierała się woda.

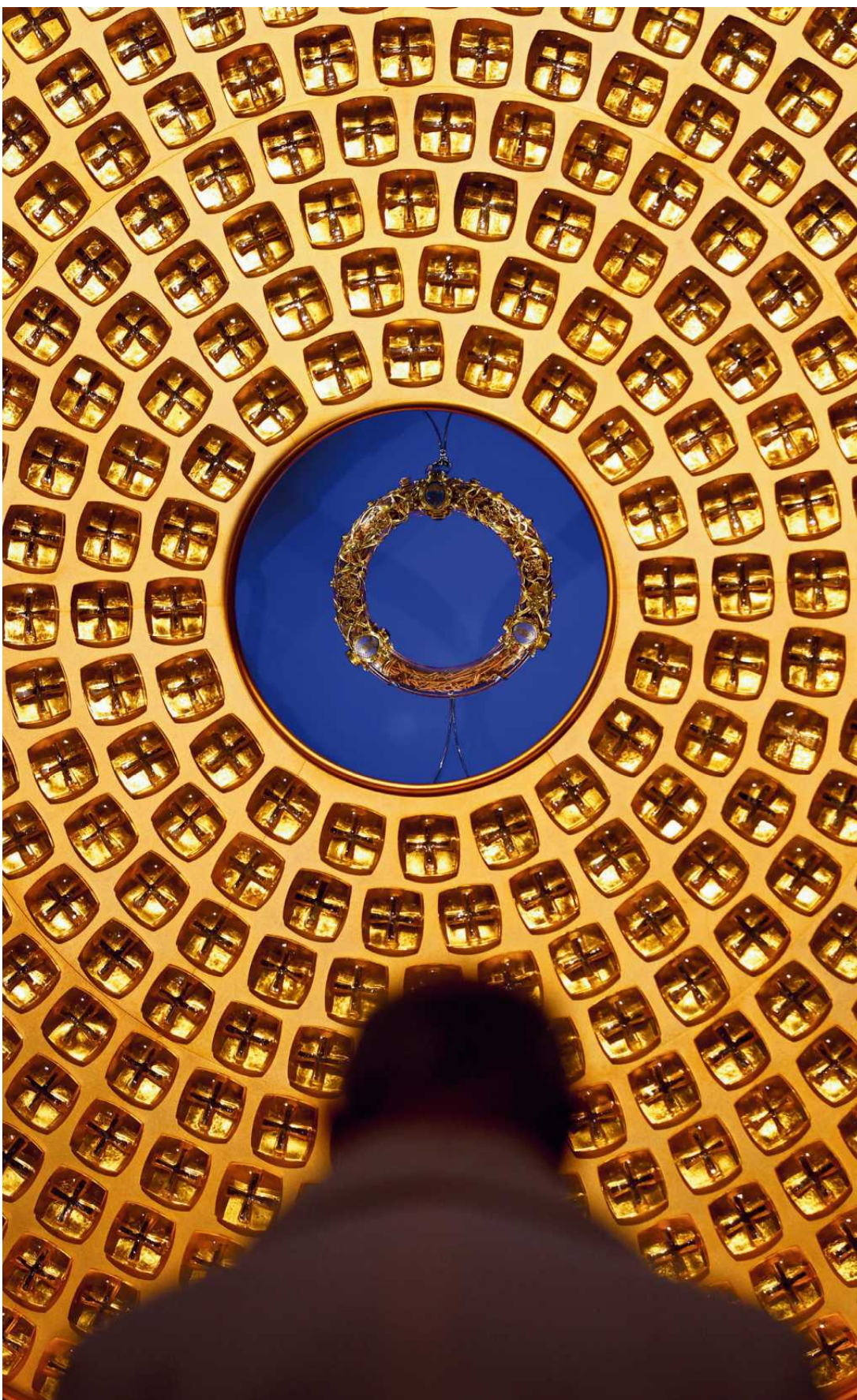


Notre Dame

• Paryż, 13 grudnia
Rycerze Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego modlą się przed relikwią korony cierniowej po jej powrocie do katedry Notre Dame. Nowy relikwiarz, poprzedni został zniszczony w pożarze w 2019 roku, jest autorstwa Sylwina Dubuissona.

Ślonie

• Kenia, 14 października
Strażnicy i weterynarze Kenya Wildlife Service wypuszczają słonie z rezerwatu narodowego Mwea ze specjalnego kontenera transportowego podczas ćwiczeń translokacyjnych w Parku Narodowym Aberdare w Mweiga w hrabstwie Nyeri w Kenii.



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL, REUTERS/STEPHANIE LECOCQ (DRUGI PION), TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL, MICHAEL BUHOLZER/PAP/EPA, MOURAD ALLIL/SIPA/EAST NEWS, CAROLINE BREHMAN/PAP/EPA, REUTERS/THOMAS MUKOYA



- ▲

Palestyna

 - Zurych, 26 października
**Kobieta z flagą pa-
lestyńską na głowie
i czerwoną farbą na
twarzy bierze udział
w wiecu poparcia
dla narodu palestyń-
skiego i Libanu w
w Szwajcarii.**
- ▼

Kolarka

 - Francja, 18 sierpnia
**Katarzyna Niewia-
doma triumfuje po
ósmym i ostatnim
etapie kobiecego
wyścigu, liczącego
149,9 km. Zwycię-
żyła w klasyfikacji
generalnej 3. edycji
wyścigu kolarskie-
go Tour de France
Femmes.**
- ▼▼

Oscary

 - Los Angeles, 10 marca
**Po raz 96. rozdano
Oscary. Nagrodę dla
najlepszej aktorki
pierwszoplanowej
odebrała Emma
Stone za brawurową
rolę Belli w „Bied-
nych Istotach” Yór-
gosa Lánthimosa. W
drodce po nagrodę
pękła jej sukienka.**



Arkadiusz Gruszczyński
Martyna Słowik

Kosiniak-Kamysz spotyka się z biskupami, Barbara Nowacka ma dowiedzieć do wyborów prezydenckich zmiany w lekcjach religii, Episkopat grozi Tuszkowi eskalacją konfliktu, a dzieci w całej Polsce od września mają chodzić na jedną katechizację w tygodniu. Sprawdzamy, co tak naprawdę dzieje się wokół religii w szkołach.

Zanim przejdziemy do współczesności, musimy spojrzeć w przeszłość. Bo przecież dzisiejsze spory o rozdział państwa i Kościoła, o obecność księży i katechetów w szkołach publicznych, o nauczanie dzieci i młodzieży teoretycznie religii, praktycznie tylko katolickiej towarzyszą Polsce od lat 20. poprzedniego wieku. To właśnie wtedy Tadeusz Boy-Żeleński – felietonista, liberał, sojusznik Józefa Piłsudskiego, antyklerykał, zwolennik prawa do aborcji, a przy okazji wrażliwy społecznie lekarz – nazwał Kościół „naszym okupantem”. W 1930 r. pisał w „Rozmyślaniach nad Popielcem”: „Czy może być coś niebezpieczniejszego niż stałe zetknięcie młodzieży z księdzem na platformie niechęci i nudy, w atmosferze przymusu, trzeźwości i prozy, niż to wydanie go na pastwę uczniakom bez pomocy najsilniejszych atrybutów religii, jej tajemnicy, powagi i poezji”.

Po 1945 roku religia w szkole nigdy nie była formalnie zniesiona, nawet w czasach stalinowskich. Ale faktycznie przywrócono ją po odwilży gomulłowskiej w październiku 1956 r. A już cztery lata później, pod koniec 1960 r., Władysław Gomułka wyprowadził ją z klas, częściowo pod naciskiem Moskwy. Minister oświaty Władysław Bieńkowski rwał włosy z głowy.

„Robicie rzecz idiotyczną. Nie ma lepszego sposobu na laicyzację inteligencji niż nauka religii w szkole – stwierdził. – Jak się chce inteligencję zlaicyzować, to należałoby podwoić naukę religii. Nauka religii w punktach katechetycznych będzie miała silniejsze oddziaływanie niż w szkole” – podkreślał. I podał się do dymisji.

Ale przecież uczyliśmy się religii! – zawoła czytelnik, nawet ten pamiętający z PRL tylko schyłkowe „eightisy”. Tak, ale gdzie? Kościół szybko ogarnął temat. Po kilku miesiącach punkty katechetyczne przy parafiach zaczął organizować prymas Stefan Wyszyński.

Kiedy papieżem został Karol Wojtyła, władza nie mogła sobie pozwolić na otwarty konflikt z Kościołem. To dlatego w latach 80. komuniści (zresztą komunistyczni, poza twardogłowym marginesem, już głównie z nazwy) wydali najwięcej pozwoleń na budowę kościołów po 1945 roku, a biskupi roztoczyli parasol nad negocjacjami władz z Lechem Wałęsą.

Po 1989 roku krzywdy miały zostać wyrównane, a naciski Kościoła na powrót religii do szkół – podparte argumentem kombatanckim, zasług duchowieństwa na „walce z komuną” – były tak duże, że nie oparł się im pierwszy niekomunistyczny premier Tadeusz Mazowiecki. Zresztą jak były redaktor naczelny katolickiego miesięcznika „Więź” miał się im oprzeć.

„Dwója z łaski uświęcającej” – to tytuł artykułu z „Polityki” z 23 czerwca 1990. Tuż przed powrotem katechezy do planów lekcji. Ewa Nowakowska przytacza argumenty przeciwko wprowadzeniu religii do szkół: „Katechizacja



PRZED WYBORAMI COŚ LEWICY TRZE

„Księża na księżyc”, „zakonnice za granicę” – krzyczeli uczniowie w całej, wreszcie wolnej Polsce. Nie pomogło. Po 30 latach Barbara Nowacka spełni to, o co prosili rodzice dzisiejszych licealistów?

jest czymś o wiele szerszym niż lekcja”, „Właśnie w okresie pozaszkolnej nauki religii i w ogóle walki z Kościołem jego pozycja w społeczeństwie osiągnęła tak wysoki poziom”, „Dlatego Kościół chce sam sobie strzelić gola?”. Tak wtedy argumentowali... sami katolicy.

Michał Klinger, świecki teolog prawosławny, w „Wyborczej” pisał wtedy: „W szkole? Można dostać dwóję z prawa Newtona, ale nie można dostać ani stawiać dwóji z łaski uświęcającej! Mam jednak propozycję konstruktywną: zamiast religii należałoby wprowadzić do szkół przedmiot: »filozofia religijna«”.

We wrześniu 1990 r., już po wprowadzeniu religii do szkół, „niemal z dnia na dzień »kuchennymi drzwiami«” – jak komentował wciąż jeszcze czytany i wciąż wierny peerelowskiej laickiej linii „Sztandar Młodych” – Nowakowska w „Polityce” cytowała dyrektorkę jednej ze stołecznych szkół: „Dotychczas przy-

najmniej szkoły podstawowe były wyspami spokoju na morzu politycznych namiętności, swarów i porachunków. Teraz skończył się czas »splendid isolation«”. Problemy organizacyjne i dydaktyczne poszły w kąt. Nauczyciele, rodzice, a także uczniowie starszych klas przychodzą do mnie z pytaniami tylko w jednej sprawie: oczywiście religii!”.

– Stało się: również dzieci wciągnęliśmy w rozgrywkę polityczne – komentowała instrukcję ówczesnego ministra edukacji, sławnego mediewisty prof. Henryka Samsonowicza dotyczącą nauki religii w szkołach.

MEN wydał ją po posiedzeniu Komisji Wspólnej Przedstawicieli Rządu i Episkopatu. Wcześniej, podczas uroczystości Bożego Ciała, o „sprawiedliwy powrót religii do szkół” upomniał się prymas Józef Glemp. Ten fragment homilii pokazało główne wydanie „Wiadomości” TVP. Potem Konferencja Episko-

patu Polski wydała komunikat, w którym „wypowiedziała się jednomyślnie za pełnym powrotem religii do szkół oraz za potrzebą zagwarantowania tego w konstytucji i w ustawie o edukacji narodowej”.

Było to zaskoczeniem, bo wcześniej wiceministra edukacji, zasłużona pedagogożka i nauczycielka Anna Radziwiłł mówiła „Wyborczej”, że „nasze społeczeństwo jest podatne na konflikty, a wprowadzenie religii jako przedmiotu do szkół na pewno powodowałoby napięcia”.

Ale decyzje zapadły na najwyższym szczeblu. Mazowiecki przyznał po latach w wywiadzie dla Teresy Torńskiej: – Sam jako katolik uważałem, że powrót religii do szkół nie jest dobrym pomysłem, bo Kościół może na nim stracić. Przede wszystkim autentyzm chodzenia na religię. Inna jest sytuacja, gdy młodzież z własnej woli i chęci uczestniczy w lekcjach religii, inna, gdy chodzi o obowiązek.

– Powiedział pan to prymasowi?
– Nie. Postulat Episkopatu musiałem oceniać z perspektywy premiera, a nie kogoś, kto ma wątpliwości.
– Czym groziła pana odmowa?
– Chyba publicznym naciskiem, bardzo daleko idącym. Rząd, który prze-



I BADAĆ

prowadzał tak wiele rzeczy trudnych, nie mógł mieć w Kościele przeciwnika.

Mazowiecki tłumaczył, że nie było czasu, by załatwić tę sprawę zgodnie z ustawą i poddać ją pod głosowanie w Sejmie: – Zaczynał się rok szkolny, a miałem telefony i z sekretariatu Episkopatu, i od samego prymasa Glempa, że Kościół oczekuje, by sprawa została załatwiona przed 1 września.

Wiktor Kulerski, ówczesny wiceminister edukacji, powiedział Torańskiej więcej: – Episkopat wiedział, że ten rząd potrzebuje wsparcia codziennego, że Kościół odgrywa rolę jęczyzka u wagi. Myślę, że Kościół od początku upatrywał w Polsce pewnej szansy na zbudowanie tutaj demokracji katolickiej.

Kulerski ocenił jednoznacznie: – Nie warto było. Episkopat nie poparł Mazowieckiego w wyborach prezydenckich i religia w szkołach okazała się tylko jednym z etapów prowadzących do zaplanowanego celu.

Ówczesna rzeczniczka praw obywatelskich prof. Ewa Łętowska oceniła, że wprowadzenie religii do szkół instrukcją MEN, a nie ustawą łamie konstytucję. Złożyła skargę do Trybunału Konstytucyjnego, lecz ów ją oddalił.

Rok później kolejny minister edukacji – Andrzej Stelmachowski – zapowie-

dział, że MEN szykuje rozporządzenie o obowiązku uczęszczania na religię. To wywołało protesty. Był kilkusetosobowy marsz pod resort, pikiety pod hasłem: „Bojkot religii. Dość ideologicznej indoktrynacji w szkole”. Krzyki licealistów: „Księża na księżyc”, „Zakonnice za granicę”, „Chroń nas Boże przed Kościołem”. Spalono nawet katechizm. Ks. Henryk Brunka, szef Episkopatu, stwierdził, że to wystąpienie „synów i córek rosyjskich oficerów”.

To nie koniec. Andrzej Wajda, Krystyna Janda, Daniel Olbrychski, Kora i Jeremi Przybora podpisali się pod listem otwartym do prezydenta, premiera i ministra edukacji, w którym stwierdzono, że próba wprowadzenia obowiązku chodzenia na religię lub etykę stanowi „precedens zmierzający do uczynienia ze szkół podstawowych, które powinny pozostać neutralne światopoglądowo, szkół o charakterze wyznaniowym”.

Ostatecznie zgodnie z rozporządzeniem MEN z 1992 r. na religię lub etykę dzieci i młodzież chodzą dobrowolnie, dwie godziny tygodniowo (lub jedną, jeśli zgodzi się biskup). Za to ocena z tych przedmiotów na świadectwie jest wpisana jako druga, tuż pod oceną ze sprawowania. A w klasach można wieszać krzyże i się modlić.

Już pod koniec listopada 1992 r. lewicowy dziennik „Trybuna” publikuje artykuł o „zbuntowanej V b”: „Stała się rzecz niesłychana. Razem z trzydziestoma koleżankami i kolegami, uczniami tej samej klasy V b w Zespole Szkół Rolniczych w Środzie koło Poznania, [chłopak] oświadczył, że u progu matury nie będzie uczęszczał na lekcje religii”.

Reportaże „Trybuny” można było puszczać mimo uszu, bo jako spadkobierczyni „Trybuny Ludu”, oficjalnego organu PZPR, wciąż miała etykietę „gazety postkomuchów”. Ale w październiku tego samego roku o tym, że dyrektorzy pertraktują z proboszczami, by zamiast dwóch godzin religii można było zaplanować jedną tygodniowo, pisała szacowna „Rzeczpospolita”. – Aby nie obciążać uczniów zbyt dużą liczbą zajęć – tłumaczyli dyrektorzy.

Lecz ani protesty warszawskiej młodzieży, ani listy otwarte największych autorytetów i gwiazd nie powstrzymały kolejnych ukłonów w stronę Kościoła. W konkordacie Watykan zagwarantował sobie katechezę w podstawówkach i szkołach średnich, opracowanie podstawy programowej, na którą nie może wpływać minister edukacji, kształcenie katechetów i obietnicę, że ich wynagrodzenie będzie płaciło państwo.

Roman Giertych, w latach 2006-07 wicepremier oraz minister edukacji z ramienia bogoojczyźnianej i eurosceptycznej Ligi Polskich Rodzin w PiS-owskich rządach Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego, został zapamiętany z wielu powodów. „Wyborcza” zrobiła nawet plebiscyt: „Konieć z dogmatem teorii ewolucji? Amnestia maturalna? Tropienie ciąży? Walka z inwazją homoseksualizmu do szkół? Mundurki dla każdego? To Ty musisz wybrać, który z pomysłów ministra edukacji najbardziej zasługuje na tytuł Giertycha Roku”. „Wybór będzie trudny, bo takiego ministra edukacji jeszcze nie było w Polsce, w Europie, na całym świecie” – pisaliśmy.

Ale w najnowszej historii na serio Giertych zapisał się dopiero w czerwcu 2007 r.: dzięki niemu do średniej ocen zaczęto wliczać ocenę z religii lub etyki. Na prośbę Episkopatu. Biskup Kazimierz Nycz argumentował, że nieuwzględnianie oceny z religii w średniej było „swoista dyskryminacją”.

Kościół chciał więcej: nalegał, żeby religia stała się przedmiotem matu-

Sprawa religii w szkole prawdopodobnie to będzie jedyna zmiana liberalizująca kwestię światopoglądową, wprowadzona do wyborów prezydenckich – słyszymy w resorcie

ralnym. – Mamy zgodę ministerstwa. Trwają już przygotowania – mówił Nycz „Rzeczpospolitej”. A Giertych potwierdzał, że „sprawa jest przesądzona”. Miała się dokonać w 2010 roku.

Tyle że w międzyczasie Kaczyński, próbując wykończyć koalicyjne przystawki, LPR i chłopską Samoobronę Andrzeja Leppera, ogłosił przedterminowe wybory – które koncertowo przegrał. W listopadzie 2007 r. ukonstytuował się pierwszy rząd Donalda Tuska, który – jak donosiło wtedy RMF FM – „nie wycofa rozporządzenia Romana Giertycha i stopnie z religii nadal będą wliczane do średniej ocen na świadectwie”. Lewica komentowała: „Rządził Kościół toruński, rządził lagiewnicki”. Ale biskupom nie udało się przeforsować matury z religii.

Do straszenia nią wrócił po latach – taktycznie przeszedłszy z pozycji tradycjonalistyczno-konserwatywnych na narodowo-katolickie – już sam PiS w nowej rządowej odsłonie. A konkretnie – minister edukacji Przemysław Czarnek. W 2021 r. przewodniczący Komisji Wychowania Katolickiego Episkopatu bp Wojciech Osiał potwierdził, że trwają negocjacje z kierownictwem resortu. Według wiceministra Dariusza Piontkowskiego maturzyści mieli pisać „religię” już w mijającym 2024 roku.

Nad maturą z religii ciąży jakieś fatum. Bo w październiku 2023 r. Kaczyński znowu przegrał i znowu z Tuskiem.

A nowa szefowa MEN Barbara Nowacka – przez lata w opozycji liderka lub współliderka kolejnych lewicowych ugrupowań – w rok, góra dwa postanowiła dokonać tego, czego bały się kolejne liberalne i centrowe ekipy przez 20 lat. Niemal od ręki usunęła religię ze średniej ocen – a teraz zamierza zmniejszyć wymiar religii w szkole z dwóch godzin tygodniowo do jednej. Nie tylko po to, by łatwiej było – czego domagają się uczniowie i rodzice, a co boli katechetów – wpisywać religię na początku lub na końcu planu zajęć.

– Dwie godziny religii w tygodniu za około 2 mld zł rocznie to przesada – stwierdziła Nowacka. – Jeżeli będzie decyzja samorządów i rodziców, że chcieliby więcej, będzie to ich decyzja, również finansowa – dopowiedziała w TVN 24. Czyli druga godzina religii wciąż wchodzi w grę, ale budżet państwa za nią nie będzie płacić. Zmiana ma obowiązywać już od września.

Ministra idzie na zwarcie i nawet tego nie ukrywa. Jak sama mówi, jej stanowczość w tej sprawie jest duża mimo protestów środowisk konserwatywnych, Kościoła i koalicjanta w rządzie – Polskiego Stronnictwa Ludowego. – Szkoła służy do edukacji, a nie do formacji – mówiła we wtorek w „Jeden na jeden” w TVN 24. – Jestem zdeterminowana, żeby działać na rzecz dobra dzieci i dobrej edukacji. Naprawdę nie widzę uzasadnienia, dla którego dziecko w szkole ma mieć więcej lekcji religii, które – przypomnę – są katechezą, czyli zajęciami formacyjnymi, niż biologii, chemii i fizyki razem wziętych.

Ministra jest stanowcza, bo – jak słyszymy – prawdopodobnie będzie to jedyna zmiana liberalizująca kwestię światopoglądową wprowadzona do wyborów prezydenckich.

Jak wiadomo, losy prawa aborcyjnego i związków partnerskich stoją pod dużym znakiem zapytania. Co prawda ostatnio ludowcy – trudno stwierdzić, czy pod naciskiem nastrojów społecznych, czy zakulisowych namów ludzi Tuska – zaczęli mięknąć i w sejmowych kuluarach słyszymy, że lewica i KO dogadaly się z Trzecią Drogą w sprawach światopoglądowych. PSL dla zachowania twarzy postawił warunek, że wraz z depenalizacją aborcji z Sejmu ma wyjść ustawa przywracająca tzw. kompromis aborcyjny z lat 90.

– Nie wiadomo jednak, czy koalicja zdąży zająć się tymi projektami do wyborów prezydenckich. A zrealizowanie obietnicy dotyczącej katechezy w szkole może zmobilizować elektorat KO – słyszymy w rządzie.

Podczas konsultowania tego rozporządzenia było gorąco. Z jednej strony ultrakonserwatywna fundacja Ordo Iuris stwierdziła, że projekt jest niezgodny z konstytucją i konkordatem. Katolicycy fundamentaliści uważają, podobnie jak Kościół, że to dyskryminacja dzieci, które na religię chodzą. I wskazują, że konieczne jest tu porozumienie z Episkopatem. Napisałi petycję i zachęcali rodziców do jej podpisywania i wysyłania do MEN. Pismo wyraża „niepokój”, „oburzenie” i obawę, że skończy się „wyrugowaniem tego przedmiotu z publicznych szkół, co spowoduje, że młodzi Polacy nie tylko nie poznają podstawowych prawd wiary katolickiej, kulturotwórczej roli Kościoła i jego wkładu w walkę o tożsamość i niepodległość naszej Ojczyzny, a także korzeni duchowych Europy”.

Z drugiej strony fundacja Wolność od Religii uważa, że rozporządzenie to „krok w dobrą stronę”, ale niewystarczający. Chcą więcej: ograniczenia religii w przedszkolach. Nie chcą też odwoływania zajęć z powodu rekolekcji, bo to prowadzi do „segregacji i dyskryminacji”. Katecheci nie powinni mieć prawa głosu podczas rad pedagogicznych. A konkursy religijne nie powinny mieć wpływu na rekrutację do szkół średnich. Zorganizowani zwolennicy laicyzacji postulują również wypracowanie rekolekcji ze szkół i zagwarantowanie świeckiego charakteru uroczystości szkolnych, szczególnie rozpoczęcia i zakończenia roku szkolnego. Budynek szkoły powinien być „wolny od propagandy religijnej”.

Nowacka tu też odpowiada dosadnie: rodzice chcą religii w szkole, bo to wygodne. Nie przychyła się więc do całkowitego wyprowadzenia jej ze szkół, jak chce lewica. A odpowiadając na zarzuty braku konsultacji z Kościołem, podkreśla, że spotkania przecież były. A że nie ma wspólnych wniosków? Nie musi. Ważne są próby rozmowy.

To samo szefowa MEN odpowiada ludowcom. – To moje rozporządzenie, nie wymaga ono wspólnej decyzji rządu. Opór ze strony części koalicjantów jest często zaskakująco większy niż ten, który wyrażają hierarchowie kościelni – komentowała w TVN 24. – Przypomnę, że lewica chce wyprowadzenia religii ze szkół, a PSL uważa, że dobrze jest, jak jest. Moja propozycja jest kompromisowa.

Pozostaje jeszcze wątek katechetów. Obciążenie godzin z dwóch do jednej tygodniowo to oszczędność rzędu 1,5 mld zł rocznie na pensje dla nich – słyszymy w MEN. Druga strona medalu jest taka, że stracić pracę może 8-10 tys. z nich. Czyli prawie połowa. Resort proponuje im zdobywanie uprawnień w innych

przedmiotach, np. edukacji zdrowotnej, która będzie nauczana w szkołach już od najbliższego września. Problem w tym, że ten przedmiot obejmuje edukację seksualną, której katecheci łatwo nie przelkną.

Co odpowiada resort? Słyszymy, że i tak często uczyli wychowania do życia w rodzinie, więc już takie uprawnienia mają.

Pod względem politycznym sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana. Donald Tusk jeszcze w kampanii wyborczej obiecał rozdział państwa od Kościoła. Lider ówczesnej opozycji przekonywał, że za jego rządów skończy się wspieranie finansowe biznesów Kościoła, zostanie zlikwidowany Fundusz Kościelny, a lekcje religii będą organizowane na pierwszej lub ostatniej godzinie.

Co prawda przelewy ze spółek skarbu państwa do narodowo-katolickich fundacji zostały wstrzymane, ale prace nad reformą Funduszu Kościelnego się przeciągają, więc jedynym postulatem związanym ze świeckim państwem będzie tak naprawdę sposób prowadzenia katechezy.

– Mamy poparcie premiera, rozporządzenie zostanie omówione na którymś z najbliższych posiedzeń rządu, podpiszemy je na początku roku – zapewniają nas współpracownicy Barbary Nowackiej. Ale w tle buzuje poważny konflikt z PSL. Bo ograniczaniu religii sprzeciwia się nie tylko Kościół, ale też ludowcy.

Którzy próbowali zablokować projekt: odmówili udziału w konsultacjach międzyresortowych. Sprzeciw wyrazili dwa resorty – Ministerstwo Obrony Narodowej, które co prawda nie zajmuje się hufcami niebieskimi, tylko ziemskimi, ale na jego czele stoi szef ludowców Władysław Kosiniak-Kamysz, oraz Ministerstwo Infrastruktury, którym kieruje Dariusz Klimczak – wiceprezes PSL. MON przywoływał argumenty Kościoła: obcięcie zajęć z religii i umieszczanie ich na pierwszej lub ostatniej lekcji to dyskryminacja dzieci.

Peeselowcy regularnie spotykają się z biskupami. A ci już zaskarżyli poprzednie rozporządzenie Nowackiej wprowadzające możliwość łączenia w jedną grupę klas, w których zgłosiło się mało chętnych na katechezę. Episkopat, a także Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej (obecnie już Bogdana Świączkowskiego) twierdzą, że Nowacka złamała konstytucję, bo powinna uprzednio uzyskać pisemną zgodę Kościoła.

MEN odpowiada: a gdzie byli biskupi, kiedy za PiS Anna Zalewska likwidowała gimnazja, a więc zmieniała zasady prowadzenia katechezy? Wówczas Episkopat nie protestował. Na co biskupi odpowiadają skargą na napięty kalendarz: nie zdążą przygotować podstawy programowej do 1 września 2025 r. Dyskretnie przemilczają, że już kilka miesięcy temu powołali wewnętrzną komisję w ramach Episkopatu, która ma przygotować... nową podstawę programową lekcji religii.

Kiedy biskupi skarżą się do TK, a Nowacka zapowiada, że nie ma zamiaru respektować żadnych postanowień nieuznawanego Trybunału Przyłębskiej/Świączkowskiego, politycy PSL przekonują, że resort nauki musi zrobić krok do tyłu. – Nie ma innego wyjścia: Barbara Nowacka musi nieco ustąpić, zgodzić się z niektórymi propozycjami biskupów, a ci powinni zaproponować sensowny kompromis – przekonują nasi rozmówcy.

Na słowo „kompromis” alergicznie reaguje jednak część KO, szczególnie ta o lewicowym temperamencie. – Nie możemy się zgodzić na propozycje Episkopatu, który nagle zaproponował, aby nauka religii lub etyki była obowiązkowa dla wszystkich. Ta propozycja padła już po decyzji TK, wcześniej dostawaliśmy sygnały, że Kościół zgodzi się na nasze zmiany. Widać Episkopat poczuł siłę i odnowił sojusze zawarte w czasach rządów PiS – twierdzą nasi rozmówcy z KO.

Nie jest jasne, czy lekcje religii staną się osiłą rozpoczynającej się kampanii wyborczej. Po-

litycy PiS będą raczej skupieni na tzw. sprawie krzyży, czyli decyzji Rafała Trzaskowskiego o nieekspozowaniu symboli religijnych w przestrzeniach wspólnych urzędu miasta. Na Nowogrodzkiej mają też świadomość, że Kościół jest dzisiaj fatalnie oceniany przez społeczeństwo. Według niedawnych badań CBOS 43 proc. Polaków opowiada się przeciwko religii w szkołach – najwięcej po przełomie 1989 roku. Nawet przywiązani do Kościoła tożsamościowo wyborcy PiS nabierają wątpliwości – już tylko 77 proc. chce pozostawienia katechezy w szkołach publicznych.

PiS specjalizuje się jednak w atakach na mniejszości w kampaniach wyborczych. W 2015 r. Jarosław Kaczyński uruchomił nagonkę na uchodźców, w 2019 – na osoby LGBT+, cztery lata później wróciła nienawiść do migrantów spoza Europy, były też próby hejtowania Ukraińców. Po drodze obserwowaliśmy zinstytucjonalizowane, wsparte propagandą prześladowanie nauczycieli, młodzieży, lekarzy, kobiet.

Nie jest też tajemnicą, że antyliberalne ugrupowania prawicowe uwielbiają przesuwac wzrok opinii publicznej na bardziej lub mniej wyobrażonych wrogów. A wydaje się, że PiS, popierając w wyborach prezydenckich historyka urządzającego pochówki żołnierzom wyklętym i szermującego tradycyjnym patriotyzmem, będzie umacniał bazę, a nie poszerzał zasięg oddziaływania. A w tej walce o hegemonię na prawicy atakowanie Trzaskowskiego za niszczenie religii – z przypomnianiem, że Barbara Nowacka jest jego bliską współpracowniczką – może wydawać się atrakcyjne.

Jednak z badań, które ma na biurku Jarosław Kaczyński, wynika, że część elektoratu Konfederacji, o który ma zaważyć Karol Nawrocki, ma krytyczny stosunek do Kościoła. Albo inaczej: nie licząc narodowców od Krzysztofa Bosaka i zwolenników Grzegorza Brauna, cała reszta wyborców Konfy jest po prostu antyklerykalna, ponieważ Kościół, jak każda duża, hierarchiczna instytucja jest podejrzana dla każdego wolnościowca.

Dlatego sztabowcy Trzaskowskiego są przekonani, że wyborcy Mentzena w drugiej turze zagłosują na kandydata KO, bo kandydat PiS kojarzy im się, kim by był, z kimś, kto będzie chciał im umeblować życie.

Dyskusje o religii w szkołach, którą prowadzimy w Polsce od stu lat, jest tak naprawdę debatą o kierunkach rozwoju naszego kraju. Po jednej stronie są konserwatyści, którzy uważają, że prawo oparte na tradycji katolickiej, wspieranie chrześcijańskiej moralności i ochrona tradycyjnych ról społecznych może oznaczać rozwój na własnych warunkach.

Po drugiej są progresywni liberalowie, którzy przekonują, że tylko świeckie państwo, gwarantujące równość praw wszystkim grupom społecznym, wolny obieg idei i odcięcie kroplówki jakiegokolwiek religii pozwoli Polsce dołączyć do grona cywilizowanych państw.

Prawda jak zawsze jest prosta: można połączyć te dwa żywioły. W szkołach można uczyć historii religii i systemów etycznych, świeckie państwo może zlecać Kościołom niektóre z zadań, np. opiekę nad chorymi, pomoc społeczną, prowadzenie szpitali czy budowę systemu nad osobami starszymi, jak to się dzieje chociażby w Austrii, gdzie pielęgniarki Caritasu codziennie odwiedzają seniorów w ich domach. Prawo może chronić zarówno katolików, jak i gejów z dużych miast chcących adoptować dzieci, a Kościół katolicki – co pokazują liczni zachodni teologowie i teolodżki, a także dyskretnie obecny papież – otwierać się na grupy do tej pory wykluczone przez Święte Magisterium.

A ludzie Kościoła, z którymi rozmawialiśmy w ostatnim czasie – nie tylko kontestatorzy ze zmarginalizowanego od dekady „Kościola otwartego”, dyżurni „dobrzy księża” – uważają zgodnie, choć nie pod nazwiskiem: pora na reformę katechezy w szkołach. ●

Dlaczego wnuczka feministka przegrywa

Logos, Ethos, Pathos. Od Arystotelesa wiem, jak nie pokłócić się przy świętym stole (choć i tak przez dwa tygodnie raczej nie wytrzymacie).



Marcin Matczak

W Święta, jak to w Święta, zasiadamy tradycyjnie do stołu i wtedy właśnie zaczyna się problem. Bo do tego samego stołu siadają często nasi krewni i ich skrajnie odmienny od naszego światopogląd. A to babcia słuchająca Radia Maryja siada obok wnuczki, która na swoim profilowym ma wciąż błyskawicę ze Strajku Kobiet, a to wuj z Jagodna spotyka siostrzeńca z młodzieżówki PiS.

Boże Narodzenie świętują nie tylko religijni, ale i agnostycy, nie tylko wierzący w zamach, ale i ci, którzy o współudziale w tym zamachu są podejrzani. Po te same kluski z makiem sięgają zwolennicy Majonezu Kieleckiego i ci, dla których nie ma nic lepszego niż Winiary. Jak w tej miszance wybuchowej zachować spokój i nie wysadzić tych dwóch tygodni świąt w powietrze?

Jednym z rozwiązań jest nie gadać ani o polityce, ani o religii, ani o majonezie. Ale ileż można rozmawiać o pogodzie, zwłaszcza że i ta staje się tematem zapalnym. Jak jest ciepło, to od razu spór o kryzys klimatyczny. Jak jest zimno, o to, kto winny takim cenom prądu, węgla i gazu. Aż strach poprosić, żeby ktoś podał masło, kiedy rząd właśnie interweniuje w jego sprawie na rynku.

Polski groch z kapustą, podzielnica i rozplatek. Jednym z doświadczeń najczęstszych wśród tych, którzy w bój argumentacyjny w czasie Świąt się wdają, jest frustracja. Jakby ten groch z kapusty można było wyjmować, a następnie rzucić nim o ścianę. Żadne racjonalne argumenty na tę drugą stronę nie działają. Ludzie trzymają się kurczowo swoich przekonań i nic nie zrobisz, choćbyś chciał. Skarży mi się ta siostrzenica ze Strajku Kobiet na tę babcię od Radia Maryja. Że ona ślepo Rydzkowi wierzy, że pieniądze wpłaca jak na WOŚP, a przecież ona jej kawę na lawę wkłada, że ten Rydzyk to zły człowiek jest. Ewidentnie babcia braku w myśleniu ma, dała się oszukać, nie metodą na wnuczka wprawdzie, ale na ojca (duchownego).

A mnie się zdaje, że pewne braki w myśleniu w tej sytuacji występują, ale nie po stronie babci. Trójkąt Arystotelesa się kłania – trójkąt retoryczny. Figura, dzięki której łatwiej zrozumieć, dlaczego jedni mają siłę perswazji, inni nie, i dlaczego wnuczka z ojcem Rydzykiem walkę o rząd dusz nad babcią najwyraźniej przegrywa.

Trzy rogi w trójkącie Arystotelesa ilustrują trzy składowe konieczne do przekonującego mówienia. W pierwszym rogu siedzi LOGOS – dobry, merytoryczny argument, logiczne wnioskowanie, coś, co wnuczka w sprawie ojca Rydzyka pewnie ma. Większość ludzi ten element rozsądku w swoje mówienie potrafi włożyć i uważa, że on wystarczy. Kto by się bowiem kłócił z nieodpartą logiką argumentu?

Okazuje się, że dzisiaj prawie wszyscy. Logika nie wystarcza, żeby ludzi przekonać. Potrzebne są jeszcze dwa elementy, umieszczone w pozostałych rogach trójkąta.

W drugim jest PATHOS, czyli emocja: to może być i strach, i współczucie, ból utraty albo słuszny gniew. A z bólem czy gniewem nie dyskutuje się logicznym argumentem. Ba, jak się tylko spróbuje, od razu wychodzi się na zimmego, pozbawionego emocji sukinsyna.

Hiszpańska para królewska, gdy przyjechała do popowodziowej Walencji, nie debatowała z ludźmi, którzy tam czekali z kijami i kamieniami, ale ich przytulała. Nie argumentowała, skądinąd całkowicie logicznie, że powinni byli się ubezpieczyć, tylko razem z nimi oplakiwała zmarłych.

Stąd, niestety, zawsze skuteczniej będzie mówił o migrantach ten, który nie tylko poda zimne liczby, ale postraszy, że jak przejdą, to zgwałcą kobiety i przechrzczą dzieci. Do nielogicznego eksperymentu z parówkami, które mają jakoby udowodnić, że był w Smoleńsku zamach, przekona wielu ten, który odwoła się do emocji – bo przecież takie tragedie nie mogą wydarzać się przypadkiem. Zwłaszcza jeśli oprócz emocji ma jeszcze u tych ludzi wiarygodność.

To trzeci róg trójkąta retorycznego Arystotelesa – ETHOS. To, kim jesteś dla swoich słuchaczy. Trudno Bąkiewiczowi konkurować w dyskusji z Wandą Traczyk-Stawską, nie tylko dlatego, że od niego mądrzejsza i budzi bardziej pozytywne emocje – ale przede wszystkim dlatego, kim jest. Gdy jako powstaniec warszawski mówi na Placu Zamkowym do obrotnego samozwańczego menedżera Marszu Niepodległości „Milcz, chamie skończony!”, brzmi to jak dzwon nie z powodu semantyki, ale z powodu czegoś, czego rozbiór logiczny zdania nie pokaże: jej historii, którą znają słuchacze.

Jaki jest ETHOS wnuczki, która rozmawia z babcią? Kiedy ostatnio do niej dzwoniła, kiedy okazała zainteresowanie jej problemami, kiedy ją odwiedziła? Bo Radio Maryja było u niej wczoraj, jak każdego dnia. A teraz wnuczka utyskuje, że jej argumenty odbijają się kamyczki na drodze od karoserii Maybacha.

Jaki jest ETHOS wykształconego przedstawiciela elit, który z wysokości swojego umysłu tłumaczy „suwerenowi”, że polityk populistą go oszukuje? Czy większy od tego polityka, który może logicznych argumentów ma mało, ale za to jest do bry w emocje i buduje wrażenie bliskości? Interesuje się losem zmarginalizowanych, okazuje im empatię. I po jakim czasie ma takie zaufanie, że nawet gdy powie, jak Trump, żeby na COVID wypili płyn do czyszczenia toalet, wielu to zrobi.

Dzisiaj, w świecie nakręconych mediami społeczeństwowymi emocji, PATHOS jest ważniejszy niż LOGOS. Dzisiaj, gdy ludzie nie radzą sobie z chaosem fake news, ważniejsze od tego, CO, jest to, KTO mówi. Dlatego LOGOS przegrywa z ETHOSEM. Dlatego naiwna jest wiara, że jeśli mam dobry argument, ale nie potrafię wzbudzić emocji i zaufania, to kogoś zdołam przekonać. Niestety jest odwrotnie – jak się pracuje, nawet oszukańczo, nad ETHOSEM, niezwykle głupie argumenty da się przepchnąć z sukcesem.

Jaki z tego wniosek dla rozmów przy wigilijnym czy noworocznym stole? Jeśli nie zrobiło się tego wcześniej, tam na zbudowanie ETHOSU jest już za późno. Pozostaje nieudolny, osamotniony LOGOS. Albo PATHOS w wersji emocjonalnego darcia włosów z głowy, że nasz słuchacz taki tępy.

To nie on jednak, ale my jesteśmy tępi. Nie mędrca szkiełko i oko, ale czucie i wiara. Wiedział to tym i nasz wieszcz, wiedział stary filozof 2500 lat temu. A my o tym ciągle zapominamy. ●

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE



• Maj 2024,
Londyn,
studenci
Eton kibicują
swoim w me-
czu krykieta
z Harrow

FOT. PHILIP BROWN/
GETTY IMAGES

ISOLATION, ALE NIE SPLENDID

Brytyjska młodzież po brexicie: 7500 maturzystów z francuskiego, 800 z włoskiego

Mateusz Mazzini

Będę z wami szczerzy. Nie ma sensu, żebym tu wprowadzał jakieś dodatkowe kryteria. Mamy mniej miejsc, niż zostało was chętnych. Po prostu się dogadajcie.

W czasie moich studiów i pobytów badawczych na brytyjskich uczelniach zdziwiło mnie i zapadło w pamięć wiele rzeczy, ale te słowa naszego opiekuna roku na iberystyce, wypowiedziane wiosną 2011 r., nadal brzmią w mojej głowie jak refren opowieści o innych, łatwiejszych czasach.

Studiowałem wtedy na Aberystwyth University, małej walijskiej uczelni specjalizującej się w stosunkach międzynarodowych. Brytyjski system, całkowicie zrewolucjonizowany ponad dekadę wcześniej przez rząd Nowej Lewicy pod przewodnictwem To-

ny'ego Blaira, przechodził wtedy przez szczyt swojego umiędzynarodowienia – na każdym poziomie. Począwszy od narodowości studentów, przez współpracę międzynarodową naukowców i całych uczelni, skończywszy na naprawdę globalnym oglądzie świata i wpływie na rzeczywistość.

Potęgę brytyjskiej edukacji budowali ludzie ze wszystkich krajów i kontynentów, których na Wyspy ściągała nie tylko reputacja sektora i możliwość pracy z najlepszymi. Blair wprowadził bowiem przełomowy model współfinansowania studiów przez państwo, a ponieważ Wielka Brytania była członkiem Unii Europejskiej, pieniądze musiały być udostępnione obywatelom pozostałych krajów członkowskich – w tym Polski. Jedną decyzją parlamentu w Westminsterze brytyjskie uniwersytety na kilkanaście lat zapewniły sobie pozycję europejskich metropolistów, bezkarnie drenując kontynent z talentów w każdej dziedzinie.

A potem przyszedł brexit.

W Wielkiej Brytanii, zwłaszcza wśród osób z innych krajów, popularny był model łączenia podstawowego kierunku z dodatkową filologią. W zależności od uczelni i wydziału można było to dzielić pół na pół lub w stosunku jedna trzecia – dwie trzecie, ale korzyść była oczywista. Sam fakt uczenia się innego języka na poziomie uniwersyteckim gwarantował spędzenie co najmniej semestru, a najczęściej całego roku w kraju, w którym ów język był używany na co dzień.

Każdy, kto kiedykolwiek mierzył się z wyzwaniem opanowania języka obcego, doskonale wie, że najlepsze efekty daje nieustanna praktyka. Dlatego Brytyjczycy wysyłali studentów do Francji, Hiszpanii, Włoch czy Ameryki Południowej.

Nie zawsze wracali z poziomem zaawansowanym – jak każdy proces edukacyjny nauka języka zależy także od predyspozycji, ambicji i pracowitości studenta. Ale zazwyczaj kompetencje językowe zna-

cząco się poprawiały. Nie mówiąc o wszystkich innych korzyściach wynikających z otrząskiwania się młodego człowieka z życiem i kulturą obcego kraju, często kolejnego już w jego życiu.

Czasami ten rok spędzony za granicą o tyleż wydłużał studia licencjackie, ale poza tym niósł same korzyści. Za naukę w innym kraju nie trzeba było płacić czesnego, bo – jak nam wyjaśniono – skoro w czasie naszego pobytu w Hiszpanii macierzysta uczelnia nie oferuje nam żadnych usług, nie byłoby uczciwe, żeby pobierała opłaty. Studenci dostawali też stypendium, często podwójne: z uniwersytetu i z Unii Europejskiej, bo brytyjskie programy wymiany były realizowane jako mutacja Erasmusa.

Nie był to też rok specjalnie stresujący – większość uczelni mnożyła wyniki osiągnięte na uczelniach kontynentalnych według bardzo niskiego przelicznika, przez co waga ocen z Hiszpanii czy Włoch była niewielka w porównaniu z przedmiotami zaliczanymi w Wielkiej Brytanii.

Odpadało także kryterium minimów programowych będące zmartwieniem studentów tradycyjnego Erasmusa. Co z tego, że zrealizują rok medycyny po włosku czy po angielsku, skoro potem muszą wrócić do domu i przez całe lato samodzielnie uczyć się i zaliczać egzamin z farmacji? Brytyjczycy, wydłużając studia o rok, zlikwidowali ten problem. Cel był postawiony jasno: to ma być czas na naukę języka. Chwila próby następowała po powrocie na Wyspy, kiedy kurs językowy przyspieszał. Kto nie skorzystał i spędzał czas z innymi Brytyjczykami czy Amerykanami – jego problem.

A jeszcze ów rok można było zrealizować w różnych formach: pracując w zaakceptowanej przez uczelnię profesji, ucząc angielskiego w placówkach British Council albo wyjechać na dowolny uniwersytet i samemu zorganizować sobie tam naukę. Wybór był imponujący i należał w całości do studentów. Obywatele Wielkiej Brytanii prawie co do jednego zgłaszali się na nauczycieli, bo wynagrodzenie z British Council było wyższe od unijnego stypendium. Bardziej spragnione przygód jednostki załatwiały sobie pobyt w Ameryce Łacińskiej czy francuskich terytoriach zamorskich na Pacyfiku.

W rezultacie tych, którzy chcieli skorzystać z bilateralnej wymiany studenckiej, było mniej niż dostępnych miejsc. Zamiast organizować konkurs ocen czy wprowadzać inne kryteria, nasz opiekun po prostu wypisał na tablicy nazwy miast, do których mogliśmy jechać, liczbę osób, które mogły tam trafić, po czym wyszedł z sali. Za kwadrans wrócił, a my rozdzieliliśmy pomiędzy siebie pobyt w Andaluzji, Kraju Basków, Katalonii, na Wyspach Kanaryjskich i w Galicji.

O edukacji w Wielkiej Brytanii lat 1998-2020 nie można tak naprawdę powiedzieć, że była brytyjska. Tamten system, który kaskadowo przełożył się na funkcjonowanie również szkół drugiego stopnia – czegoś na kształt naszych średnich – był umiędzynarodowiony do granic możliwości. Miał wiele wad, z komercjalizacją nauki i wysokim progiem wejścia na czele, tylko częściowo niwelowanym przez dostępność państwowych pożyczek.

Dostęp uczelni do publicznych pieniędzy paradoksalnie wprowadził logikę rynkową w zarządzanie samymi uniwersytetami. Przy niemal ciągłym napływie kandydatów, którzy mieli zagwarantowane przez państwo środki na czesne, uczelnie były w idealnej sytuacji – tworzyły dziesiątki nowych, często bezsensownych kierunków, na które i tak był popyt. Nie tylko Wielka Brytania, ale też cała Europa była spragniona dyplomu uniwersyteckiego z Wysp. Nawet jeśli był niskiej jakości i nie stało za nim wybitne wykształcenie, to cały czas dawał coś absolwentom: przewagę na rynku pracy, chociażby w ojczyźnie. Albo zwyczajny prestiż, spełnienie marzeń własnych i całej rodziny.

Druga strona tej opowieści to korzyści, jakie internacjonalizacja edukacji, możliwa w sporej części dzięki członkostwu w Unii, dała brytyjskiemu społeczeństwu i gospodarce.

Precyzyjne obliczenie wzrostu gospodarczego czy poprawy jakości życia wynikające ze ściągnięcia do siebie europejskich talentów nie jest możliwe z przyczyn strukturalnych: część studentów po zakończeniu nauki krążyła między Wielką Brytanią a innymi krajami, nie wszyscy w ogóle podjęli tu pracę. Poza tym nie da się dokładnie wycenić wartości lat pracy lekarza, badacza w naukach społecznych czy artysty, który do wykonywania zawodu potrzebował jednak uniwersyteckiego przygotowania merytorycznego. Lecz dostępne są szacunki i one akurat nie pozostawiają wielkiego pola do interpretacji.

Według danych Migration Advisory Committee, publicznej instytucji doradczej wspierającej rząd

w tworzeniu polityki migracyjnej, przed brexitem pomiędzy 20 a 25 proc. wszystkich absolwentów brytyjskich uczelni wywodzących się z krajów Unii decydowało się pozostać na Wyspach po studiach. Z kolei HESA, Higher Education Statistics Agency, inne ciało prowadzące badania na temat edukacji wyższej, szacuje, że na wszystkich poziomach nauczania w przedostatnim pełnym roku akademickim przed brexitem, a więc 2018/2019, w Anglii, Szkocji, Irlandii Północnej i Walii zapisanych na studia było 143 tys. obywateli UE.

Można więc założyć, że co roku 30-50 tysięcy młodych, nieźle wykształconych Europejczyków zasilalo brytyjski rynek pracy. Z ekonomicznego punktu widzenia byli to migranci najlepsi: świetnie znali język, w dodatku więcej niż jeden, bo oprócz angielskiego mówili też w swoim ojczystym i często jeszcze w jakimś innym. Obcokrajowcy wyróżniali się

na tle Anglików, zawsze relatywnie mało zainteresowanych i rozleniwionych faktem, że angielski to lingua franca.

Absolwenci byli też zasymilowani kulturowo i społecznie. I chętni, by integrować się jeszcze bardziej – zwłaszcza ci z najlepszych uczelni mogli liczyć na bardzo dobrze płatną pracę od razu po studiach. Z tych wszystkich i wielu innych powodów ci zdolni zostawali Brytyjczykami.

Dane HESA za okres po brexicie pokazują bardzo wyraźny trend. Już w roku akademickim 2021/2022, czyli pierwszym z rekrutacji przeprowadzonej prawie w całości po wyjściu z Unii Europejskiej, liczba studentów zza kanału La Manche spadła o jedną piątą. W kolejnym wynosiła już tylko 98 tys., niecałe 70 proc. tego co w okresie prebrexitowym.

Jednocześnie, co dowodzi urynkowania się uczelni, całkowita liczba studentów na wszystkich brytyjskich instytucjach edukacji wyższej nieprzerwanie rosła. Martin Wolf, główny komentator ekonomiczny „The Financial Times”, przytoczył ostatnio statystykę obrazującą przemiany w tamtejszym społeczeństwie. Na początku lat 60. zaledwie 2 proc. uczniów z danego rocznika szło w Wielkiej Brytanii na studia. W ubiegłym roku szkolnym 35 proc. – a to i tak spadek w porównaniu z wcześniejszymi rocznikami, gdzie po skończeniu ostatniego, 13. roku nauki w szkole na uniwersytety szło prawie 39 proc. absolwentów.

Tyle dane i wielkich liczb, których przytaczać można by jeszcze więcej. O to, jak edukacja wygląda po, zapytałem ludzi pracujących w tym sektorze. Do stałem historię o systemie walącym się od środka, dla którego brexit był katalizatorem, a nie zapalnikiem przemian.

– Kiedy ty u nas studiowałeś, na uczelni było mnóstwo osób z kontynentu. Pamiętam twój rocznik bardzo dobrze, liczył prawie 300 osób, a bywały grupy na seminariach, w których nie było żadnego Brytyjczyka – mówi mi dr Jenny Mathers, wykładowczyni stosunków międzynarodowych w Aberystwyth na co dzień zajmująca się Rosją i Ukrainą. Na pierwszym roku moich studiów współprowadziła obowiązkowy kurs ze strategii i bezpieczeństwa, dzisiaj regularnie z nią rozmawiam jako dziennikarz. O ile się dodzwonię, bo dr Mathers biega po anglojęzycznych mediach cały czas, od BBC po Times Radio.

– A dzisiaj?

– Dzisiaj Aberystwyth nie rekrutuje praktycznie żadnych studentów z Europy kontynentalnej. Na

pewno nie mamy już chętnych z Europy Środkowo-Wschodniej. To ogromna strata, bo ci studenci byli jednymi z najlepszych. Pracowici, zainteresowani światem, przynoszący inną perspektywę. To miało ogromną wartość zwłaszcza na naszych zajęciach. Politologia, stosunki międzynarodowe to z definicji kierunki zyskujące dzięki bogatej debacie – a bogactwo zależy przecież od tego, kto i z czym siada do tego seminaryjnego stołu. Chwalimy się, że naszym absolwentem jest były litewski komisarz unijny. Dzisiaj powtórzenie jego ścieżki nie byłoby możliwe, bo bez dostępu do pożyczek nie trafiłby do nas.

Doktor Mathers odnosi się do największej zmiany związanej z brexitem – utraty przez obywateli UE prawa do ubiegania się o państwowe środki na zapłatę czesnego. To najważniejszy z filarów kolejnych reform edukacyjnych, które przez 14 lat rządu realizowała Partia Pracy Tony’ego Blaira i Gordona Browna.

Zaczęli w 1998 r., kiedy wprowadzono powszechne czesne w wysokości 1000 funtów za rok. Jednocześnie uruchomiono ścieżki prowadzące do uzyskania tych pieniędzy od państwa. Blair, zgodnie ze swoją mantrą „edukacja, edukacja, edukacja” chciał, żeby na uniwersytety trafiły masy. Nie wynikało to z lewicowych przekonań, bo on i jego ekipa z tradycyjnym brytyjskim socjalizmem nie mieli absolutnie nic wspólnego. Szli trzecią drogą, wytyczoną przez słynnego socjologa i wykładowcę London School of Economics Anthony’ego Giddensa.

Na koniec rządów Nowej Lewicy wielu oskarżało ich wręcz o neoliberalizm pod czerwoną peleryną, ale to Blair wprowadził brytyjskie uniwersytety w XXI wiek. Twierdził, że w erze zglobalizowanej gospodarki Wielka Brytania ma szansę pozostać konkurencyjna, tylko jeśli będzie dysponowała doskonałe wykształconą populacją. Białe kołnierzyki miały być kluczem do sukcesu, a ponieważ wcześniej, zwłaszcza wskutek reform ery konserwatystów i Margaret Thatcher, dostęp do edukacji wyższej, tak jak inne instrumenty mobilności społecznej, został praktycznie zablokowany, takich ludzi w Wielkiej Brytanii wielu nie było. Powszechne, nieoprocentowane i bezwarunkowe pożyczki na studia okazały się najważniejszym czynnikiem tworzącym współczesne brytyjskie społeczeństwo.

Edukacyjne reformy Blaira zbiegły się z powiększeniem kompetencji władz poszczególnych krajów wchodzących w skład Zjednoczonego Królestwa oraz utworzeniem lokalnych parlamentów. Szkolnictwo wpisano w katalog ich prerogatyw, więc pomiędzy Anglią, Szkocją i Walią szybko narodziła się wewnętrzna rywalizacja.

Anglicy byli w najlepszej pozycji startowej, bo mieli najlepsze i najbardziej znane uniwersytety na Wyspach. Szkoci i Walijszczy, żeby przyciągnąć utalentowanych młodych Europejczyków, zaczęli więc oferować im, niezależnie od pożyczek, bezzwrotne granty, nie mówiąc o indywidualnych na poziomie uczelni stypendiach. I tak oto rząd Walii na dzień dobry pokrywał dwie trzecie czesnego, Szkocji w pewnym momencie nawet całość. Wprowadzono też różnice programowe, inaczej nadawano niektóre tytuły i stopnie. Ale ostatecznie ta fala napędzana edukacyjną imigracją naprawdę podnosiła wszystkie łódki w całym kraju.

– Tego, co zabrał brexit, nie zrekompensował napływ studentów z innych części świata – mówi mi dr Mathers. – Mamy nadal umowy z uniwersytetami na kontynencie, ale to nasze własne inicjatywy. Studenci czasem wyjeżdżają na wymiany, ale muszą płacić za cały rok studiów, nawet jeśli nie ma ich na miejscu, w Aberystwyth. Często widzę tych z pierwszego roku, którzy są bardzo podekscytowani perspektywą wyjazdu, a potem rezygnują, kiedy się dowiedzą o kosztach.

Utrata studentów międzynarodowych jest nie tylko bolączką małych, mniej znanych uczelni. To trend, który widać wszędzie w Wielkiej Brytanii. Te same pytania co mojej wykładowczyni zadają koleżance, Polce wykładającej na jednej z najlepszych brytyjskich instytucji.

– Twoje pytanie sugeruje, że spodziewasz się problemów z wypełnieniem miejsc przez brytyjskie uczelnie, a to nie do końca tak działa. Uniwersytety na Wyspach, lepsze i gorsze, funkcjonują jak naczynia połączone. Większość najlepszych placówek takich problemów raczej nie ma. Bywają tymczasowe kryzysy, jak w pandemii, ale one są rozwiązywane prostym sposobem: obniżeniem kryteriów rekrutacyjnych. Na najlepsze uczelnie dostają się po prostu ci, którzy w innym roczniku spadliby niżej. Cierpią uniwersytety z drugiej, trzeciej ligi. Choć one też próbują sobie radzić, poszerzając pulę. Przecież z roku na rok liczba osób idących na studia rośnie – mówi mi dr Paulina*.

Z jej perspektywy negatywne skutki brexitu nie są aż tak widoczne jak na niewielkim walijskim uniwersytecie. Przyznaje jednak, że ma „nieco mniej studentów europejskich, w tym zauważalnie mniej z Europy Środkowej”. Przybyło Chińczyków i Ukraińców – choć w tym drugim przypadku to raczej konsekwencja rosyjskiej agresji, a nie zaplanowany trend edukacyjny.

Paulina jest jednak ostrożna, mówi, że tendencje wahają się z roku na rok i jest za wcześnie, żeby w przypadku jej uczelni wyciągać wnioski.

Obie moje rozmówczynie są jednak zgodne w czym innym – brytyjskie uczelnie stały się jeszcze bardziej elitarne.

Po utracie władzy przez Nową Lewicę kolejne rządy podnosiły czesne, a po brexicie studenci z Unii utracili dostęp do rządowych pożyczek, bo Londyn nie musiał już ich traktować na równi ze studentami krajowymi. W rezultacie dzisiaj bez względu na to, czy pochodzi się z Singapuru, USA, Boliwii czy Niemiec, za naukę płaci się kilkadziesiąt tysięcy funtów rocznie. Przez to znów jest więcej studentów z Wielkiej Brytanii, a jednocześnie nastąpiła korekta klasowa. Czy raczej cofnięcie korekty.

– Brytyjskie uniwersytety zawsze były drogie, zwłaszcza jeśli popatrzeć na edukację szeroko, biorąc pod uwagę także bardzo wysokie koszty życia, ale w ostatnich dekadach siłą systemu był unikalny międzynarodowy miks. Teraz nadal będzie międzynarodowo, ale zaczną przeważać studenci z bogatych i bardzo bogatych domów – ocenia Paulina.

– Z Unii korzystaliśmy wszyscy jako naród – dodaje dr Mathers. – Aberystwyth to małe miasteczko na końcu kraju, a nawet tutaj mieliśmy lekarzy, dentystów, specjalistów z krajów unijnych. Z brexitem to się skończyło, widzę to także w nauce. Najbardziej odczuli go pracownicy na etatach, którzy biorą udział w konsorcjach badawczych. Brytyjscy naukowcy mogą jeszcze uczestniczyć w projektach finansowanych z unijnego programu Horyzont, ale nie wiadomo, jak długo. Przez to wiele z naszych kontaktów zawodowych stało się, lekko mówiąc, kłopotliwych. Niedawno rozmawiałam z koleżanką z Holandii, która organizuje międzynarodowy zespół badawczy. Z lekkim zakłopotaniem powiedziała mi, że nie może zaprosić ani mnie, ani nikogo z Wielkiej Brytanii, bo jej grant przewiduje tylko finansowanie dla naukowców z Unii. Widziałam, że było jej głupio. A ja zrozumiałam, że dla reszty Europy staliśmy się balastem.

Jednocześnie liczba studentów zagranicznych spoza Unii na brytyjskich uczelniach po brexicie wzrosła. To zresztą tendencja, która utrzymuje się od wielu lat. W roku akademickim 2012/2013 obywatele krajów innych niż unijne studiujących w Wielkiej Brytanii było nieco ponad 299 tys. W roku 2020/2021, tuż przed wyjściem Londynu ze Wspólnoty – półtora raza więcej. W roku 2022/2023, ostatnim, za który HESA publikuje pełne dane, już przeszło 663 tysiące.

Odpłynęli za Kanał la Manche

2 proc.

• brytyjskich uczniów szło na studia na początku lat 60. W ostatnich latach – 35-39 proc.

30-50 tys.

• młodych, wykształconych na brytyjskich uczelniach Europejczyków zasilalo co roku rynek pracy na Wyspach

143 tys.

• obywateli UE studiowało w Wielkiej Brytanii w ostatnim roku przed brexitem. W pierwszym roczniku rekrutacji po brexicie – 98 tys.

299 tys.

• zagranicznych studentów spoza krajów UE było na Wyspach w roku akademickim 2012/2013. W roku 2022/2023 przeszło 663 tys.

22,7 tys.

• młodych Brytyjczyków podeszło do matury z francuskiego w 1996 r. Dziś 7,5 tys.

2 tys.

• nauczycieli języków obcych na poziomie przeduniwersyteckim brakuje w Wielkiej Brytanii

60 proc.

• szkół w Anglii ma z problem z wakatami lektorów języków obcych

Innymi słowy, brexit w edukacji – podobnie jak w wielu innych płaszczyznach – przyniósł skutki odwrotne do zamierzonych. Miał ograniczyć imigrację, ale ją zwiększył. Przybyło imigrantów teoretycznie tych, których prawica nie chciała i o których napływ obwiniała Unię – pochodzących spoza Europy, a więc często innych etnicznie i religijnie.

Zwolennicy wyjścia obiecywali też zwiększenie roli Wielkiej Brytanii w świecie, a wypchnęli ją na margines europejskiej orbity badawczej i edukacyjnej. W dodatku przyspieszyli proces urynkowania edukacji, co za kilka lat odbije się wzrostem nierówności społecznych. Wreszcie – poza kilkoma wyjątkami, które obronią się globalną renomą – obniżyli poziom całego sektora, bo wyjęli z niego element studentów z kontynentu: zdolnych i często bardziej od miejscowych zdeterminowanych, zastępując go przeciętniakami branymi z własnego podwórka.

Przed wszystkim jednak opuszczenie Wspólnoty wyciąga na powierzchnię cechy, które w brytyjskim społeczeństwie istniały od zawsze, ale przykrył je globalizm zapoczątkowany przez Blaira i Browna.

Na poziomie anegdotycznym obserwowałem to na wszystkich uczelniach, na których przebywałem. Wydziały filologiczne miały zawsze więcej obcokrajowców niż Brytyjczyków, mimo że ci drudzy stanowią ponad 70 proc. wszystkich zapisanych na studia na Wyspach osób. Jeśli już języki studiowali, to po linii najmniejszego oporu, szukali sposobu na trzymanie się angielskiego zawsze i wszędzie. Na stosunkach międzynarodowych bywało lepiej, ale za interesowanie konkretnymi obszarami globu wykazywali bardzo nieliczni. W moim college’u na Oksfordzie, specjalizującym się w area studies, naukach o zdefiniowanych obszarach świata, na ćwierć tysiąca aktywnych studentów doliczyliśmy się z kolegami czwórki z brytyjskim paszportem – z czego dwójka aż do studiów mieszkała w innych krajach, w dawnych koloniach imperium.

Taki obrót spraw przestaje dziwić, jeśli wyjdzie się z perspektywy anegdoty i spojrzy na dane systemowe. Brytyjczycy nie poświęcają czasu na edukację dotyczącą reszty świata, bo ta wymaga także zdolności językowych.

A o takie na Wyspach coraz trudniej, zwłaszcza przed pójściem na uniwersytet – bo młodzież ani nie

jest językami zainteresowana, ani nie ma się od kogo uczyć. Według danych „Times Higher Education” w 1996 r. 22 700 osób na Wyspach podchodziło do egzaminu A-levels, tamtejszej matury, z francuskiego. Dzisiaj język sąsiadów z drugiej strony kanału jest nadal najbardziej popularny, ale wybiera go tylko 7,5 tysiąca kandydatów – mimo że ogólna liczba maturzystów zdecydowanie wzrosła.

Podobnie jest z innymi językami: hiszpańskim, niemieckim, włoskim. W rezultacie trudno mówić o liczbie uczniów władających tymi językami na poziomie, który byłby społecznie użyteczny. Maturzystów z włoskiego w ostatnim roku szkolnym było w całej Wielkiej Brytanii 800 – podaje „Times Higher Education”. Tyle samo co z łaciny. To zresztą spełnienie marzeń Borisa Johnsona, byłego premiera z ramienia torysów, ekscentrycznego elitarystycznego populisty i absolwenta filologii klasycznej na Oksfordzie, który jeszcze jako burmistrz Londynu chciał wymusić na własnej partii wprowadzenie obowiązkowych lekcji z łaciny we wszystkich szkołach prowadzonych przez państwo.

Młodzi Anglicy, Szkoci czy Walijszczyki mają problem z językami też dlatego, że po brexicie nastąpił exodus części nauczycieli, a nowi nie przyjechali – bo brexit. W rezultacie, jak szacuje British Council, w kraju brakuje 2 tysięcy osób zdolnych uczyć języków obcych poniżej poziomu uniwersyteckiego. 60 proc. szkół w Anglii przyznaje, że ma z tym problem, w jednej trzeciej to problem poważny. W praktyce oznacza to, że albo zajęcia z języków się w ogóle nie odbywają (od 2004 r. nie są już obowiązkowe do 11. roku nauki), albo prowadzą je nauczyciele zastępczy, bez odpowiednich kwalifikacji.

Kiedy pytam moje rozmówczynie o prognozy, obie są pesymistyczne, choć z różnych powodów. Paulinę martwi rosnąca prekaryzacja zawodów naukowych, coraz większa biurokracja, zmniejszana liczba etatów przy zwiększaniu obowiązków dydaktycznych, przez co naukowcy nie uprawiają nauki, tylko przerzucają papiery. Doktor Mathers obawia się, że system się zawali, bo zabraknie w nim świeżej krwi z krajów europejskich. Konkurencja nie śpi, uczelnie z kontynentu przejęły już w dużej mierze ruch studencki z krajów unijnych.

W „Szatańskich wersetach” Salman Rushdie pisze o Anglikach jako o narodzie tak bardzo zakochanym w sobie, że wręcz ignorującym istnienie innych państw. George Orwell w tomie „Anglicy i inne eseje” stawia tezę, że źródłem triumfu Brytyjczyków w szczycie imperium był ich język, a właściwie jego szeroki zasób słów i banalnie wręcz prosta gramatyka. Po tylu latach oba spostrzeżenia pozostały aktualne, tylko zmieniły się wektory. Dziś są źródłem nie brytyjskiej siły, lecz słabości. ●

*imię zmienione na prośbę bohaterki



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydawnictwach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.



• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE, współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

Daniel Verdu

EL PAÍS

liderka skrajnie prawicowego francuskiego Zjednoczenia Narodowego ostrzega, że ponownie obali rząd, jeśli nowo mianowany premier zignoruje żądania jej partii.

Polityczna kariera 56-letniej Marine Le Pen po raz kolejny przyspieszyło w czerwcu wraz z nieoczekiwanym rozwiązaniem parlamentu zadekretowanym przez prezydenta Emmanuela Macrona. Sześć miesięcy później, już po wyborach, po rekordowo szybkim upadku nowego rządu premiera Michela Barniera, którego ostatnio zastąpił François Bayrou – to nadal od decyzji Le Pen zależy los francuskiego rządu. Macron i desygnowany przez niego szef rządu bez poparcia Nowego Frontu Ludowego – który oczekuje stanowiska premiera dla siebie jako największej koalicji w parlamencie – pozostają na łasce skrajnej prawicy.

Le Pen przyjęła nas w swoim paryskim biurze, które dzieli z Jordanem Bardellą, 29-letnim przewodniczącym partii – i jej ewentualnym zastępcą w najbliższych wyborach, gdyby wyrok sądu zablokował kandydaturę Le Pen.

Le Pen już trzykrotnie stawiała w szranki o Pałac Elizejski, dwukrotnie dostając się do II tury. Przekształciła dawny Front Narodowy założony przez jej ojca, radykalnie go odmładzając, odcinając się od antysemickiego i rasistowskiego bagażu i w efekcie anihilując klasyczną prawicę we Francji. W ostatnich wyborach parlamentarnych ZN zdobyło ponad 10 milionów głosów, a Marine Le Pen jeszcze nigdy nie była tak blisko spełnienia prezydenckiego marzenia swojej rodziny. A jednak wszystko to może zostać przekreślone 31 marca, kiedy poznamy werdykt w procesie o defraudację funduszy europejskich. Wyrok skazujący może zdyskwalifikować Le Pen w wyborach na pięć lat.

Jak przyjmuje pani desygnację François Bayrou na premiera?

– Bayrou musi pamiętać, że nie został powołany do realizowania własnej polityki, ale do konstruowania budżetu z uwzględnieniem postulatów trzech głównych sił w Zgromadzeniu Narodowym. Znam jego przywiązanie do demokracji, ma dobre intencje. Ale poczekamy i zobaczymy, jaki budżet przedstawi. Jeśli będzie podobny do tego, który przedstawił Michel Barnier, Bayrou skończy swoją misję podobnie.

Czy naprawdę przyłożyła pani rękę do odwołania Barniera tylko za to, że nie zaktualizował emerytur o wskaźnik cen towarów i usług?

– Barnier upadł, ponieważ był zbyt arogancki. Popelił błąd w ocenie naszych postulatów, sądził, że będziemy zadowoleni z kilku rzuconych okrucichów.

Czyli odrzucicie budżet przedstawiony przez Bayrou, jeśli nie spełni tych samych żądań?

– Tak, bo Francja to obecnie kraj o najwyższych obciążeniach podatkowych na świecie, a ludzie zastanawiają się, gdzie właściwie przepuszczane są ich pieniądze.

Problemem Francuzów nie jest to, że nie akceptują wysokości swoich podatków, tylko sposób, w jaki trwonione są środki budżetowe. Nie możemy podnosić podatków, gdy ludziom nie starcza na rachunki za prąd. Aby to zrobić, konieczna jest najpierw rewizja nadmiernych wydatków państwa.

Ale istnieje wrażenie, że wywieracie presję na Macrona bez żadnego zainteresowania stabilno-



ścią kraju, a więc przy pierwszej okazji zgłosicie kolejny wniosek o wotum nieufności.

– Nieprawda. Gdyby tak było, zrobilibyśmy to od razu. To, co nas zajmuje, to interes narodu francuskiego: jeśli zostanie on należycie uwzględniony, nie będziemy wnosić o wotum nieufności tylko po to, by utrudnić życie naszym politycznym przeciwnikom.

Choć twierdzi pani, że jest gotowa do rządzenia krajem, to generuje pani teraz bezprecedensową polityczną niestabilność we Francji.

– Jeśli jest niestabilność, to tylko z winy Macrona. W ciągu siedmiu lat wygenerował bilion długu publicznego i to właśnie skomplikowało sytuację kraju. To on rozwiązał parlament, wierząc, że wygra przyspieszone wybory – a je przegrał. I właśnie mianował kolejnego premiera, ale w rzeczywistości mia-

nował samego siebie, bo Bayrou nie jest w tej sytuacji samodzielny.

Nie jesteśmy tu po to, by destabilizować sytuację, ale by zmienić politykę narzucaną od lat Francuzom. Nie boimy się korzystać z instrumentów, jakie daje nam konstytucja, aby zapewnić poszanowanie woli niemal 11 milionów wyborców. Ale nie znajduję w tym żadnej przyjemności.

Czy Macron powinien podać się do dymisji, zrezygnować z dokończenia drugiej kadencji?

– To nie ja powinnam mu mówić, co ma robić. To od niego zależy, czy uzna, że już nie jest w stanie dalej sprawować swojego urzędu, skoro nie jest już w stanie zrobić nic pozytywnego dla kraju. Jeśli w pewnym momencie znajdzie się w pułapce ograniczeń francuskiej konstytucji, według mnie będzie musiał zadać sobie to pytanie.

Polityczne zamieszanie w Paryżu, które Macron wywołał rozwiązaniem parlamentu, ma już swoje wymierne skutki: m.in. pomogło szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen podpisać porozumienie o wolnym handlu z Mercosurem (Argentyna, Brazylia, Paragwaj i Urugwaj), któremu od dawna sprzeciwiała się cała Francja w imię interesów swoich rolników.

– Nic podobnego, Macron podjął decyzję w tej sprawie już kilka miesięcy temu. Uważa, że narody każdej z osobna nie mają już wpływu na swoją przyszłość. A kto jest za to odpowiedzialny? Francuscy i europejscy przywódcy polityczni, którzy pozwolili Komisji stać się wszechmocnym superrządem. Mam nadzieję, że w Radzie Europejskiej znajdzie się

Grożą mi dyskwalifikacją ze startu w wyborach, choć połowa Francji chce na mnie głosować?
To byłby poważny kryzys

Z A EUROPE



MARINE LE PEN: Mój wróg to Komisja Europejska, nie Putin

– Trzeba pilnie wdrożyć politykę
odstraszania potencjalnych
migrantów, strefa Schengen
tylko dla Europejczyków – mówi
faworytka wyborów prezydenckich
we Francji w 2027 r.

28

FOT. REUTERS/SARAH MEYSSONIER

mniejszość blokująca, która ostatecznie uniemożliwi wejście tej umowy w życie.

Nie się nie zmieniło w pani krytycznym podejściu do UE?

– Jestem głęboko eurosceptyczna. Nie jestem przeciwko współpracującej Europie, ale uważam jej obecny model funkcjonowania za antydemokratyczny, antynarodowy i całkowicie sprzeczne z suwerennością narodów. Kiedy kraj nie jest już w stanie skutecznie bronić swoich żywotnych interesów, przestaje istnieć demokracja. Moja partia zagłosowała kilka dni temu przeciwko umowie z Mercosurem. Ale to nie przeszkadza władzy, aby podpisać ją bez uwzględnienia opinii przedstawicieli narodu francuskiego. Nie mogę tego zaakceptować.

Wielu komentatorów zakłada, że dąży pani do zmuszenia Macrona do rezygnacji przed końcem marca, kiedy to powinien być znany werdykt w procesie, w którym jest pani oskarżona o defraudację funduszy europejskich, co mogłoby panią dyskwalifikować na lata z życia publicznego.

– To absurdałne założenie, które demaskuje spiskowe patrzenie naszych przeciwników na rzeczywistość.

Spodziewała się pani takiego wniosku prokuratury: pięć lat więzienia i kolejne pięć lat zakazu działalności politycznej?

– Nikt nie spodziewał się tak brutalnego i niesprawiedliwego ataku. Oburzenie wyszło daleko poza szeregi ZN. Nawet Jean-Luc Mélenchon, [lider lewicowej koalicji Nowego Frontu Ludowego], powie-

dział, że uważa ten rodzaj politycznej inkwizycji za niedopuszczalny.

Francuzi zdali sobie sprawę, że są w tym kraju sędziowie i prokuratorzy, którzy uważają, że mają prawo bezpośrednio wpływać na wybory. Że ich władza jest istotniejsza niż wola ludu. Ale wyrok nie został jeszcze wydany i nie sądzę, aby odważyli się posunąć do tak radykalnych sankcji.

Czuje się pani prześladowana?

– Żadna władza nie jest większa od woli wyborców. Gdyby sędziowie zdecydowali się pójść za wnioskiem prokuratury, mielibyśmy do czynienia z prawdziwym konfliktem i kryzysem legitymacji władzy.

To brzmi jak wezwanie do buntu.

– Wcale nie. Ale spójrzmy na to tak: trzykrotnie kandydowałam na prezydenta, dwukrotnie wchodziłam do II tury, a obecne sondaże wskazują, że w 2027 r. mogę wygrać. Tymczasem trzech sędziów może uniemożliwić mi kandydowanie, i to nawet jeśli połowa Francuzów chce na mnie głosować?

Co stanie się jednak stanie w przypadku, gdy nie będzie pani mogła wystartować w wyborach?

– Jest w naszej partii polityk, który może dalej realizować jej idee. Ale ani Jordan Bardella, ani ja nie myślimy na razie o tym.

Czy uważa pani, że Bardella jest gotowy, by zostać prezydentem Republiki?

– Ja będę kandydatem na prezydenta, a on w razie wygranej będzie moim premierem.

ZN od lat próbuje się normalizować, porzucić wizerunek partii radykalnej i wejść do mainstreamu. Czy wniosek o wotum nieufności nie zostanie odebrany jako awanturnictwo przez liberalny i wielkomiejski elektorat, który jest przynajmniej częściowo potrzebny, by zdobyć Pałac Elizejski?

– Bynajmniej. Media wieszczyły, że stracimy po decyzji o wotum nieufności. Ale kilka dni później sondaż dał mi 38 proc. w pierwszej turze wyborów prezydenckich. I to w sytuacji, gdy tak wielu prawicowych wyborców darzy sympatią Barniera. Bo może Barnier jest konserwatystą, ale przedstawił lewicowy budżet.

Nie uważa się pani za reprezentantkę prawicy?

– Nie. Zwłaszcza jeśli prawicowy program polega obecnie na porzuceniu wszelkiej polityki społecznej. Wierzę w strategicznie zarządzane państwo inspirowane nurtem gaullistowskim. Nie uważam, że powinno ono ograniczać się wyłącznie do swoich realistycznych uprawnień. W tym sensie jestem trochę nieklasyfikowalna.

W kilku krajach widzimy współpracę centroprawicy i prawicy skrajnej – we Włoszech między Forza Italia i partią Bracia Włoscy premier Giorgii Meloni. W Hiszpanii między Partią Ludową i Vox. Ale we Francji jeszcze nie. Czy to nie będzie konieczne, aby dojść do władzy?

– Mamy bardzo mało wspólnego z Republikanami czy z tym, co zostało z konserwatywnego UMP. Wystarczy spojrzeć na sposób, w jaki lider parlamentarnej Groupe Droite républicaine Laurent Wauquiez zwracał się do mnie podczas procedowania wotum nieufności. Tak pogardliwie, że aż obraźliwie. Poza tym dzielą nas istotne różnice merytoryczne.

Pani także nie przebiera w słowach pod ich adresem.

– Ale przynajmniej nie okazuję arogancji ani pogardy. Wauquiez jest gotów rządzić wspólnie z Partią Socjalistyczną! Już mój ojciec mawiał o postgaullistach i socjalistach, że to ta sama treść pod różnymi kolorami. Dziś widzimy coś podobnego: blok politycznych elit, który chce się sprzymierzyć, aby utrzymać swoją pozycję. To jednak buduje formę politycznej dwubiegowości, która jeszcze bardziej uwypukla naszą sytuację: my kontra reszta, czyli establishment.

Dlaczego Meloni udało się już dojść do władzy, a pani nawet nie buduje z nią wspólnej frakcji europejskiej?

– Ponieważ Meloni ma bliskie relacje z Ursulą von der Leyen, której ja nie chcę popierać: ta przewodnicząca Komisji jest wszystkim, czego musimy unikać, aby chronić narody europejskie. Ona, jej Komisja, komisarz ds. rolnictwa, który popiera Zielony Ład, który popiera Mercosur – to wszystko jest dokładnym przeciwieństwem naszych poglądów. Rozumiem, że Włochy są w innej sytuacji niż Francja i nie osądzam Giorgii Meloni. Plan naprawczy, który Włochy otrzymały, niezbędny dla ich stabilności finansowej, nie ma da się porównać z francuskim: 240 miliardów euro wobec 40 miliardów. Włochy muszą polegać na dobrej woli UE. My nie jesteśmy w takiej sytuacji, możemy swobodnie krytykować Komisję von der Leyen, czyli kwintesencję wszystkiego, z czym walczymy.

Więc pani dawny plan na europarlamentarną frakcję razem z Meloni jest nieaktualny?

– To Meloni tego nie chciała. Nie chodzi o to, że nie mogliśmy wykuć wspólnego programu, tylko o to, że powiedziano jej, że jeśli dołączy do nas, zostanie odgradzona kordonem sanitarnym. Sama von der Leyen oznajmiła jej, że jeśli do nas dołączy, będzie traktowana jak parias, bez włoskiego wiceprzewodniczącego KE, bez wpływów w Brukseli, bez niczego.

Co sądzi pani o pomysle Meloni, by tworzyć ośrodki deportacyjne dla imigrantów poza granicami UE?

– Nie sądzę, że to skuteczne rozwiązanie. Trzeba raczej wdrożyć politykę odstraszania potencjalnych migrantów. To, co dzieje się w Europie, to szaleństwo: przyciągamy migrantów, a następnie zastanawiamy się, jak nimi zarządzać. Sprawy azylowe powinny być rozpatrywane w zagranicznych konsulatach i ambasadach. Nikt nie powinien być w stanie postawić stopy w Europie bez odpowiedniego zezwolenia.

Musimy znieść swobodny przepływ osób i ograniczyć go w ramach strefy Schengen do obywateli

LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE



krajów strefy Schengen. Kilka lat temu kanclerz Niemiec Angela Merkel jednego dnia otworzyła granicę dla miliona migrantów. Niektórzy zostali w Niemczech, ale dokąd udała się reszta? Do innych krajów. Nie możemy na to więcej pozwolić.

Ma pani na myśli ograniczenie swobody przemieszczania się do osób posiadających obywatelstwo krajów UE?

– Tak, jeśli jakiś kraj przyjmie milion imigrantów, to wyłącznie jego problem. Jego decyzja nie może doprowadzić do niepożądanych problemów dla innych. A to właśnie dzieje się dziś w strefie Schengen.

Ale to byłoby sprzeczne z podstawami Unii Europejskiej.

– Nie, ponieważ swobodny przepływ osób posiadających obywatelstwo danego kraju byłby nadal zachowany. Początki Schengen nigdy nie zakładały, że osoba np. z Afryki, której Włochy pozwolą pozostać na swoim terytorium, będzie mogła udać się do wszystkich innych krajów UE. Pierwotnie chodziło wyłącznie o to, by ludzie posiadające obywatelstwo włoskie, niemieckie czy hiszpańskie mogli się swobodnie przemieszczać po Europie.

Jasne, ale traktaty mówią również o redystrybucji migrantów, którzy zawsze wjeżdżają przez granice zewnętrzne UE do krajów takich jak Włochy czy Grecja.

– Jesteśmy zmuszani do przyjmowania migrantów pod groźbą grzywny w wysokości milionów euro. Czy uważa pan, że mogą to zaakceptować? Oczywiście, że nie.

Czy Francja potrzebuje kolejnej ustawy imigracyjnej, którą zaproponował poprzedni rząd, aby uzyskać wasze poparcie?

– Proszę posłuchać, dopóki nie włączymy praw cudzoziemców do francuskiej konstytucji z pewnymi ograniczeniami, które chcemy nałożyć, i dopóki nie przypomnimy UE, że jej uchwały i orzecznictwo nie mogą być stosowane we Francji, gdy są sprzeczne z naszą konstytucją, tak naprawdę nie rozwiążemy problemu.

Takie podejście jest również całkowicie sprzeczne z duchem UE.

– Ale można to zrobić za pomocą referendum konstytucyjnego, o którym zadecyduje nowy Prezydent Republiki.

Wskaźnik urodzeń we Francji jest najniższy od lat 50. Bez nowych migrantów, kto będzie pracował na emerytury dla pokolenia Jordana Bardelli, który obecnie nie ma jeszcze 30 lat?

– Że polegamy na pracy migrantów, to kłamstwo rozpowszechniane od lat. W rzeczywistości tylko 10 proc. imigrantów przybywających do Francji ma

Ukraina nie może wygrać z Rosją, a Zachód popychał ją do wojny

umowę o pracę. Tak więc z 500 tys. osób, które przyjeżdżają każdego roku, tylko 50 tys. pracuje legalnie.

To nie ich wina, ale systemu, który powinien ich zintegrować.

– To wina tych, którzy ich przyjmują, ale ci ludzie i tak nie mogą rozwiązać problemów naszego kraju. W rzeczywistości znacznie pogarszają wszystkie nasze instytucje, ponieważ obciążają nasz system biurokratyczny, nasze szkoły, służbę zdrowia, mieszkalnictwo komunalne. Ciężar jest zbyt duży i Francja przeżywa w związku z tym poważne trudności. Musimy zatrzymać tę imigrację i w zamian zachęcać francuskie rodziny do posiadania większej ilości dzieci. Wszystko to jest długim procesem, który należy rozpocząć, w przeciwnym razie będziemy skazani na powolną śmierć jako naród.

Brzmi to dokładnie jak skrajnie prawicowa teoria „wielkiej wymiany”.

– Nic podobnego. Problem polega na tym, że cała historia świata jest historią demografii. Jeśli w Europie przestaną się rodzić dzieci, zamienimy się w wielki dom starców, podczas gdy Afryka ma nadal bardzo wysokie wskaźniki dzietności. W pewnym momencie presja demograficzna spowoduje straszne skutki.

Jeśli Macron nie może mieć działającego rządu, nadaje się do dymisji

Czy jako prezydent nadal wysyłałaby pani broń do Ukrainy?

– Wojna niebawem się skończy. Mówiłam to od początku: Ukraina nie mogła wygrać tego konfliktu. Popchnęliśmy ją do kontynuowania wojny, która przerodziła się w prawdziwą masakrę wojska i ludności cywilnej. Jedynym sposobem na zwycięstwo Ukrainy była interwencja NATO, a to oznaczałoby III wojnę światową. Myślę, że Donald Trump sprowadzi Putina i Zelenskiego do stołu negocjacji i znajdzie się dyplomatyczne rozwiązanie.

Czyli wygrana Trumpa wydaje się pani dobrą wiadomością?

– Może gdybym była Amerykanką. My będziemy musieli ponieść konsekwencje broniienia przez niego interesów swojego kraju. Nie mogę go za to winić, ale wiem, że mogą one być sprzeczne z interesami Francji, która nie ma teraz kontroli nawet nad własną polityką handlową i jest faktycznie zależna od UE w kwestii swoich interesów gospodarczych.

Czy Putin stanowi według pani jakieś zagrożenie dla bezpieczeństwa Europy?

– Nie sądzę, by miał ambicje, a przede wszystkim środki, by podbijać Europę, jak się czasem twierdzi.

Powiedziała pani kiedyś, że to wielki mąż stanu, jak ocenia go pani teraz, po trzech latach wojny przeciwko Ukrainie i innych agresywnych działaniach?

– Kilka lat temu, kiedy Francja próbowała przywrócić stosunki z Rosją, twierdziłam, że nie powinniśmy lekceważyć Putina. Rosja w latach 90. została zdewastowana przez grabież Jelcyna i spółki, a Putin zdołał przywrócić jej ważną rolę na arenie światowej.

W Hiszpanii ma pani sojuszników. Co was łączy z Vox?

– Z Santiago Abascalem, liderem Vox, łączy nas: pragnienie obrony suwerenności narodowej, sprzeciw wobec niekontrolowanej imigracji i przywiązanie do naszych tradycji. ●

tłum. Łukasz Grzymiśławski



• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPEĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34353190

W CZWARTEK, 2 STYCZNIA W „WYBORCZEJ”

Co się zmieni w 2025 r.

- O ile podrożeje jedzenie, benzyna, prąd...
- O ile wzrosną emerytury
- Jakie zmiany czekają mikroprzedsiębiorców

Dodatek specjalny



Zaraz za wioską zaczęłam *biec*

21 lat temu chodziły
do ogólniaka i uciekły
przed obrzezaniem.
Co u nich słysząc?



Radosław Leniarski

Napisalem kiedyś artykuł „Biegnij, dziewczynko” o 16 najodważniejszych dziewczynach w Kenii – dzielnych, choć bardzo bały się bólu.

Plakała przy nim podobno Helena Łuczywo, redaktorka i surowa kobieta, choć nie pozwalała sobie na okazywanie słabości. Inni przy niej płakali, ona nigdy. Postanowiłem, że zamknę nieskończoną historię. Do powrotu do Kenii zmusiło mnie moje własne zdanie, ostatnie w artykule z 2003 r.: „Nie mam z nimi kontaktu, nie wiem, czy im nic nie grozi. Mają niewielkie szanse, by uciec po raz trzeci”.

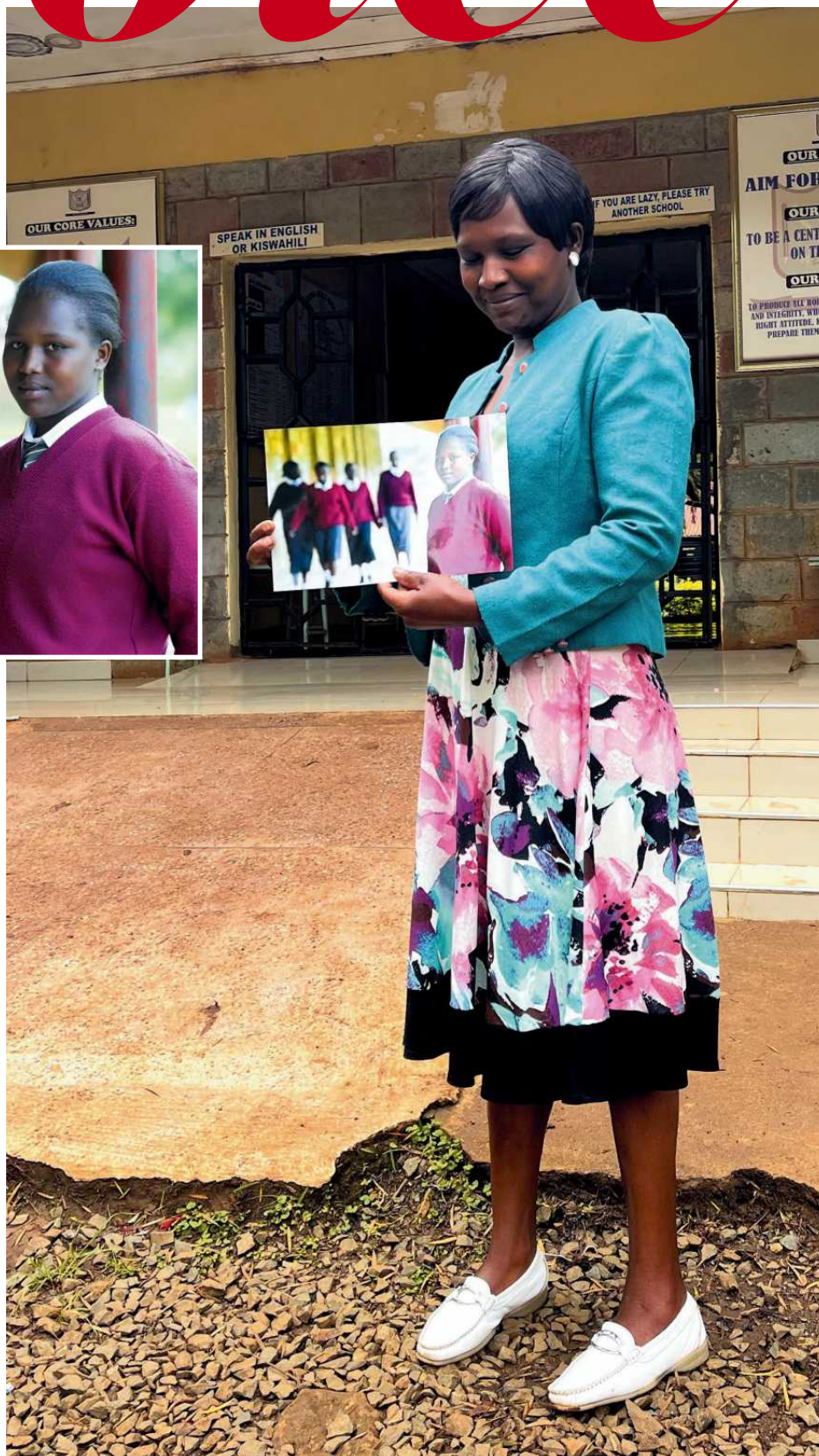
Chciałem się dowiedzieć, czy uciekły na zawsze.

Rzecz dotyczyła jednej z najbardziej niezwykłych historii współczesnej Afryki i współczesnej Kenii: wiele lat temu kilkanaście nastolatków dokonało wyłomu w tradycji, uciekając przed rytualnym obrzezaniem. Oprócz tego, że towarzyszył im strach przed bólem, nie godziły się na zerwanie ze szkołą, na przedwczesne małżeństwo. Uciekły przed krwawym obrzędem, narażając się na gniew rodziny i wioski. Pamiętam słowa 14-letniej Alice, gdy rozmawialiśmy na polanie przed szkołą w Ngerii: „Chcę zostać prawniczką, specjalistką od praw kobiet. Wszystko, co mi się przytrafiło, ma swój początek w tym, że świat faworyzuje mężczyzn”.

Przecież nic złego im się nie mogło stać, prawda?

Mniej więcej po 2015 roku myślałem o powrocie do Marakwetu i Uasin Gishu wracała regularnie jak ból reumatyka przy zmianie pogody. Wystarczyło zdjęcie z Afryki w witrynie biura podróży i ciach – przez głowę przelatywała myśl: „czy u nich wszystko jest w porządku?”.

Mamy wdrukowany głęboko mechanizm, dzięki któremu skłonni jesteśmy my-



• Alice Cherop w swojej szkole w Ngeria - w 2003 r. i w 2024

FOT. RADOŚLAW LENIARSKI / GAZETA WYBORCZA I KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

śleć, że dobre decyzje – te, o których myślimy, że są dobre – podjęte w trudnej chwili przed laty powinny oddać dobrą energię w późniejszym życiu. Że dzięki pracy i poświęceniu człowiek potrafi się wyrwać okolicznościom, w jakie wmanewrowało go życie zaraz na początku albo nawet zanim się urodził. Chętniej odrzucamy niewygodną prawdę potwierdzoną zbyt wieloma dowodami, że idziemy torami wyznaczonymi przez dom rodzinny i otoczenie. Z niewielkimi korektami.

Postanowiłem, że dowiem się, co się stało z małymi bohaterkami. Ale gdzie one są? Jak je odnaleźć i spotkać się z nimi?

I z tego wszystkiego w połowie października 2024 r. siedziałem na wsi w środkowej Kenii z Alice, Zipporą i Mariam, wdową po Kenie Wafuli, w kurzej chatce Edny i jej męża Lawrence’a z ich pięciorgiem dzieci, jedząc pod blachą falistą kozłinę z kapustą i słuchając, co działo się u nich przez ostatnie 20 lat.

Najpierw o nich opowiem.

Edna Kandie i jej siostra Beatrice uciekły przed matką.

W grudniu 2002 r. 17-letnia Edna i 16-letnia Beatrice tak bardzo bały się ob-

rzezania, że uciekały przed nim przez równikowy las. Po trzech dniach ucieczki złapał je pościg, który zorganizowała matka, znana w okolicy z biegłości w obrzezaniu. Ponownie pomógł im uciec brat – tym razem na dobre – a ktoś z pobliskiego kościoła poradził im, aby zgłosiły się do aktywistów i obrońcy praw człowieka w Eldoret Kena Wafuli.

Wkrótce Wafuła po raz drugi zajął się FGM, jak skrótowo – od angielskiego „female genital mutilation” – określa się w Kenii inicjacyjne okaleczenie narządów płciowych kobiety. Stało się tak, ponieważ w wiosce Ngeria niedaleko Eldoret brat 14-letniej Alice Cherop potrzebował pieniędzy na wiano dla rodziny przyszłej żony. Ów brat postanowił, że zdobędzie je z wiana Alice, jeśli ta wyjdzie za mąż szybko po obrzezaniu.

Kiedy wszystko zostało przygotowane do rodzinnej ceremonii i rytuału, Alice zniknęła. – Byłam przerażona. Kilka pierwszych kroków zrobiłam spokojnie, ale zaraz za wioską zaczęłam biec. Biegłam, biegłam, biegłam chyba ze dwa kilometry, aż spotkałam szkolną przyjaciółkę, która mnie zatrzymała – opowiadała Alice, kiedy spotkałem się z nią w Ngeria Girls Secondary School w 2003 r.

Przez dwa tygodnie ukrywała się u nauczycielki Seliny Tingi, aż wysłedzili ją bracia. – Przez kilka miesięcy za karę robiłam w domu wszystko, co zwykle należało do obowiązków braci i ojca. Pasłam bydło i kozy, pracowałam w polu. Nie pozwolili mi pójść do szkoły.

Ale po jakimś czasie przestała pasać bydło. Jej starsze siostry i bracia zrobili się życzliwi, przyjacielscy. 7 grudnia, sprzątając chatę rodziców, Alice wymacała coś pod posłaniem. Skóra. Taką skórę, nazywaną „kiboet”, przed obrzezaniem zakłada się dziewczętom. Alice uświadomiła sobie, że porządku w gospodarstwie zarządzała w związku ze zbliżającym się ceremoniałem. Udawała, że niczego się nie domyśla. Godzinę przed rozpoczęciem ceremoniału uciekła do Tingi. Sąsiedzi już wiedzieli, gdzie jej szukać.

Kiedy do nauczycielki przekradł się zaprzyjaźniony ksiądz z wiadomością, że na jej dom będzie atak, obie postanowiły uciekać dalej. Przeszły 20 kilometrów do drogi prowadzącej do Eldoret i wsiadły do busika jadącego do miasta. Dziennikarze lokalnej gazety skierowali je do Kena Wafuli.

W obu przypadkach – Edny i jej siostry Beatrice oraz Alice – Wafuła uzyskał sądowy zakaz przeprowadzenia obrzezania, pierwszy w Kenii.

Kolejna z dziewczyn, 16-letnia Zippora Cheptarus Jerotich, uciekła po spotkaniu w Kacheturgut zorganizowanym przez Kena. Przebiegała się do niego, do Eldoret, z regionu Elgeyo przez nieprzejezdne porą deszczową trakty.

To tylko cztery dziewczyny, ale między 2001 a 2003 rokiem po ratunek do Kena uciekło szesnaście. Kolejne orzeczenia, za którymi stał Ken, spowodowały, że w 2011 roku rząd wprowadził do kodeksu karnego zakaz przeprowadzania obrzezania dziewcząt. Złamanie go grozi karą grzywny i więzienia.

Musiałem do dziewczyn dotrzeć – przynajmniej do tych, z którymi rozmawiałem: do Alice Cherop, do Edny Kandie, może też do innych. Ale najpierw do Kena. Ken był kluczem.

Jak, będąc w Polsce, odnaleźć w Kenii osoby poznane dwie dekady wcześniej? Wiecie, ile w kenijskich mediach społecznościowych jest osób nazywających się Alice Cherop? Przy setnej Alice Cherop na Facebooku odpuściłem.

Spróbowałem się skontaktować ze szkołą w Mon – to tu uczyły się cztery dziewczyny, które uciekły przed obrzezaniem. Już wtedy, w 2003 roku, ledwo do niej dotarłem – po kilku godzinach jazdy wertepami, przepraw przez okresowe rzeki w Marakwecie, gdzie konflikty o bydło między młodymi z hrabstwa West Pokot a ludem Marakwetów rozwiązywane były za pomocą luków i dzid.

Szkoła była nie do odnalezienia, Google Maps nie pomogły. Szkół się w okolicy namnożyło, w tym małych, wiejskich, bo Kenia ma jeden z największych przyrostów naturalnych na świecie. Prognoza na 2024 rok: 27 urodzeń na 1000 mieszkańców, Polska – 9. Kiedy byłem tam w 2003 roku, Kenia miała 33 mln mieszkańców, dziś ma 56 mln.

Wysłałem maile do szkół, które namierzyłem na mapach Google’a w okolicach, co do których miałem podejrzenie, że gdzieś blisko jest St. Mary Mon School, i które miały adres e-mail. Napisałem: „Jestem dziennikarzem z Polski, z Europy. Byłem u was 20 lat temu. Spotkałem się z uczennicami: Gladys Cherop, Resiną Kirop, Ioią Kisong, Maureen Yeko. Rozmawiałem z nimi w obecności dyrektora Lang’ata Willama Kipyeltona. Pamiętacie? Bardzo mi zależy na odnalezieniu dziewczynek”. Bez odpowiedzi.

Wówczas moim przewodnikiem w drodze do szkoły w Mon był David Keross, młody współpracownik Wafuli. 20 lat później Keross jakby się rozplątał. A przecież był, prowadził samochód, śmiał się i opowiadał mnóstwo historii w czasie naszej podróży z Eldoret do Mon. I nie ma. Później się okazało, że miał powody, żeby zniknąć. Bał się o swoje życie i życie swojej rodziny.

Chyba mniej więcej wtedy uświadomiłem sobie, że bez Kena Wafuli odnalezienie dziewczyn się nie uda.

Ken był dziennikarzem i aktywistą, założył Centrum Praw Człowieka i Demokracji w Eldoret. Starał się o granty z zagranicznych fundacji, głównie amerykańskich, i organizował pomoc prawną dla dziewczyn, a także płacił czesne w szkołach. Kontakt do niego dostałem od Equality Now, wielkiej amerykańskiej fundacji feministycznej, z którą wymieniałem maile w 2003 r.

Wcześniej Ken zajmował się nadużyciami policji w swoim rodzinnym mieście Eldoret. Kilka lat przed naszym spotkaniem policjanci strasznie go pobili, niemal na śmierć. Gdy miesiącami dochodził do zdrowia, postanowił, że odtąd jego życiowym celem będzie pomoc ofiarom przemocy ze strony państwa.

Było inaczej. Przez kilka lat jego życiowym celem stało się pomaganie nastolatkom, które przyszły do niego po pomoc i ratunek.

Wynajął biuro przy ulicy Kenyatta w Eldoret, dwa pokoje, a w zasadzie jeden podzielony dyktą. Pamiętam jego gabinet: ludzie stali lub siedzieli na schodach, w korytarzu, w pokoju. Koszmarny tłok, zaduch i zgiełk.

Na mapach Google’a znalazłem wejście do budynku przy ulicy Kenyatta z kilkoma małymi kancelariami prawniczymi. Bardzo przypominało mi to, które pamiętałem sprzed 20 lat. Ani śladu Centrum Praw Człowieka i Demokracji. Znów wysłałem list w miejsca pod tym adresem z pytaniem i prośbą: „Było tu kiedyś CPCD, może się gdzieś przeniosło? Pomóżcie”. Żadnej odpowiedzi.



• Gladys Cherop, Resina Kirop, Ioiça Kisong, Maureen Yeko w szkole St. Mary’s w Mon z przyjaciółmi, w tym z autorem (stoi drugi z prawej) FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCA.PL

Pewnego dnia wpadł mi w oko artykuł z 2018 r. o postępowaniu Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze przeciwko osobom odpowiedzialnym za tragiczne zamieszki po prezydenckich wyborach w Kenii w końcówce 2007 r. Nie wierzyłem własnym oczom. Przeczytałem jeszcze raz. „Ken Wafula, niezmordowany aktywista i obrońca praw ofiar powyborczego chaosu, zmarł w środę 17 stycznia 2018 r.”.

I wtedy na ratunek przybyła Magda Jarocka z Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej. Magda pracuje w Kenii w programie pomagającym tamtejszej straży pożarnej, finansowanym przez polskie MSZ. W regionie Uasin Gishu szefem strażaków jest David Sitati Wanyama, ojciec córki (i dwóch synów). Być może z powodu córki zaangażował się w pomoc. Po miesiącu Magda przysłała mi numer telefonu do Mariam Wafuli Njoki, wdowy po Kenie.

To dzięki tej wiadomości na WhatsAppie siedziałem w chatce Edny godzinę jazdy od Eldoret i jadłem kapustę z koźliną.

Po mojej prawej ręce siedziała Mariam. Jest dojrzałą kobietą, rozważnie dobiera słowa. Dlatego jej opinia o okolicznościach śmierci Kena jest tak szokująca. Mariam uważa, że Ken został zamordowany. Twierdzi, że otruto go, ponieważ naraził się potężnym osobistościom Kenii, gdy szukał świadków krwawych zamieszek z 2007 r. dla MTK w Hadze dla samego Luisa Moreno-Ocampo, najważniejszego prokuratora. Według niej świadkowie prawdopodobnie obciążiliby zeznaniami najważniejszych polityków Kenii za współodpowiedzialność za tragedię, która kosztowała życie ponad 1300 osób. Dlatego ginęli bądź zmieniali zeznania z obawy o życie własne lub członków rodzin. Zarzuty wobec oskarżonych, tzw. szóстки Ocampo, wycofano lub umorzono.

Od śmierci Kena minęło niemal siedem lat. Głos Mariam drży tylko od czasu do czasu.

Gdy on umierał w szpitalu św. Łukasza – jedynym, który zechciał go przyjąć, ona rozdziała w innym. Ich córka Precious jest zdrowa. Rodzina, która dzięki działalności Kena doskonale sobie radziła, bez niego nie daje rady. Kiedyś Mariam jeździła razem z mężem i prowadziła pogadanki w wioskach wokół Eldoret i sąsiadujących prowincji. Gdy zmarł, Centrum zaczęło podupadać.

– Ken miał smykalkę do zdobywania funduszy. Trzeba go było widzieć, jak nawija, łypiąc wielkimi oczami, gdy sprawdzał, czy mówi wystarczająco ciekawie – mówiła Mariam. Jej głos drżał. Pierwszy grant otrzymał od rządu kenijskiego – trzy miliony szylingów (ówczesne 150 tys. zł, dziś 95 tys. zł).

Błyskotliwy, gadatliwy. Gdy mówił o trudnych sprawach, unikał patosu. Brakowało go w kontaktach z zagranicznymi fundacjami, bez których w Kenii nie da się

prowadzić społecznej działalności. Po jego śmierci Mariam coraz rzadziej organizowała wyjazdy do wiosek. Jej najbliższymi koleżankami były te dziewczyny, które przed obrzezaniem uratował Ken, ale właściwie żadna nie miała doświadczenia w pozyskiwaniu funduszy. Gdy rozmawiamy, ta sprawa często się przewija. Polska jest dla niej krajem z bogatej Europy, gdzie jest dużo fundacji wspierających kobiety w ich prawach.

Jej mąż nie sfinalizował kupna domu, więc Mariam musiała się przeprowadzić. Teraz mieszka w bardzo biednej okolicy Eldoret, na parterze jest parking dla motorynek, którymi rozwozi się jedzenie do biur i sklepów. Wszystkie pieniądze po mężu, idą na edukację dzieci. Szukała pracy, ale twierdzi, że z powodu złej sławy Kena wśród lokalnych polityków nikt nie chciał jej zatrudnić. Pracuje u siostry w sklepie z używanymi ubraniami.

Naprzeciwko mnie siedziała Edna. Byliśmy w jej domu. Mury parterowej chatki w środku gęstych zarośli są wilgotne, na ścianach wybija zielona pleśń, jak w wielu innych domach strefy równikowej w porze deszczowej. Dach z blachy falistej, wychodek zamykany dyktą z drucianym haczykiem. W pomieszczeniu, w którym jedliśmy kapustę – przygotowaną w wielkim aluminiowym garze w oddzielnym pomieszczeniu kuchennym, na otwartym palenisku – nie ma światła elektrycznego. Skrawki światła słonecznego przebijają się przez otwarte drzwi. Do domu Edny nie trafilibyśmy, gdyby nie jej mąż Lawrence, który wyjechał po nas kilka kilometrów na rowerze i pilotował po wykrótach kenijskiego interioru.

Moim marzeniem jest pomagać innym dziewczynom w potrzebie, nauczyć je, jak zabierać głos we własnym interesie jako kobiety. Tylko że tego nie robię. Prowadzę dom. Nic nie poradzę. W Kenii jest bezrobocie wśród młodych ludzi, brak pieniędzy na wszystko, w tym na pracę społeczną. Mam dyplom i wiedzę, które idealnie by się sprawdziły

Edna przyniosła koźlinę w trochę mniejszym garnku, a także mnóstwo placków w rodzaju czapati.

Ma pięcioro dzieci, aż trudno w to uwierzyć, gdy pamięta się ją jako nastolatkę. Najstarsze chodzą do szkoły, która jest niedaleko domu. Lawrence – starszy od Edny, ale nieznacznie – zawsze stał przy niej. Jeszcze przed ślubem dowiedział się od niej, jaką decyzję podjęła jako dziecko, jako nastolatka.

Nigdy nie była kimś innym niż gospodyni domowa. I nigdy nie chciała być nikim innym. Jej odmowa obrzezania brała się głównie ze strachu przed bólem i z chęci oszczędzenia tego bólu młodszej siostrze Beatrice.

Edna najsłabiej mówi po angielsku, właściwie w ogóle. Ale przez lata jeździła z innymi do wiosek w dół Wielkiego Rowu Tektonicznego, do Marakwetu, ponieważ używała języka, którym nie posługiwała się żadna z jej koleżanek. To suk, którym mówi lud Pokot.

W Kenii używa się ponad 40 języków, więc osoba, która używa suk tak jak Edna, jest bardzo cenna. W dodatku to język bliiski Turkana, bo z tej samej grupy. W dole Wielkiego Rowu Tektonicznego ludzie Pokot i Turkana bardziej zaufają osobie, która mówi w ich języku niż w popularnym i urzędowym suahili. – Co? W Polsce mówi się tylko w języku polskim? Nie żartuj!

Edna wyszła za mąż przed trzydziestką – dość wcześnie jak na dziewczynę, która nie poddała się obrzezaniu.

W jej środowisku rytuał obrzezania jako inicjacji jest powszechny. W całej Kenii ponad 20 proc. młodych kobiet jest poddawane cięciu, jak się mówi w skrócie. Ale w niektórych regionach odsetek sięga niemal 100 proc. Wśród ludu Kisii, zamieszkującego wschodnie wybrzeże Jeziora Wiktorii, powszechność procedury sięga rekordowych 98 proc., ale cięcie jest niemal kosmetyczne, w zasadzie to nie cięcie, lecz nacięcie. W północno-wschodnich regionach kraju, bliżej Somalii, obrzezania są drastyczne, do białej chrząstki.

Wśród Kisii zabieg często przeprowadzają byle, najczęściej emerytowane pielęgniarki lub pracownice medyczne. Gdzie indziej – starsze kobiety tradycyjnie wykonujące zabieg po wioskach za 1000-1500 szylingów. Od czasu, gdy wprowadzono do kodeksu karnego zakaz, zabiegów ponoć jest mniej. Edna, Alice, Zippora i Mariam twierdzą, że niewiele mniej, za to wszystkie są teraz przeprowadzanie konspiracyjnie nocą. Obrzezanie szeszło do podziemia.

W rodzinnych stronach Edny obrzezanych kobiet jest znacznie powyżej 80 proc. Jednak spora i wciąż zwiększająca się część mężczyzn w Kenii jest niechętna okaleczaniu ich przyszłych żon, co zwiększa szansę na zamałżpójście dla dziewcząt i młodych kobiet takich jak Edna. Tylko że muszą się wyrwać z rodzinnej wioski. A to jest piekielnie trudne.

– Moją siostrę Beatrice uznawali za zbrukaną i nie chcieli w wiosce. Musiała się przeprowadzić ze świeżo poślubionym mężem. Przeniosła się w jego rodzinne strony, ale i tam ją dopadło. Sąsiedzi się dowiedzieli. Jej syn nie mógł uczestniczyć w święcie całej wioski. Był nieczysty, skoro i ona była. Podczas inicjacji nie mogła namaścić jego twarzy olejem, jak inne matki. Pomógł jej Kościół. Syn przeszedł zastępczą ceremonię inicjacyjną. Właściwie była to zwykła msza – opowiadała Edna.

I uśmiecha się szeroko, gdy Mariam tłumaczy jej moje pytanie, czy kiedykolwiek miała do siebie pretensje, że zdecydowała się na taki krok jak postawienie się całej wsi. – Jestem tutaj. Mam dzieci. Czuję, że to moje miejsce. Dobrze zrobiłam.

– Twoi sąsiedzi nie mają ci za złe? – pytam. – Nie obchodzi mnie to. Sąsiadki nie rozmawiają ze mną, to znaczy te dalsze, bo moja najbliższa sąsiadka jest miła. Moje córki nigdy nie będą obrzezane – mówi Edna. I ona, jak jej siostra Beatrice, zwróciła się do Kościoła, żeby jej córki mogły przejść inicjację alternatywną.

Chciałam być nastolatką

Po mojej lewej ręce siedziała Alice. Ją pamiętałem najlepiej z 2003 roku. Była zbuntowaną nastolatką – i było to widać z daleka. Alice też ma rodzinę i dzieci.

– A ty, Alice, czy podjęłabyś taką samą decyzję o ucieczce teraz, z doświadczeniem, które masz? – zapytałem ze strachem, bo już nasłuchałem się o niechęci sąsiadów i rodziny do nich, o ostracyzmie, wykluczeniu, przepędzeniu ze wsi.

– Bez żadnego wahania. Skończyłam szkołę jako jedyna z rodzeństwa, a jest nas jedenaścioro. Kurs „Praca społeczna i rozwój lokalnych społeczności”. Co dalej... Wysłałam za mąż, bo chciałam, a nie dlatego, że tak chciała rodzina czy sąsiedzi. Moim marzeniem jest być dobrą ambasadorką naszej sprawy, pomagać innym dziewczynom w potrzebie, nauczyć je, jak zabierać głos we własnym interesie jako kobiety. Tylko że tego nie robię. Prowadzę dom. Nic na to nie poradzę. W Kenii jest mnóstwo problemów, między innymi bezrobocie wśród młodych ludzi, brak pieniędzy na wszystko, w tym na walkę z dyskryminacją kobiet, na pracę społeczną. Mam dyplom i wiedzę, które idealnie by się sprawdziły. Chciałabym się rozwijać w tym kierunku, nawet jeśli wiem, że łatwiej byłoby zdobyć pracę po moim kursie w innym kraju, bogatszym i bardziej świadomym swoich problemów – mówi Alice.

Alice pomaga mężowi w prowadzeniu gospodarstwa. Tak jak Edna i Lawrence oboje sprzedają do odbiorców w Eldoret kukurydzę i fasolę. Alice oddaje także mleko jej krów do mleczarni. Kiedy Mariam otrzymywała jeszcze pieniądze od międzynarodowych fundacji, Alice jeździła z nią i z innymi rozmawiać z mieszkańcami odległych wiosek o niebezpieczeństwach związanych z obrzezaniem.

Musiały wynająć kierowcę. Musiały przekupić szefa wioski, to znaczy zapłacić mu za ochronę, bo dopiero wtedy były bezpieczne i mogły prowadzić pogadanki. Bywało, że dochodziło do przepychanek.

– Z czasem zmieniliśmy metodę. Przystaliśmy się zwracać do starszych kobiet. To nie miało sensu. Bo choć głównie one są odpowiedzialne za utrzymywanie się tego rytuału, to jednocześnie są najbardziej nieprzejednane. Więc zaczęłyśmy kierować się ku młodym. I to idzie świetnie. Młodzi lepiej rozumieją, czym dla nich może się skończyć obrzezanie, przy czym nie chodzi przecież tylko o ryzyko związane ze zdrowiem, ale też o szkołę, o przyszłe życie – mówi Alice.

Zawsze traktowały swoje wyjazdy jako jakiś rodzaj spłacenia długu wobec Kena.

Obok Alice siedziała Zippora. To, co usłyszała na jednym ze spotkań wiejskich prowadzonych przez Mariam i Kena, przekonało ją do ucieczki. Skończyła szkołę, której inaczej nawet by nie zaczęła. Potem zajmowała się coraz bardziej chorą matką. Właściwie dom był na jej utrzymaniu, bo pozostała część rodziny wyjechała. Ona również była wykluczona z wioski, w której mieszkała. Była jak zarażona, nikt z nią nie rozmawiał, nie dotykał przy przywitaniu.

Dzięki swojej pracy – pracowała jako sprzedawczyni w supermarkecie w Eldoret – poznała przyszłego męża, który często kupował worki z siatkowatego plastiku. Naprawdę, masę worków – jej zdziwienie tymi zakupami zapoczątkowało znajomość. Tak jak Lawrence, mąż Edny, również narzeczonny Zippory cieszył się, że nie cierpiała, gdy była nastolatką.

– Moja mama dopiero na łożu śmierci zaakceptowała nasze małżeństwo. Przyjechali do nas rodzice mojego narzeczonego i oni też, jak się okazało, nie byli mi przeciwni – mówiła Zippora. Przenieśli się do wioski męża. Wspólnie prowadzą gospodarstwo, uprawiają ziemniaki. Dwaj synowie uczą się w szkole z internatem.

Zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie. Ja wróciłem do hotelu, stamtąd do domu w Polsce, dziewczyny do swoich. Kobiety. Mierzące się ze światem na dostępny dla nich sposób. ●

Oficjalna linia władzy jest taka, że skoro obrzezanie kobiet jest nielegalne, to dziewczynki przestały być okaleczane

Radosław Leniarski

Zdjęcie fotoreportera „Wyborczej” Kuby Atysa z 2003 r. ze szkoły w wiosce Ngeria ukazuje dziewczynę dojrzałą niż jej 14 lat. Zbuntowaną. Ściągnięte brwi, groźne spojrzenie – ona wie, czego chce. Fotograf zarejestrował osobę, która sprzeciwiając się wielowiekowemu rytuałowi, rodzinie, sąsiadom, braciom czekającym na wiano za jej małżeństwo, zbuntowała się przeciw obrzezaniu.

Wyobraź sobie: okaleczyć chcieli ją rodzice, bracia, w jej domu. Była przerażona, ale uciekla.

Radosław Leniarski: Pamiętam cię jako 14-latkę, która opowiedziała mi jedną z najmniejwykleszych historii nowoczesnej Kenii, choć zaczynała się jak wiele podobnych.

Alice Cherop: – Jak większość dziewczynek miałam być obrzezana. Ale ja tego nie chciałam. Bałam się.

Czego najbardziej?

– Najbardziej bólu.

Zwykle ludzie sobie myślą, że gdy dziewczyna ucieka przed obrzezaniem, chodzi o bunt, zerwanie z tradycją, chęć dołączenia do nowoczesnego świata. Albo coś równie wzniosłego. Nie. To po prostu strach przed bólem, przed tym, co chcą zrobić z moim ciałem.

Głębiej jest też obawa przed tym, co to oznacza: ślub z mężczyzną, który jest wyznaczany przez rodzinę. Jest też złość, a przynajmniej niechęć do zerwania z dotychczasowym życiem nastolatki, o ile było ono na kenijski sposób bez troskie.

Ken Wafula, twój obrońca, opowiadał mi, że miał z twoim ojcem przygody. Gdy przyjechał do waszej zagrody oświadczyć, że prowadzi twoją sprawę, zaatakował go widłami czy motyką.

– Ojciec był tradycjonalistą. Później się uspokoił, nauczył się z moją decyzją żyć. Gorzej było z mamą. To dlatego do ślubu nie mieszkalam w domu. To straszne uczucie, gdy nie masz wsparcia u swoich rodziców i gdy boisz się spędzić noc we własnym domu.

Twoja sprawa, sprawa Alice Cherop, była drugą w Kenii po siostrach Kandie, która doprowadziła do zakazu obrzezania w Kenii, choć wówczas nie w całym kraju.

– Dzięki takim sprawom w 2011 r. wprowadzono zakaz krajowy.

Całe szczęście.

– Nie wiem. Po 2011 r. obrzezanie zeszło całkowicie do podziemia. W czasach, gdy ono mi groziło, tylko część zabiegów wykonywano pokątnie i w sekrecie, różnymi sposobami grozącymi powikłaniami i dożywotnią traumą. Na przykład wśród ludu Kisii robiły to na ogół przeszkolone osoby, często pielęgniarki lub były pielęgniarki. A teraz pielęgniarki tego nie robią, bo grożą surowe kary, wyrzucenie z zawodu, nawet więzienie. Więc u Kisii wykonuje się takie zabiegi po nocach. Wieść o takich miejscach rozchodzi się po okolicy.

Muszę tu powiedzieć, że w czasie pandemii sytuacja się trochę zmieniła. Szkoły nie było albo były ograniczenia w edukacji. W Europie i w innych wysoko rozwiniętych krajach, a może nawet w Nairobi w prywatnych szkołach, można było uczestniczyć w zajęciach online, ale nie na prowincji. Dzieci po prostu

Zwykle ludzie sobie myślą, że gdy dziewczyna ucieka przed obrzezaniem, chodzi o bunt, zerwanie z tradycją, chęć dołączenia do nowoczesnego świata. Albo coś innego, równie wzniosłego. Nie. To po prostu strach przed bólem, przed tym, co chcą zrobić z moim ciałem

w szkołach nie było. W sumie edukacja 17 milionów dzieci została gwałtownie przerwana na kilka miesięcy. To oznaczało więcej przemocy wobec dzieci, więcej fizycznej pracy dzieci, więcej małżeństw z udziałem nieletnich dziewczynek. I więcej obrzezania.

Wcześniej ceremonie odbywały się zwykle w wakacje, czyli w grudniu. Ale skoro szkoły były zamknięte, a obrzezanie zakazane, sporo rodziców nie robiło hucznego święta inicjacji, tylko po cichu prowadziło córki do umówionej kobiety, która dokonywała cięcia za 1000 szylingów [32 zł]. Być może tak już zostanie.

Dlaczego rodzice tak kurczowo trzymają się tego rytuału, choć wiedzą, że krzywdzą swoje dzieci?

– Mama i tata uważali, że skoro oni przeszli ten ceremonial, to i ja powinnam. Że to po prostu inicjacja, że będę dzięki niej czysta, spokojna, a nie związana, stanę się kobietą, gotową do małżeństwa. Chcieli żyć w zgodzie z wioską, ze starszymi wioskami.

Rytuał zakorzenił się też dzięki korzyści finansowej: skoro jestem już kobietą, a nie dziewczyną, to mogę natychmiast wyjść za mąż a rodzina otrzymać wiano, którego potrzebowali bracia na swój ślub.

Mamy teraz taką historię wśród naszego grona kobiet. 16-letnia Akinyi, Kalendzinka po ojcu, Luo po matce jest sierotą, bo rodzice nie żyją – mama nowotwór, ojciec wypadek drogowy. Była ich pierwszym dzieckiem. Wychowywała ją ciotka, siostra ojca, jedyna żywicielka rodziny, ale w sierpniu została bez pracy. To oznaczało wyrzucenie ze szkoły z powodu braku środków na czesne. Wielka szkoda, bo dziewczyna była bystrą uczennicą.

Ktoś załatwił Akinyi pracę sprzątaczką w domu bogatych ludzi w Nairobi. Na początku października ciotka wezwała ją jednak do domu w Rift Valley, mówiąc, że jest chora. Akinyi przyjechała, patrzy, a tu przygotowanie do ceremonii inicjacji. Okazało się, że ciotka miała już kawalera do poślubienia Akinyi, sąsiada, który nie wyobrażał sobie swojej żony nieobrzezanej. To był warunek ślubu i posagu.

■

obrzezania, to jak ich przekonywaliście do takich prelekcji?

– Najpierw trzeba było odnaleźć i skontaktować się z szefem wioski. Dać mu pieniądze. Wtedy było w miarę bezpiecznie podczas spotkania z mieszkańcami. Towarzyszyła nam czasem policja, miałyśmy kierowcę, ale najważniejszy był szef wioski. Przy nim włos z głowy nie mógł nam spaść, skoro już wziął zapłatę. Kiedyś jednak pojechałam sama, hen na północ do Zachodniego Pokotu. Na miejscu okazało się, że wodza nie ma, wyjechał, więc nie ma jak zapłacić za bezpieczeństwo. Mimo to zaczęłam mówić, a był spory tłum, często tak jest, bo ludzie są ciekawi. Byli coraz bardziej źli na mnie, krzyčili. Najbardziej agresywna starowinka pchnęła mnie tak, że wylądowałam na ziemi, aż coś chrupnęło w kręgosłupie.

Nie chcę nawet przypominać sobie podróży z Pokot do mnie do domu pod Eldoret, ze 200 kilometrów, wiele godzin jazdy po bezdrożach.

Byliśmy razem w twojej szkole Ngeria Girls Secondary School, słyszałaś, co mówiła dyrektorka: dziś nie ma żadnego problemu z FGM. Co myślałaś, gdy to mówiła.

– Że to nieprawda.

Dyrektorka, inna niż za mojego czasu, sama być może przeszła to samo. Jest funkcjonariuszką państwa, dyrektorką w państwowej szkole, na świetnej posadzie, której nie chciałaby stracić. Oficjalna linia władzy jest taka, że skoro od 2011 r. obrzezanie kobiet jest nielegalne, to dziewczynki przestały być okaleczane. Ale proceder trwa, tylko sprytniej. W centralnej Kenii coraz rzadziej zdarza się obrzezanie bardzo młodych dziewczynek, czeka się do czasu, gdy mają 15-16 lat, samo cięcie jest nie tak radykalne, jak kiedyś. Te bardziej ekstremalne historie dzieją się najczęściej na wschód od jeziora Turkana, w północno-wschodniej Kenii, no i w innych krajach Afryki, gdzie wiek dziewczynki, wobec których stosuje się FGM spada. Dziś szefowie kenijskich wiosek łączą rytuał z inicjacją chłopców. Tak łatwiej można ukryć to, co się robi z dziewczynkami.

A czy wasze Centrum Praw Człowieka i Demokracji ma więcej czy mniej interwencji niż w 2003 roku?

– Znacznie mniej, ale przyczyną nie jest spadek liczby obrzezań. Centrum stało się mniej aktywne, bo nie ma funduszy. Gdy dostawałyśmy jakieś pieniądze z zagranicy, jechałyśmy na wieś przekonywać, ale to wszystko, co możemy zrobić. Gdybyśmy miały pieniądze, od razu wyruszyłybyśmy w trasę. ●

OBYCZAJE KULTURA NAUKA

Miłość to nie chwilówka

Mnie również narkotyki
i alkohol dały odwagę,
żeby ojcu powiedzieć,
że go kocham

Z ADAMEM NERGALEM
DARSKIM* ROZMAWIA
AGA KOZAK



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

1RP

AGA KOZAK: A co tam u ciebie nowego w życiu? NERGAŁ: Od pandemii mam pasję do geopolityki. Choć być może to kwestia nie pandemii, ale wieku? Cytując klasyka: „Każdy dziad swój zestaw leków ma, każdy dziad na polityce się zna”. Może ja już wchodzę w tę fazę?

Od kilku lat przeżywam kryzys – być może to naturalny kryzys każdej pierwszej miłości – konsumpcji muzyki. Przeżywanie muzyki czy sztuki w ogóle przeszło mi w zainteresowanie światem zewnętrznym: zacząłem patrzeć na te nasze domki z kart. I jak mnie ktoś pyta, czego ostatnio słucham, to odpowiadam, że podcastów o geopolityce.

Zaryzykuję stwierdzenie, że pandemia, wojna obok wyłączyły poczucie bezpieczeństwa, a wyłączyły nam taki podskórny lęk i że wszyscy mamy swoje strategie na odzyskanie kontroli. Mam wrażenie, że kobiety idą bardziej do wewnątrz i w układanki duchowo-intymne, a mężczyźni w to, co zewnątrz, chcą wiedzieć...

– Pamiętaj, że mężczyźni naturalnie lgną do władzy. To jest dla nas potężny magnes. Coś, co nas podnieca. Przez władzę zresztą często definiujemy siebie, naszą męskość. Bo ja niby kontroluję swoje życie, no ale czy życie naprawdę da się skontrolować?

Na koniec dnia najwięksi gracze tak naprawdę nie mają błędnego pojęcia o naszym istnieniu. Lubię tak mówić – i nie ma to brzmieć ani fatalnie, ani złowrogo – że

świat wzrusza ramionami na informację o naszym życiu.

Świat nawet nie tyle jest obojętny, co jest neutralny – ani zły, ani dobry, jest za to skomplikowany. Fajnie jest go analizować, kontemplować, ale ostatecznie dochodzi się do wniosku – znów dość neutralnego – że życie jako takie nie ma sensu i że my w świecie, w obliczu wszechświata jesteśmy pyłem, nikim.

Powiem ci – bardzo fajny początek wywiadu na Nowy Rok...

– Nie zrozum mnie źle. Warto żyć. Ja – odczuwając to wszystko, o czym mówiłem wcześniej – wciąż jestem bardzo witalnym człowiekiem. Kocham życie, choć jestem brutalnym realistą. Ale to mi nie odbiera radości istnienia.

Ale poczucie sensu...

– Nie nie nie – egzystencjalnie życie nie ma żadnego sensu. Jednak jest coś takiego jak wola. I ta wola życia jest silniejsza niż wszelkie nasze racjonalizmy. Człowiek chce przeżyć i chce przedłużyć, powiększyć siebie. To atawizm. To, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety chcą mieć swoją kontynuację, jest głęboko w nas wdrukowane.

Choć patrząc na świat teraz, możemy mieć nie tyle strach, ile lęk przed tym, co nastąpi. Strach przyjdzie, kiedy zaczną na nas spadać rakiety – choć mam szczerą nadzieję, że ten moment nie nastąpi za mojej kadencji.

Ja się nie wstydzę tego, że mam naturę głęboko lękową – czego być może na zewnątrz nie widać. Mówisz, że kobiety idą w głąb siebie, a faceci na zewnątrz. Ja z natury jestem na zewnątrz, ale nie zmienia to faktu, że coraz częściej zaglądam do środka. Może to kwestia wypalenia, zdania sobie sprawy ze swojej małości, że im więcej wiem, tym bardziej kieruję wektory poznawcze do wewnątrz.

Ale byłeś kiedyś ekstrawertyczny.

– Bardzo. I wciąż jestem. Ale na przykład moja aktywność w social mediach jest dziś ograniczona do minimum. Na Facebooku mnie w ogóle nie ma – zo stałem zbanowany, za co jestem wdzięczny faszystowskim algorytmom, bo od kilku lat się zastanawiałem, jak uciec z tego fatalnego miejsca.

Wracam do komunikacji oldschoolowej – przez telefon, e-mail. Znajdziesz mnie jeszcze na Instagramie. I mam nadzieję, że – teraz czas na prorocze pereory – to wszystko kiedyś musi się przewartościować.

Zygmunt Bauman mawiał, że dzisiejszy świat się nie komunikuje, ale ćwierka. Mnie nie interesuje branie udziału w ćwierkaniu. Potrzebuje równowagi, którą dawno straciłem. Wciąż jestem aktywny na Instagramie, bo od czasu do czasu chcę coś sprzedać czy zareklamować. Bo nie oszukujmy się – jestem produktem i tworzę produkty.

Nie boisz się tak mówić?

– Nie. Jestem mocno osadzony w materialnym świecie. Mam na utrzymaniu rodzinę. Chcę żyć godnie i chcę, żeby moim bliskim nie brakowało. I nie odbiera to artyzmu moim projektom. Poczekaj tylko na nową płytę Behemotha! Jej tytuł wyrazi mnie

bardziej niż setki wywiadów, jakich udzieliłem. To będzie znowu wielki środkowy palec dla wszelkich skostniałych konserwatyzmów, fundamentalizmów dzisiejszego świata.

Chciałem znów powiedzieć „faszyzmów”, ale słowo „faszyzm” jest tak wyświechtane, że jego używanie powinno być silnie reglamentowane. Kiedyś było zarezerwowane tylko dla najgorszego zła, a dzisiaj każdy nim jest. Łącznie ze mną zresztą, bo też mam takich „fanów”, którzy uważają, że jestem skrajnie prawicowy. Niezłe, co?

Moja natura i wolnościowe poglądy raczej ustwiają mnie po drugiej stronie barykady, ale to moim adwersarzom nie przeszkadza, żeby przylepić wygodną etykietkę dla swojej narracji.

Woke?

– Woke, hustle culture, cancel culture i tak dalej. Regularnie padam ofiarą tej fatalnej cenzury w rękach ludzi pozbawionych wiedzy, wyobraźni i przede

Ja wybieram terapię, ktoś inny ajahuaskę, a większość polskich facetów alkohol

wszystkim kompetencji, jak tych narzędzi używać. By the way, moja partnerka paraduje dzisiaj w koszulce, którą jej sprezentowałem, na której jest Matka Boska, a pod grafiką #MeToo.

Ciekawa koincydencja, nieprawdaż? Myślę sobie, że na koniec dnia przecież wszystkim nam powinno zależeć na równowadze, na jakimś balansie. Ja od siedmiu lat aktywnie – żeby sobie z tym wszystkim poradzić – ćwiczę jogę, co niby jest fizyczne, ale naprawdę rezonuje też na to, co nie jest cielesne. Joga pomaga mi nie zwariować w świecie, w którym to symboliczne wahadło się po prostu przewalilo na przeciwną stronę.

Czy równość to znaczy, że jeśli otrzymaliśmy nowe narzędzia, to mamy ich nadużywać? Możemy niesprawiedliwie, bez refleksji, bez głębokiej analizy faktów rzucać oskarżenia i niszczyć ludziom życia? Być NADwrażliwymi? Urażonymi lub obrażonymi z byle powodu?

Świat się osłabia. I jestem daleki od stwierdzenia, że epoka, w której ja się wychowałem, była idealna, ale dzisiaj wpadliśmy w przeciwne ekstremum. Może wszyscy powinniśmy pójść na terapię? Czasem chciałbym głośno powiedzieć: „Słuchajcie, jeżeli coś was boli, to problem najczęściej jest w was samych, a nie w innych, przyjrzyjcie się temu!”. Zacznijmy od siebie.

A my mamy tendencję do wchodzenia w rolę ofiary, mamy problem z granicami.

– W pewnym sensie wszyscy jesteśmy ofiarami. Jakże łatwo byłoby przyznać, że jestem ofiarą tego, że mnie matka urodziła w Gdyni w ’77 roku. I mógłbym całe życie poświęcić na narzekanie: czemu w komunie? Czemu w zimnej Polsce, a nie w Hiszpanii?

Nie. Jesteś tu, gdzie jesteś, i deal with it! Wstań, dźwignij to i maszeruj przed siebie. Z wdzięcznością, że w ogóle żyjesz, i z podniesioną głową.

Problem masz, kiedy jesteś naprawdę ubezwłasnowolniony. Kiedy matka wypłuła cię z łona w Gazie albo Korei Północnej, masz poważną ułomnością fizyczną, psychiczną – tak, wtedy jesteś ofiarą okoliczności. Natomiast jeśli jesteś samowystarczalny, a system nie ogranicza twojej człowieczej autonomii, to do roboty!

A propos jogi: jak się tak przyglądałam twojemu życiu, to w nim nie ma może religii, ale mnóstwo tam odniesień do życia duchowego: rozważań na temat dobra i zła.

– Ja się nie wstydzę mówić, że jestem misjonarzem.

O, widzę przejmowanie pola po całości! Bo jak przejmujemy język, to przejmujemy pole...

– Absolutnie, uwielbiam takie inwersje! Na naszym 13. albumie, który się ukaże w maju 2025, będzie do brze widać, jak sprawnie anektujemy i reinterpretujemy chrześcijańską symbolikę, wartości, rytuały czy teksty biblijne.

Celem jest potrząsnąć światem, czyli słuchaczem, odbiorcą, by zmusić go/ją do refleksji, sprowokować. Prowokacja jest higieniczna, a tak niedoceniana. Zwłaszcza w coraz mniej zniuansowanym, coraz mniej czułym świecie. Jakie czasy, taka sztuka, dlatego nie interesują mnie subtelne szturchnięcia, tylko celne strzały w pysk. Sztuka musi boleć, uwierać, utrudniać życie. Przynajmniej ta moja.

Ale ty się wystawiasz.

– A jestem też łatwym celem. Bo przez moje mniej lub bardziej udane wybory życiowe pojawiłem się też na takim na śmietniku plotkarskich mediów. Na szczęście mam już coraz mniejszą rozpoznawalność, co przynosi mi ulgę. Chodzę sobie spokojnie po mieście, odwiedzam publiczne miejsca...

...i już nie zaczepiają.

– Przecież to już starszy pan! Dzieciaki nie wiedzą, kim jestem. Dla większości jestem już archaiczny. Ale cały czas zdarzają się po tamtej stronie barykady idioci – politycy i cała masa ludzi – którzy się strasznie burzą – na przykład obrażają się na słowa piosenki lub inny social mediowy performance.

Mnie to fascynuje, że ktoś się wciąż nabiera na takie rzeczy. Że ktoś głęboko wierzący obraża się na tytuł płyty, obraz z mojego klipu czy krótki filmik na Instagramie.

Jak kruche są fundamenty waszej wiary, że marne 1,76 m wzrostu, 70 kg i przeciętna inteligencja jest w stanie tak wami zatrząść?

Zdarza mi się myśleć: „Dobra, już wystarczy”. Mam prawie 50 lat. Wydajemy 13. płytę. To mogłoby być ładne pożegnanie się z fanami, symboliczna puenta... ale nie! Zawsze, kiedy chcę odpocząć, uspokoić się, może nawet wycofać, to oni mi podają pod nos powody do następnych aktywności. Jak w takich warunkach nie tworzyć?

Słuchaj, ale jest już przecież trochę normalnie. Po ostatnich wyborach – choć nie jestem z tego, co się dzieje w Polsce, zadowolona – mam takie wewnętrzne poczucie spokoju.

– Tak, też czuję się spokojniej. Wczoraj byłem na spektaklu w Teatrze Starym i przypominałem sobie te historie z ostatnich lat, wojny z Janem Klatą, wolty polityczno-ideologiczne w ośrodkach kultury etc. Świat jest cały czas spolaryzowany, ale wtedy było to iście manichejskie starcie dobra ze złem.

I choć nadal jeszcze mam w sędzie parę toczących się spraw, to po wygranych przez koalicję wyborach mój zwieracz zaczął w końcu normalnie funkcjonować. Polska NIE JEST państwem wyznaniowym, a zobacz, co się dzieje: w ostatnich latach cała masa katotalibów z Ordo Iuris na czele zrobiła sobie z artykułu 196 kodeksu karnego palkę (no bo jeszcze nie młot!) na czarownicy.

Ku mojej i nie tylko radości wspomniana organizacja systemowo przegrywa wszystkie procesy łącznie z tymi wytoczonymi przeciwko mnie. Dla dobra i higieny Polski i Polaków to się wszystko spektakularnie rozpada na naszych oczach. Wkrótce trzeba będzie pozamiatać i zbudować wszystko od fundamentów. Normalnie, po ludzku, po europejsku, demokratycznie, czyli – to cię może zaskoczy – z obecnością Kościoła katolickiego. Ale na warunkach, na jakich on istnieje w krajach cywilizowanych.

Płacić podatki, zajmować się sprawami wiary i wiernych, opiekować ludźmi?

– Kościół musi być utrzymywany z datków wierznych. A nie ma silniejszego argumentu, żeby spionizować Polaka niż to, że ma za coś płacić. Ja sobie nie życzę, żeby z moich podatków utrzymywano instytucję, którą oficjalnie gardzę, którą uważam za ze wszech miar szkodliwą i moralnie zgniłą.

Zbudujcie to wszystko na nowo, otaksujcie i trzymajcie się ode mnie i od mojego portfela z daleka. Ja do waszych świątyń nie wchodzę, szerokim łukiem omijam ten religijny skansen. Jak chcę stand-upu, to kupuję bilet na Rafała Rutkowskiego.

A nie jesteś trochę tym rządem jednak rozczarowany? Prawa antyaborcyjne, mniejszości leżą.

– To prawda, sprzątanie po PiS-ie się wlecze, ale to jest proces. Kropla, która draży skalę. Cierpliwości. Chciałoby się odkręcić kran albo użyć szlauchu, żeby wypłukać ten cały syf, żeby ludzie mogli znów oddychać pełną piersią, bo jednak spora część spo-

leczeństwa wciąż na zadyszce ze spłyconym oddechem.

Wiesz, ja się czuję względnie bezpiecznie, jak za sterami są Tusk i Trzaskowski, a Holownia jest marszałkiem w Sejmie. Mogliby więcej, bardziej zdecydowanie, to prawda. Ale jak usłyszałem, że prezydent Warszawy poprosił grzecznie o zdjęcie wszystkich krzyży w urzędach w Warszawie, to pomyślałem, że to właśnie tak ma wyglądać! On nie dekrystianizuje, on kulturalnie sekularyzuje system.

Przed chwilą rozmawialiśmy o woke, o politycznej poprawności i powiem ci z pozycji feministy...

A co to znaczy że jesteś feministą?

– Że jestem zainteresowany potrzebami kobiet jako grupy, że mam szacunek do was za waszą walkę o wasze prawa i że jestem antyfanem patriarchy. Wyniosłem to z domu. Dla mnie męskość to nie jest ten silny mężczyzna w żonobijce, który będzie wszystkich w koło ustawiać.

To czym jest męskość? O, jaki piękny uśmiech.

– Pomyślałem o swoim ojcu Zenonie, który niestety odszedł dwa lata temu. Jak myślę o męskości, to on pierwszy mi się w głowie wyświetla. A jak myślę „feminizm”, widzę relacje między moimi rodzicami. Swojego tatę, który piecze ciasta, ogarnia pranie, bo mama nie umiała obsługiwać pralki. Tatę, który pierze firanki i zasłony, który wyjmuje maszynę do szycia i szyje mamie sukienki, który wraca do domu przed nią i przygotowuje nam obiad.

Zenek wykonywał mnóstwo takich czynności, które w tym patriarchalnym kanonie się nie mieściły, a jednocześnie był najbardziej męskim, archetypicznym gościem, jakiego znałem. I nie był w tym miękki, to wszystko było pełne siły. Nie był pantoflem. W domu po prostu panowała równość: mama robiła rzeczy, które umiała.

Czyli?

– Prowadziła cały budżet domu, więc ojciec oddawał jej wszystkie pieniądze, zostawiał sobie tylko na benzynę i papierosy. To ona robiła zakupy. I do dzisiaj mam jej trochę za złe, że nigdy na te zakupy mnie nie wysłała.

Nie postawili mi granic, wiesz? Co ma dużo plusów, ale też część moich deficytów z tego powstało. Więc ja się pewnych rzeczy dopiero teraz uczę. W takim dojrzałym – nie lubię słowa „dorosłym” – wieku uczę się w relacjach mężczyzna – kobieta równości.

Choć tata był w tym naprawdę dobry. I na pewno nie było podejsścia, które mówi, że „ty, kobieto, masz pachnieć i się rozkładać, kiedy cię potrzebuję”. Przepraszam, że tak mówię, bo aż się wzdrygnęłaś, ale obserwuję, że to wciąż poglądy wielu.

I boli mnie fakt, że sprawy intymne w tym kraju są w gestii podstarzałych dziadów w garniturach albo sutannach. Serio, faceci o ziemniaczanej urodzie lepiej wiedzą, co masz, kobieto, zrobić ze swoim ciałem?

A twój tata był rozmawiający?

– Nie. Miałem tatę mruka.

Ala ty jesteś rozmawiający?

– Jestem gadułą, ale to też zależy. Ja się muszę odbijać cały czas od opinii innych ludzi. Ale widzę też – na przykład w kontakcie z moją partnerką – że czasami zamieniam się w swojego ojca. Czyli ona mówi, a ja milczę i słucham. Zdałem sobie ostatnio sprawę, że nie muszę cały czas werbalnie strzelać. Ale też mam taką partnerkę, która jest bardzo empatyczna, słucha, rozumie, przeciwieństwo mojej mamy. I ja sobie teraz z tym całym pogmatwanym dziedzictwem pracuję.

Na terapii?

– Tak, od lat.

Każdy taki głos w społeczeństwie, gdzie mężczyźni nie sięgają po pomoc, co doprowadza do zatrważających statystyk samobójstw, jest ważny.

– Bywam w takich „męskich” sytuacjach – na przykład w moim zespole, gdzie są sami faceci, mocne charaktery, dużo ego i testosteronu. Jesteśmy ze sobą już dekady, co o czymś świadczy, prawda?

I kiedy zdarzały się sytuacje kryzysowe, otwarcie mówiłem: „Słuchajcie, jak tego samodzielnie nie przepracujemy, to terapia. Idziemy i w tym składzie rozmawiamy z kimś mądrym. Słyszę, że wy mnie nie słyszycie albo że może ja was nie słyszę”. Dla mnie to naturalna potrzeba, jak pójść do sądu ze sporem – ktoś mądry, arbiter, musi to rozstrzygnąć.

No! I co, i co?

– I zderzyłem się z kategoryczną odmową. „Nie będę się uzewnętrzniał przed kimś, kogo nie znam” – usłyszałem. Nie oceniam tej postawy, po prostu się dziwię. To przekonanie pokutuje w społeczeństwie polskim wśród mężczyzn – pewnie też jest pokoleniowe.

Każdy ma swój bagaż, każdy ze swojej rodziny wychodzi z mniejszym lub większym garbem. I jedyne, co można z tym zrobić, to pracować nad sobą.

Ja wybieram terapie i autorefleksje, ktoś inny ajachuasę, a większość polskich facetów niestety alkohol.

Tobie zależy, żeby nie przekazać tego garbu dalej.

– A raczej, żeby ten garb mojego syna albo córki był jak najmniejszy. Bo damage na pewno będzie – mam nadzieję mniejszy niż większy. Będziemy popełniać błędy. Mam wrażenie, że w pokoleniu naszych rodziców wszyscy byli lękowi, nie sądzisz?

Moi rodzice są. Przez co ja jestem lękowa w srodeczku, a na zewnątrz – maska twardzielki i diwa.

– O, rozumiem to. Wyobraź sobie, że my mieszkaliśmy w bloku – dziesięciopiętrowcu – na drugim piętrze, wokolo nas setki mieszkań. A jak była burza, to trzeba było wszystkie lufciki i okna zamknąć, bo z jakiegoś powodu według mojej mamy ten piorun miał pierdólnąć właśnie w to nasze 45 metrów.

Jak myślę „feminizm”, widzę relacje między moimi rodzicami. Tatę, który piecze ciasta, ogarnia pranie, szyje mamie sukienki. I mamę, która prowadziła cały budżet

Może chodziło o to, że w ciebie, antychrysta!

– O tak, boska interwencja! Tylko przez te lęki matczyne ja jestem ciągle właśnie taki nadmiernie odważny, choć w głębi się boję.

Pokłóciłem się ostatnio ze znajomymi, którzy są rodzicami, właśnie o nadmierną opiekę. Uważam, że dziecko musi się trochę wychować tak jak my – na trzepaku. Bo kto z naszego pokolenia nie spadł na ryj z trzepaka i się cały nie zalał krwią, ten nie wie, co to jest życie. Ja spadłem wielokrotnie.

Dziecko nie może być chowane w szklarni – musi się obić, złapać guza czy nawet złamać rękę – bo w taki sposób ono się formuje do prawdziwego świata. Kłosze to zło – a teraz niektóre dzieciaki 500 metrów same nie przejdą, wszędzie się je wozi. Jak nie rodzice, to szofer.

A ty zawsze chciałeś mieć dzieci?

– Tak. Podczas pobytu w szpitalu w ostatniej chwili pojechałem do Invicty i zamroziłem swoje plemniki. Na dwa dni przed pierwszą chemią. Później nie byłoby co zbierać, bo na twój organizm spuszcza ją napalm. W przenośni oczywiście.

Wiesz, teraz jestem w takim momencie życia, że ono jest fajne, dość wygodne, niczego mi nie brakuje.

Mam czarny pas w robieniu sobie dobrze.

Czyli naprawdę wiem, jak siebie samego zadowolić, zaopiekować, jeśli mam jakieś zachcianki czy potrzeby.

To co ci sprawia przyjemność?

– Lubię dbać o siebie. Fizycznie, duchowo, rozwijać się. Dużo czytam. Podróżuję ze stertą książek i włączam telefon na tydzień albo dłużej. Jeśli zapytasz mnie o definicję luksusu, to chyba właśnie to, że zapracowałem w swoim życiu na komfort bycia offline.

I mówię to z perspektywy człowieka, który oczywiście jest uzależniony od tej elektronicznej smyczy i przepływu informacji. Ale wracając do wygody, to w sumie mam tak, że mogę sobie kupić rzeczy w zasięgu mojego portfela, nażyłem się, napodróżowałem, wybawilem.

I główna konstatacja, który mi od lat towarzyszy,

to ta, że pełno jest w moim życiu... mnie. I już czas rezygnować.

Rezygnować?

– Tak. Stać mnie już na to, żeby powiedzieć: „Słuchajcie, w tym roku zagramy tylko jedną trasę, bo ja chcę być więcej w domu”. Nie muszę – również ambicjonalnie – zasuwać po każdej śmierdzącej norze w Stanach, żeby zbudować bezpieczeństwo i swoje ego i zarobić kolejnego dolara.

Nie myl tego, proszę, z arogancją. Jestem usatysfakcjonowany życiowo, ale wciąż głodny nowego. I czuję, że mogę już świadomie eksplorować świat dwoma parami oczu, a może i ich większą liczbą? Karmić się perspektywami bliskich mi, innych ludzi.

Używam tych metafor, bo ostatnio przyjaciel mi powiedział, że jak będę miał dziecko, to będę robił te same rzeczy, które robiłem kiedyś, tylko przez zupełnie inny pryzmat. Mówił to w kontekście bajek – że on, dorosły facet, nagle odkrywa swoje ulubione bajki, bo je czyta dzieciom. I się nie wstydzi tego, że jest czułym ojcem dla swoich córek. Ale powiedział jeszcze coś, co mnie uderzyło.

Co?

– Że jak się żegnał ze swoim tatą, który był na łożu śmierci, nie był w stanie mu powiedzieć, że go kocha. Mnie też nie było łatwo to powiedzieć – dużo prościej wyznać to mamie. Więc używałem różnych trików, żeby to z siebie wyrzucić.

I pamiętam, jak to zrobiłem. Byłem po prostu mocno naćpany. Gdy używałem pewnych środków, robiłem się bardziej wylewny, odważny, bezpośredni i szczery. Potrafiłem z rodzicami rozmawiać, i to tak, że szeroko otwierali oczy. I wiesz co? Kiedy po jednym z takich seansów obudziłem się następnego ranka bez moralnego kaca – już kompletnie trzeźwy – poczułem ulgę.

Z badań wynika, że mężczyźni używają alkoholu, żeby móc rozmawiać z kolegami o rzeczach, które ich bołą albo które czują, bo w Polsce mężczyźni nie potrafią się emocjonalnie otworzyć.

– Mnie również narkotyki i alkohol dały odwagę, żeby ojcu powiedzieć, że go kocham. Odpowiedział: „Ja ciebie też”. Później – gdy już był terminalnie chory – zadzwoniłem do niego i powiedziałem: „Tato, kocham cię”, to wiesz, jak on zareagował? „Dlaczego teraz to mówisz?”. Tak jakby w ogóle nie wiedział, jak sobie z tym poradzić.

Wciąż mam blokady, też mam trudności z mówieniem o emocjach, lecz uważam, że musimy się w tym trenować, bo to jak z siłownią, z mięśniami czy mózgiem. Regularna praktyka, a w pewnym momencie stanie się to automatem i „kocham cię” będzie tak naturalne jak „dzień dobry” czy „przepraszam”. Bardzo długo miałem problem, żeby kobiecie powiedzieć, że ją kocham.

Czemu?

– Może lękowo, a może od wielu lat – czyli przez kilka związków, które miałem na przestrzeni ostatniej dekady... czekaj, bo teraz robię coming out...

Nie kochałeś. Nie czułeś tego.

– Po prostu. Byłem zauroczony, być może zakochany, ale chyba raczej powierzchownie. Miałem swoje potrzeby fizyczne, ale oddzielał miłość i popęd. Stanie w prawdzie z samym sobą to kolejny leitmotiv męskości. Nie oszukiwanie siebie, zaklinanie, koloryzowanie rzeczywistości – w tym mieści się też odróżnienie miłości od pożądania.

No tak, ale po to trzeba ze sobą samym rozmawiać. A ludzie tego raczej unikają.

– Zwłaszcza faceci. My jesteśmy z natury wręcz niepełnosprawni. Emocjonalnie. Podoba mi się, że w połowie swojego życia dzięki drugiej osobie – dzięki kobiecie – jestem w stanie się uczyć tych emocji. Kiedy jej powiedziałem, że ją kocham, to poczułem ulgę. Jakby coś się we mnie otworzyło.

I teraz to jest takie naturalne. Męskie jest też przyznanie się do tego, że mam partnerkę, która jest dojrzałsza ode mnie, mimo tego, że jest młodsza. Bo kobiety po prostu są głębsze – dziwne słowo, ale nie znajduję lepszego.

Do tej pory chyba traktowałem relacje jak poli-gon, czasem czułem się ich więźniem, czasem to ja byłem „oprawcą”. Od dwóch lat jestem w głębokiej relacji, ale kompletnie nie odczuwam potrzeby, że-by się z tym afiszować. Niebywanie to dla mnie ro-dzaj dbania o swój i partnerki dobrostan. Od miesię-cy zresztą nie pokazuję żadnej prywatności na social mediach. Koniec dzielenia się...

Bo masz się już z kim dzielić.

– To raz. Dwa, żyjemy w epoce nadmiernego nasyce-nia. Wszystkiego na świecie jest za dużo, tylko czasu dla siebie za mało, a ten nam ucieka w tempie astro-nomicznym. Przerzucasz siły i zasoby. Ja już nie mam potrzeby świecenia, chwalenia się.

Wyglądasz, jakbyś był szczęśliwy.

– Jestem względnie szczęśliwy. Lubię używać te-go relatywizmu. Fakty: jestem zdrowy. Kocham i je-stem kochany. Otoczony kilkoma fantastycznymi ludźmi, którzy są moimi przyjaciółmi. Aktywny ar-tystycznie. Będzie płyta, jednego i drugiego zespołu, w których gram, mamy zaplanowane trasy koncer-towe po całym globie.

Ale też coraz częściej chcę spędzać czas, po pro-stu czytając książkę, chodząc na spacer y z dziewczyną, spotykając się z przyjaciелеm czy jak teraz – ja-dąc do Krakowa na spektakl. Chyba chodzi o to odej-mowanie. Wszystkiego mniej, ale lepszej jakości.

Podobnie mam z materialnymi kwestiami. Jeżdżę świetnym samochodem – bo auta lubię – i wiesz co? Co chwilę ktoś mnie pyta: „To co? Kiedy zmieniasz na nowszy model?”. Mijają lata, a ja nie mogę podjąć decyzji, bo dla mnie ten jest wystarczająco dobry.

No ale w kwestii muzyki, sztuki – pozostaniesz maksymalistą?

– O tak, tam to jest przewalone, przejawskrawione! Egzaltacja milion. Tam wyżywam swoje ego, któ-re w życiu raczej mocno tresuje, żeby nigdy się z ka-gańca nie zerwało.

Bo zdrowe ego trzymane w ryzach to piękne narzędzie!

– To piękne i ważne, kluczowe w procesie tworzenia i scenicznego performance’u. Scena i muza je pom-pują, ale ten balon może też pęknąć. A ja już mam tak, że wołę powietrze powoli spuszczać, brać z ży-cia, ale częściej światu, a właściwie najbliższ ym od-dawać. Dzielić się.

Lubię być gospodarzem w swoim domu. Uwielbiam to, jak ludzie z kompletnie różnych światów i środowisk znajdują swoje miejsce w mojej orbicie. Oni dbają o mnie, a ja chcę dbać o nich.

Jakich jeszcze rzeczy nauczyłeś się jako dojrz-ły mężczyzna?

– Po pierwsze, wspomnianych już granic – stawia-nych przez partnerkę. Gdybym kiedyś usłyszał od kogoś odmowę, tobym ją odebrał osobiście, jako od-rzucenie. A teraz po prostu słyszę „nie” i przyjmuję to normalnie, bez podtekstów.

Kiedyś w zespole wszyscy byli bezdzietni, to sta-wali na baczność, bo każde działanie zespołu było bezwzględny m priorytetem. Teraz, kiedy mają dzie-ciaki, a ich priorytety naturalnie się poustawiały inaczej, ja też musiałem zaakceptować fakt, że spra-wy zespołu już nie są tymi pierwszymi. I z pokorą przyjmuję tę lekcję. W tym też pomaga joga. Ale ja jestem raczej ashtangowcem.

Czyli lubisz siłowo, wysiłkowo, liczy się perfor-mance.

– No taką mam osobowość, do tego zdiagnozowa-ne ADHD, więc naturalnym wyborem dla mnie by-ła właśnie ashtanga. Moja dziewczyna się śmieje: „To nie dla ciebie. Ty właśnie powinienes się ćwiczyć w jodze, która cię będzie balansować, wyciszać, ła-godzić”.

Stawiam sobie coraz częściej takie zadanie, żeby wytrwać w asanie mimo dyskomfortu. I nawet sobie stworzyłem taką paralelę, kiedy myślałem o męsko-ści, że jedną z jej cech jest wytrwałość, cierpliwość. Znoszenie sytuacji trudnych, niewygodnych. Kiedyś rzucałem zabawkami, kopałem w ścianę, wychodzi-łem, obrażałem się ...

A dojrziała męskość robi inaczej?

– Dojrzała męskość próbuje sobie z problemem po-radzić w taki sposób, żeby drugiej osoby nie zranić, a przy okazji ochronić też samego siebie. To nie zna-czy, że masz sobie obcinać jaja, ale agresja werbalna, a tym bardziej fizyczna to nie jest rozwiązanie. Mo-żesz te same uczucia wyrazić w inny sposób, gdzie indziej albo po prostu wytrwać – nie robiąc ani so-bie wewnętrznie krzywdy, ani tym bardziej dru-giej osobie.

Naucz się trwać w sytuacjach kryzysowych, kłopotliwych, ale nie uciekaj. A ja byłem mistrzem ewa-kuacji.

Dzisiaj wiem, że muszę się z problemem skon-frontować, jakoś go załatwić. Wiem też, że po tym czeka nagroda... głęboka satysfakcja. Podobnie jak po treningu. Godzina wysiłku, często bardzo niewy-godnego, ciężkiego, ale granty w postaci wyrzutu endorfin, serotoniny, dopaminy, obniżenia kortyzolu rekompensują wszystko.

To trwanie długo w pozycjach – mówię to jako praktyczka jogi yin – pozwala rozgościć się w dys-

komforcie. A nas, ADHD-owców, uczy cierpliwo-ści.

– Cierpliwość to moje wielkie wyzwanie. Wczoraj w teatrze było raczej duszno, dym, niewygodne sie-dzenia, klaustrofobia. Spektakl ciekawy, więc oswa-jam się z niewygodą i po jakimś czasie przestajesz ją zauważać.

Jak ciebie słucham, to myślę sobie o jeszcze jednej cesze tej fajnej męskości: zaangażowanie. A badania mówią, że współcześni mężczyźni ma-ją wielki problem z zaangażowaniem – są raczej en masse unikający.

– Ja też taki byłem! Nie chcę, żeby to zabrzmiało, że tu przed tobą siedzi jakiś oświecony sensei. Nadal mam mnóstwo deficytów i problemów, tylko jestem ich bardziej świadomy, przynajmniej większości, i wiem, jak sobie z tymi demonami radzić.

I na pewno nie chcę, żeby ktoś cierpiał przez te dysfunkcje. A wracając do męskości, to kluczowa jest decyzyjność. I to jest coś, czego ci nie mówią, kiedy się mościsz w tym nastoletnim, baj-kowym świecie, uniwersum Piotrusia Pana: że mi-łość na ciebie nie spłynie i wypełni jak Duch Święty.

Miłość to jest decyzja, którą podejmujesz woli-cjonalnie, artykułujesz ją i za tym idziesz. Wyświe-tlił mi się ostatnio taki cytat, może nie guru miłości, ale spoko gościa, aktora Jasona Stathama. On miłość definiował jako odpowiedzialność za to, co się po-wiedziało, przyrzekło kochanej osobie.

Zobacz, w świecie, gdzie codzienne dystrakto-ry nie dają nam się skupić na jednej czynności dłu-żej i z należytą atencją, łatwo jest ulegać iluzji, że za rogiem czy za kolejnym „swipem” czeka na ciebie może ktoś lepszy, bardziej dopasowany. Tak można się kręcić w nieskończoność jak ten chomik w kolo-wrotku.

Gdy decydujemy się na coś i nad czymś pra-cujemy, to nam daje o wiele mocniejszy strzał satysfakcji niż dopamina. Która spada po – uwaga – czterech stosunkach!

– Tak! Miłość ma sens dlatego, że nie jest chwilówką. Od długiego czasu miałem potrzebę tej trwałości, też mocno w kontrze do świata, który astronomicz-nie przyspiesza.

Z jednym z moich najstarszych przyjaciół, Krzysztofem, znamy się trzydzieści parę lat. Rza-dziej się widzimy, ale mamy cały czas kontakt i wielki do siebie szacunek. Z kolegą perkusistą je-steśmy w relacji zawodowej dłużej niż jego małżeń-stwa. Z dwoma innymi ziomami w zespole gram już po 25 lat.

Wniosek? Jeśli masz miłość – nie pozwól jej odejść. Jak masz kolegów, z którymi się przyjaź-nisz dekady – dbaj o te relacje. Ludzi bliskich, ale też wiernych fanów – doceni, więc wam tu, fani, przy okazji dziękuję. Po prostu zrób wszystko, żeby stwo-rzyć możliwie najdłuższą i najbardziej sensowną narrację swojego życia. ●

Adam Nergal Darski

• – ur. w 1977 r., muzyk, kompo-zytor, wokalista, autor tekstów, laureat Fry-deryka. Lider deathmetalo-wego zespołu Behemoth, pierwszego polskiego ze-społu, którego nagrania trafiły na prestiżową amerykańską listę Billboard 200.

REKLAMA

Kraj/34337865



Najlepsza strefa książkowych prezentów:
bit.ly/Najlepszy_prezent_KS

Wydawnictwo
Agora

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



publio.pl

Błękitny piksel

Cztery najważniejsze
słowa w moim życiu
nie składają się
w zdanie: „Kieruj się
na południe”

Z JAROSŁAWEM
JUSZKIEWICZEM *
ROZMAWIA
DOROTA WODECKA

DOROTA WODECKA: Głos znany z aplikacji Google Maps opowiada o gwiazdach w Planetarium Śląskim.

JAROSŁAW JUSZKIEWICZ: Byłem głosem tej aplikacji, ale zostałem zastąpiony przez AI. Jest to jednak epizod w moim życiu. Nie chciałbym podzielić losu Stanisława Mikulskiego, który do końca życia pozostał Hansem Klossem.

Chciałam zapytać o mędrców i znaki na niebie, bo szukanie pierwszej gwiazdki nie jest specjalnie trudne.

– Kim byli mędrcy, nie wiemy. Z lektury Biblii wiadomo, że nadeszli ze Wschodu. Prawdopodobnie z Mezopotamii, gdzie astronomia była nauką bardzo rozwiniętą. Babilończycy mieli obserwatoria zwane zigguratami, które przypominały trochę pomnik smoleński z Warszawy – takie schody prowadzące przez kolejne tarasy do nieba. Prawdopodobnie, patrząc w gwiazdy, zobaczyli nietypowe znaki, ale jakie?

W rozwikłaniu tej kwestii nie jest pomocna sztuka?

– Słynny obraz „Adoracja magów” Giotta z kaplicy Scrovegnich w Padwie sugeruje, że w czasie narodzin Chrystusa na niebie mogła się pojawić kometa Halleya widoczna na ziemi w 1301 roku.

Ta koncepcja wymyślona na początku XX wieku wydawała się wtedy możliwa do przyjęcia, ale dziś można obliczyć, że w tamtym czasie kometa Halleya nie była widoczna z Ziemi. Mogła to być inna kometa, taka, która powraca w okolicie Słońca co kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt tysięcy lat. Ewentualnie koniunkcja planet. Jeśli Jowisz, Saturn i Mars znajdowały się blisko siebie, mogło to dla mieszkańców Ziemi wyglądać dość niezwykle.

Trzecia, całkiem prawdopodobna opcja zakłada, że doszło do wybuchu supernowej. Supernowa to gwiazda, która kończy życie dość gwałtownie, co przez kilka tygodni albo nawet miesięcy manifestuje się jasnym obiektem widocznym na niebie nawet w ciągu dnia.

Naukowcy do dziś się spierają, co tak naprawdę widzieli mędrcy. I kiedy, bo przecież data narodzin Jezusa też jest problematyczna.

A pan o czym myśli, patrząc w nocne niebo? Czy to jest doznanie intelektualne, czy dotknięcie jakiejś tajemnicy?

– Pyta pani o istnienie Boga zapewne, a ja nie mam odpowiedzi. Z jednej strony trudno mi przyjąć, że za wielkim wybuchem stoi przypadek, skoro we Wszechświecie jest tak dużo regularności.

Na przykład w Układzie Słonecznym większość księżyców jest zsynchronizowana z planetami i tak jak w przypadku ziemskiego Księżyca ruch obiegowy jest zsynchronizowany z ruchem obrotowym. Z drugiej strony fascynują się fizyką cząstek, która mnie wciągnęła, gdy odwiedziłem ośrodek badań jądrowych CERN pod Genewą.

Wiele wskazuje na to, że u podłoża wszystkiego jest chaos totalny.

Na pewno już w dzieciństwie, kiedy patrzyłem w niebo, odczuwałem bliskość z gwiazdami. I to się nie zmieniło.

Bo jest pan z tego samego pyłu co one?

– Tak! Jeżeli każdy atom, z którego się składamy, który wdychamy i wydychamy, jest produktem skończonej liczby materii po-

wstałej w obłoku planetarnym, kiedy miliardy lat temu tworzył się Układ Słoneczny, to trudno nie myśleć o bliskości.

Na zdjęciu zrobionym przez sondę Voyager 2, gdy mijala granicę Układu Słonecznego, widać Ziemię w postaci jednego błękitnego piksela. I na tym pikselu znajdują się wszystkie nasze wspomnienia, cała historia ludzkości, cywilizacji, wszystko, co znamy, i wszystko, co kochamy.

I w tym sensie czuję się dzieckiem Wszechświata, częścią czegoś większego. Odległości są niewyobrażalne, ale to tylko kwestia skali.

Skala nie ma znaczenia? Cóż może pyłek wśród tumanu kurzu?

– Jest jego częścią tak jak źdźbło trawy, które ma prawo żyć wśród innych źdźbeł. Powtórzę za „Dezyderatą”:

„Jestem dzieckiem wszechświata nie mniej niż drzewa i gwiazdy, mam prawo być tutaj”.

Mam prawo istnieć we Wszechświecie na tej samej zasadzie co galaktyka czy czarna dziura. Rozmiar nie ma znaczenia. Jesteśmy bytem.



Bycie dzieckiem Wszechświata koi pana strach przed śmiercią?

– Boję się jej, ale ona jest naturalna. Kiedy myślę o wszystkich miejscach w Układzie Słonecznym, które są pozbawione życia, dostrzegam, że śmierci i nicości jest więcej.

Stefan Janta, mój szef i dyrektor Planetarium Śląskiego, powiedział, że życie gwiazd jest bardzo podobne do życia ludzkiego. Gwiazdy rodzą się z materii, mają okres dziecięcy, wchodzą w dorosłość, a te bardziej stabilne osiągają starość. Są też takie, które umierają gwałtownie, eksplodują jak supernowe.

My i gwiazdy jesteśmy zrobieni z tej samej materii, mamy podobny cykl życia, a życie, które się kończy, daje początek innemu życiu.

Wzruszyłem się, kiedy usłyszałem tę analogię.

Pan opowiada o gwiazdach na swoim blogu „Kieruj się na południe”. Nie wolał pan zostać astronomem zamiast PR-owcem?

– Zauważę, że przede wszystkim jestem radiowcem, który w ogólniaku kochał astro-

nomię równie mocno jak radio. Ale dręczyła mnie fizyczka, bo robiłem to, czego nie powinien robić uczeń na lekcjach fizyki w latach 80.: zadawałem dużo pytań dotyczących kosmosu, Wszechświata. Ale ona, zamiast na nie odpowiedzieć, rozwalala mnie matematyką.

I kiedy pytałem ją, czy są możliwe podróże w czasie, mówiła: „Dobra, Juszkie- wicz, chodź, mam tu dla ciebie zadanie z termodynamiki”, i stawiała mi za nie pa-

lę przy radosnym rechocie klasy. Ja ten rechot słyszę do dzisiaj.

Napisałem książkę, w której poruszam również zagadnienia astronomiczne i fizyczne, i kiedy ją wydam, wyślę jej egzemplarz z adnotacją, że nie napisałem jej dzięki niej, tylko pomimo niej.

Ta historia tkwi we mnie jak wielka zadra. Myślę o wszystkich młodych ludziach, których krzywdzą nauczyciele, bo uważają, że wiedzą od nich lepiej. Nie-

Trudno mi przyjąć, że za wielkim wybuchem stoi przypadek, skoro we Wszechświecie jest tak dużo regularności

kiedy możliwe, że wiedzą lepiej, ale to nie jest reguła.

Pan nie wie lepiej niż pana dzieci, czym powinny się zająć?

– Na TEDx Youth miałem możliwość podzielenia się przemyśleniami z młodymi ludźmi. Powiedziałem im, że cztery najważniejsze słowa w moim życiu nie składają się w zdanie: „Kieruj się na południe”, tylko w „Nie podążaj utartą ścieżką”.

Dziś nie sprawdza się model, który rodzice narzucają swoim dzieciom, bo świat zmienia się za szybko, by planować swoje życie.

Do szalu mnie doprowadza pytanie zadawane przez firmy rekrutacyjne: „Jak pan siebie widzi za 10 lat?”.

Skąd ja, do cholery, mam wiedzieć, gdzie będę za 10 lat, skoro w dzisiejszym zmieniającym się świecie 10 lat jest niczym wieczność. Planowanie sobie życia nie ma sensu.

Rada, by nie podążać utartą ścieżką, też wydaje się nie dla wszystkich.

– Na wyznaczoną przez życie i innych ścieżkę zawsze można wejść, ale może warto zadać sobie trud, by dowiedzieć się, co tak naprawdę mnie pasjonuje, i na początku drogi zawodowej przynajmniej zadać sobie to pytanie. Uczelnie są pełne studentów, którzy nie wiedzą, co chcą robić w życiu, a potem życie decyduje za nich.

Mam dziewczynę, jesteśmy w ciąży, więc trzeba kupić mieszkanie. Mamy nóż na gardle, więc bierzemy kredyt i tu się kończą możliwości wyboru. Biorę to, co jest. Sądzę, że

wielu ludzi jest nieszczęśliwych dlatego, że przegapili moment, kiedy jeszcze można wybierać.

Ale oczywiście moja rada nie jest radą dla wszystkich. Niektórzy nie mają wyboru. Bo urodzili się w takim, a nie innym środowisku, bo musieli pójść do pracy w wieku 17 lat, by utrzymywać chorą matkę. Trudno wtedy powiedzieć komuś: „Wiem, że świetnie rysujesz, więc rzuć pracę zaopatrzeniowca i rysuj komiksy, na pewno się sprzedadzą”.

To błąd wielu coachingowców, którzy przekonują: „Rzuć wszystko, co masz, i uwolnij swój potencjał”.

Ja mówię o sytuacji idealnej, kiedy ktoś ma warunki i wsparcie, by na początku liceum zastanawiać się, co chce zrobić z życiem.

– Moje dzieci przestrzegałem przed tym, by jako dorośli nie obudzili się pewnego dnia i zdali sobie sprawę, że są nieszczęśliwi, bo mieli jakąś okazję i jej nie wykorzystali. Ze strachu albo z wygody. Wspieram je w ich wyborach.

Jeden z polskich neurobiologów, nazwiska nie mogę sobie przypomnieć, specjalizujący się w mózgach nastolatków powiedział dwie rzeczy, które zaważyły na moich decyzjach w stosunku do dzieci. Pierwsza – mózg nastolatka kładzie się bardzo późno spać i bardzo późno wstaje, dlatego matematyka o 7 rano, co zdarzało się mojej córce w liceum, jest poronionym pomysłem i zaprzeczeniem wszelkiej fizjologii uczenia. Dlatego, gdy Alicja powiedziała, że chce się przenieść do Szkoły w Chmurze, zgodziłem się.

A druga rzecz?

– Wziąłem sobie do serca myśl, że jeżeli twoje nastoletnie dziecko lubi konie, to wstrzymaj się jeszcze z kupowaniem stadniny.

Mam nadzieję, że pan trafił na wspierających pana pasje nauczycieli.

– Całkiem niedawno spotkałem na lokalnym targu moją profesorkę od matematyki. Powiedziała mi, że przeczuwała, że wyłuduję gdzieś blisko nauki, ale nie wiedziała gdzie. Ona pierwsza dostrzegła moje walory głosowe i od trzeciej klasy liceum musiałem czytać na głos wszystkie zadania z treścią.

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

To stąd to radio?

– Z dzieciństwa. Mój tata pracował w domu, był rzemieślnikiem. W czasach powszechnego niedoboru na początku lat 80. skręcał nocą w kuchni myjki do szyb. I słuchał radia. Kiedy o północy kończył się Program 3, przerzucał się na Jedynekę, ale słuchał też Wolnej Europy i Głosu Ameryki. Zaspiałem w pokoju obok.

W pierwszej klasie szkoły podstawowej dorwałem się do magnetofonu szpulowego mojego brata. Opowiadałem coś do mikrofonu i czułem się jak ktoś z radia. To był pierwszy świadomy moment, który potrafię sobie przypomnieć, kiedy pomyślałem, że chcę pracować przed mikrofonem.

Z tym swoim głosem mógłby pan sprzedać bez problemu garnek za kilka tysięcy albo odkurzaczy za kilkanaście.

– Nie. Ja się do sprzedaży nie nadaję, o czym się przekonałem.

Kiedy i gdzie?

– Na przełomie milenium pracowałem w towarzystwie funduszy inwestycyjnych jako PR-owiec. I to był pierwszy raz, kiedy w moim życiu poczułem się nie na miejscu, o czym informował mnie mój organizm. Fizjologia i psychika. Ból brzucha, kołatanie serca, bezsenność.

Zarabiałem świetnie, ale byłem niešťczęśliwy.

Pomęczyłem się tam półtora roku, spłaciłem kredyt mieszkaniowy i upomniało się o mnie radio. Drugi raz poczułem się podobnie nie na miejscu, kiedy pracowałem z Krystyną Bochenek w Senacie. Zadałem sobie pytanie, po co tu jestem, i odpowiedź na nie brzmiała: po nic.

Pani marszałek miała do mnie pretensje, że nie zostałem w świecie polityki, ale czułem się jak postać z kreskówki, która znalazła się w kolorowym filmie. Nie mój wszechświat.

Nie kusila pana władza, jaka kojarzy się z polityką? Prestiż finansowy albo społeczny? Nie czuł pan presji, że mężczyzna powinien dużo zarabiać?

– Znam wielu mężczyzn, którzy nie zarabiają świetnie, a są szczęśliwi. Ta presja jest prawdopodobnie pokłosiem czasów, kiedy żona zostawała w domu, a mężczyzna wychodził do pracy i musiał utrzymać rodzinę.

Nie wychowywałem się w takim modelu. Moi dziadkowie od strony mamy pracowali. Mój dziadek od strony ojca został zastrzelony 24 września 1939 roku, kiedy na Kresy weszli Rosjanie. Był dyrektorem polskiej szkoły. Babcia została sama z dzieckiem i musiała się zająć jego wychowaniem i pracą w sklepie. Równouprawnienie.

Zanim pan przeszedł do biznesu, pracował w Radiu Katowice.

– I za pierwszego PiS poczułem, że radio przestaje być moje. W 2007 roku dość brutalnie weszła doń polityka i radio skreśliło na prawo. Przykład? Poinformowałem szefa Agencji Informacyjnej, że następnego dnia będę prowadził spotkanie z Mirosławem Hermaszewskim, a on mnie zapytał: „A kto to jest Hermaszewski?”.

Zacząłem mu tłumaczyć, że pierwszy polski kosmonauta, bo nie wiedziałem, że on ironizuje. Wyjaśnił mi, że to jest sowiecki funkcjonariusz polityczny, który w skafandrze z polską flagą został wysłany w kosmos.

A radio było miejscem, w którym poznałem życie. Miałem 19 lat, kiedy zacząłem w nim pracować. Tam zakochałem się w mojej żonie, która też jest dziennikarką. Kiedy mieliśmy małe dziecko, okazało się, że jest dla mnie coraz mniej pracy, a moją żonę zdegradowano. Musiałem poszukać innego źródła zarobku.

Kolega, który pracował przy udźwiękowianiu filmów, zaproponował mi pracę. Odbывała się w dość partyzanckich warunkach. Nagrywaliśmy odcinki do jakiejś

telewizji w kuchni, w której zbudowaliśmy naprędkę studio z płyt gipsowych.

Kiedy po dwóch latach Krystyna Bochenek została marszałkinią Senatu, zaproponowała mi stanowisko asystenta.

Za drugiego PiS też się pan zwolnił?

– Robiliśmy z małżonką serię dokumentów audio na temat powstań śląskich, które zamówił urząd wojewódzki. Nie pozwolono nam, by na temat kobiet biorących udział w powstaniu wypowiedziała się Małgorzata Tkacz-Janik, wybitna specjalistka od śląskiej historii.

Nagraliśmy ją, ale usłyszeliśmy, że zamawiający sobie jej nie życzy, bo jest działaczką lewicową. Naciski, telefony, a potem groźby. Zrezygnowaliśmy z nagrywania tej audycji, a ja straciłem serce do radia.

Kiedy wrzucono mnie w robienie dwa razy dziennie prognozy pogody, czułem, że muszę odejść. Nie widzę nic uwłaczającego w przygotowywaniu prognozy pogody w radiu, ale pomyślałem, że po 30 latach pracy nie chcę tego robić. I kiedy otworzyło się Planetarium Śląskie, mogłem tam przeżyć.

Przecież wciąż pan jest radiowcem.

– Dwa miesiące później Radio 357 zaproponowało mi współpracę i to jest najcudowniejsze miejsce, w którym kiedykolwiek pracowałem. Przeżyłem tam najbardziej wzruszający moment w życiu radio-

Kelnerka powiedziała, że skądś zna mój głos. „Tak, tak – wyjaśnili znajomi – pan Jarek jest głosem nawigacji Google’a”, na co ona: „Nie, nie, pan jest u nas na sekretarce nagrany”

wym. Spotkałem w newsroomie Marka Niedźwiedzkiego, po którym zaczynaliśmy z Robertem (moim współprowadzącym) nasz program.

Wtedy pomyślałem, że historia zatoczyła koło. Przypominałem sobie te wszystkie wieczory, kiedy leżałem na dmuchanym materacu rozłożonym na środku pokoju i, patrząc w sufit, słuchałem „Listy przebojów Programu 3”. Powiedziałem o tym Markowi, ale on nie lubi takich wyznań. Skwitował: „No tak, zostałeś naznaczony”.

Sądzi pan, że można rozpoznać po głosie charakter człowieka?

– W głos każdego lektora wpisuje się bagaż jego życiowych doświadczeń. Nasze dzieciństwo, pierwsze miłości, rozczarowania można przyrównać do pnia i gałęzi drzewa, a liście, które z nich odchodzą, są naszym głosem. On jest niepodrabialny, nie można go zastąpić AI.

Tomasz Knapik brzmiał jak Tomasz Knapik, bo miał taki, a nie inny bagaż życiowy i takie, a nie inne podejście do życia. Słysząc w nim było jego życiowy luz i dystans do pewnych spraw. My, ludzie, jesteśmy z głosu. I nie nauczyłem się tego na pamięć, teraz mi to przyszło do głowy.

Właściwie skąd się wziął w aplikacji pana głos?

– Kiedy pracowałem jako lektor, uznałem, że zgodnie ze starą zasadą, by nie wrzucać dwóch jajek do jednego koszyka, wysłałem próbki głosu do kilku studiów na świecie. Trzy lata później zapytano mnie, czy mogę nagrać system nawigacji dla Google’a. Nikt wtedy nie wiedział, czym jest Google Maps, smartfony funkcjonowały od roku, więc kiedy na wakacjach rodzinnych usłyszałem swój głos w aplikacji, nie zrobiło to na mnie wielkiego wrażenia.

Jak pan to nagrywał?

– W swoim studio przez godzinę. Dostałem arkusz Excella. W jednej kolumnie komenda po angielsku, w drugiej po polsku, a w trzeciej zdanie dające kontekst, w którym będzie użyta. Czyli na przykład: w drugiej kolumnie komenda „za sto metrów”, a w trzeciej „skręć w lewo”. Potrzebowałem kontekstu, by mój głos nie zawisł w próżni. Mogłem w głowie powiedzieć „za sto metrów”, a potem nagrać komendę „skręć w lewo”. Komendy sklejał w całość system informatyczny, nie AI. I to wszystko. Raz zrobiona robota, zapłacona, prawa autorskie sprzedane dożywotnio i żadnych tantiem.

Swoją drogą wielu kierowców irytowała komenda „kieruj się na południe”, bo jak w ruchu ulicznym ogarniać strony świata?

– To nie jest trudne. Pierwszego dnia mojej pracy w planetarium szef dał mi obrotową mapkę nieba i zapowiedział, że za dwa tygodnie mam egzamin ze znajomości nieba. I nauczyłem się konstelacji. Nie zgubię się w lesie, bo znam nocne niebo na tyle, że potrafiłbym wyznaczyć kierunki świata. Gwiazdę Polarną też bez problemu znajdę. Pamięta pani ze szkoły?

Tak, Mały Wóz, Wielki Wóz, dyszel, pięć gwiazd w dół.

– Gratuluję. Znalazła pani gwiazdozbiór

obiektów, a takim jest Ziemia, płynie nieco inaczej. Zgadza się?

Proszę dalej.

– Satelity poruszają się z pierwszą prędkością kosmiczną, czyli około 28 tys. km/h, w związku z czym czas dla nich zwalnia. Działa jednak na nie druga zasada, we dług której im dalej znajdują się od Ziemi, tym bardziej czas dla nich przyspiesza. Ten drugi efekt jest mocniejszy.

Proszę jeszcze pamiętać, że – po pierwsze – Ziemia nie jest zawieszona idealnie w przestrzeni, jej oś odrobinię się chwieje, a – po drugie – orbity poruszają się w polu grawitacyjnym. W tak zaawansowanej technologii zawsze może się zdarzyć błąd, a wtedy aplikacje błędzą.

Przeciętny użytkownik GPS nawet nie podejrzewa, że za łatwością jego podróżywania z pomocą nawigacji stoi ogromna technologia. Trzeba było wysłać satelity w kosmos, wymyślić komputery, które będą w stanie przetworzyć nadawany z kilkunastu tysięcy kilometrów sygnał i sprawić, by smartfon, który mamy w ręce, był w stanie ten sygnał odebrać.

Joczy się na badania podstawowe. Po co dążyć, skąd się biorą fale grawitacyjne, czym są grawitony albo po co nam odkrywanie pierdyliardów galaktyk, skoro mamy tyle problemów na Ziemi? I zapomina, że właśnie z tych rzekomo niepotrzebnych badań bierze się postęp.

Wolarza z Arkturem. Jaki dyszel!? Dwa tylne koła łączymy ze sobą i lecimy od ich przedłużenia w górę i mamy gwiazdę północną.

Użyłam skrótu myślowego. A po drugie, co z dniem? Mam szukać omszałego drzewa albo mrowiska?

– Zważywszy, że drzewo powinno stać samotnie, to lepiej szukać anten satelitarnych na blokach. Większość jest skierowana na południe. Jest jeszcze sposób mniej praktyczny, właściwie poza zasięgiem większości kierowców, ale przywołam go, bo jest ciekawy. Drzwi klatki meteorologicznej zawsze są skierowane na północ, po to, by jak najmniej światła padało na instrumenty meteorologiczne.

Polecenia wydawane pana głosem nieraz wyprowadziły ludzi na manowce. Jak to możliwe?

– Zaczniemy od oczywistości: na świecie funkcjonuje kilka systemów nawigacji satelitarnej. Najbardziej znany jest amerykański, czyli GPS, ale Europa ma swój system Galileo, Rosjanie Glonassa o globalnym zasięgu, Chińczycy mają Beidou, czyli Wielki Wóz, nad swoim systemem pracują Hindusi.

Na orbitach znajdujących się kilkanaście kilometrów od ziemi krąży 32 satelitów. Minimum to 28, ale jest ich więcej na wypadek, gdyby jeden się zepsuł, wtedy drugi może go zastąpić. Satelity przekazują sygnał czasu, dzięki któremu odbiornik w smartfonie potrafi określić położenie i prędkość, z jaką się poruszamy.

I tutaj kłania się Einstein, który udowodnił w ogólnej i szczególnej teorii względności, że czas dla ciał poruszających się z dużą prędkością i w pobliżu masywnych

Gdyby Einstein nie rozkminił teorii względności i relatywizmu, to satelity by nie działały, a tym samym nawigacja. A przypominam, że dostał Nobla nie za teorię względności, tylko za efekt fotoelektryczny, bo Komitet Noblowski nie miał pojęcia, jak ta teoria przyda się w praktycznym życiu.

Pan zbłądził?

– Systemy nawigacji są coraz bardziej skomplikowane, by przetworzyć coraz więcej informacji i dlatego zdarza się, że nawigacja źle nas prowadzi. Pewien pakiet danych może się spóźnić, połączenie z internetem może nie być idealne, po drodze może się stać masa różnych rzeczy i na przykład usłyszymy komunikat 100 metrów dalej, niż powinniśmy.

Często błąd popełniamy my sami, bo chcemy proponować rozwiązanie lepsze od nawigacji. Ja się nauczyłem, by z nią nie dyskutować, choć parę razy się na tym przejechałem.

Jechałem wtedy do Włoch. Prowadził mnie Krzysztof Hołowczyc, czyli musiałem korzystać z automapy. Kierował mnie bardzo malowniczą trasą, pełną jednokierunkowych drózek i małych miejscowości, bym wyjechał na autostradę dwa kilometry dalej od miejsca, w którym kazał mi z niej zjechać.

Dlaczego mnie tak poprowadził? Nie mam pojęcia. Droga była prosta i mogłem ją pokonać w dwie minuty, a nie w 20. Ale jeśli pyta pani o zabłądzenie, to owszem, zdarzyło nam się z żoną zabłądzić w Irlandii, dzięki czemu przeżyliśmy przygodę życia.

Też ciekawe.

– Dwadzieścia lat temu pojechaliśmy spełnić nasze marzenie o podróży do dru-

idzkich miejsc. Wynajęliśmy samochód, w związku z czym było nas stać tylko na spanie pod namiotem. Na nawigację tym bardziej nie mieliśmy pieniędzy. Korzystaliśmy z niemieckiej mapy kupionej w Empiku.

W drodze powrotnej do Dublina zabłądziliśmy. Zatrzymaliśmy się na pustkowiu przed przysadziстым i nieco przerażającym budynkiem w stylu wiktoriańskim z 1780 roku. Stała przed nim Irlandka w garsonce, w pełnym makijażu i serdecznie się do nas uśmiecha.

Okazało się, że opodal znajduje się jeden z najstarszych cmentarzy druidzkich w Irlandii, do którego ciągną turyści z całego świata. Podjęli nas z mężem kolacją, upiliśmy się, wspólnie biesiadując przez kilka godzin. I po raz pierwszy od dwóch tygodni wypaliśmy się w miękkim łóżku. Nie spotkałaby nas ta przygoda, gdybyśmy mieli nawigację satelitarną.

Muszę spytać o moral.

– Jeżeli gdzieś wyruszamy i chcemy przeżyć przygodę, to najlepszym pomysłem byłoby wyłączenie nawigacji i innych urządzeń elektronicznych.

Miłość też pan potrafi opisać precyzyjnie? Czy bierze się z uzupełniania naszych atomów?

– Jako młodzieniec wierzyłem w miłość od pierwszego wejrzenia i taka mi się zdarzyła. Kiedy spotkaliśmy się z Kasią, kliknęło. Miała na sobie czerwoną sukienkę w białe kwiatki, ja obcisłe dżinsy i jakąś dziś pewnie niemodną koszulę.

Popatrzyliśmy na siebie i wiedzieliśmy. Poznaliśmy się w lipcu 1997 roku, a w czerwcu 1998 roku wzięliśmy ślub. A definicja miłości? Czulość, bliskość, zaufanie, zdolność pokonywania raf życiowych i przyjemność bycia razem.

Pana żona też jest lektorką. Jej głos nakazuje aktualizację antywirusowego systemu Avast, odzywa się w automatycznych sekretarkach i zawiaduje odkurzaczem Rumba. Czy nasze kobiece głosy nadają się do sprzątania, a męskie do wyprawy w świat, że pojadę stereotypem?

– Kasia jest przede wszystkim dziennikarką radiową, przez kilkanaście lat była szefową Agencji Informacyjnej w Radiu Katowice, a teraz tworzy cudowny cykl pt. „O czym szumią drzewa”. Wie pani, skąd się bierze powiedzenie „odstukać w niemalowane drewno”? Podobno zmarłego kładziono kiedyś na jesionowej desce i stukano w nią, by odpędzić złego. Uwielbiam dygresje.

Też lubię.

– O to, dlaczego Rumba mówi kobiecym głosem, trzeba zapytać firmę iRobot, choć może wtedy, gdy powstawał ten system, nikt nie zwracał uwagi na to, jak bolesne są stereotypy. Ale doświadczenie lektora mi podpowiada, że trudniej znaleźć damski głos niż męski.

Czego nam brak?

– Klienci bardziej lubią niższe głosy, niżej brzmiące. Dlatego ja nie sprawdzam się w trailerach, w bardzo dynamicznych reklamach, bo za bardzo idę wtedy w górę.

Kobiety słyszę w windach.

– Nieprawda. W Galerii Katowickiej jest facet. Jakiś czas temu byłem na spotkaniu biznesowym na Nikiszu. Pani kelnerka zaczęła mnie i powiedziała, że skądś zna mój głos. „Tak, tak – wyjaśnili znajomi – pan Jarek jest głosem nawigacji Google’a”, na co ona: „Nie, nie, pan jest u nas na sekretarce nagrany”.

Można mnie usłyszeć w wielu różnych miejscach, być może będę głosem w systemie komunikacji miejskiej.

Jest pan głosem w nawigacji Yanosik.

– Nie licząc Allegro, to druga polska firma, która skutecznie rzuca wyzwanie gigan-

tom – Google’owi i e-bay, za co ich bardzo cenię. To ja zadzwoniłem do nich. „Dzień dobry, nazywam się Jarosław Juskiewicz, wasza aplikacja ma okropnie syntetyczny głos, a bardzo was lubię. Jestem głosem Google Maps i zostawiam was z tą informacją”. Odezwali się po godzinie i tak zaczęliśmy współpracę.

Dlaczego przeszkadzał panu syntetyczny głos AI?

– Jeżeli coś nie jest człowiekiem i usilnie stara się go przypominać, jest odbierane tym bardziej nieładzko. Manekin, który się porusza, budzi bardziej negatywne uczucia niż manekin nieruchomy, bo intuicja odwołująca się do pierwotnych atawizmów podpowiada, że coś jest w jego ruchu i pozie nie tak.

Mimo że systemy językowe AI są coraz doskonalsze, to szczególnie w języku polskim jesteśmy w stanie rozpoznać ich sztuczność. W języku angielskim wydają się już nie do odróżnienia od głosu człowieka.

Z jakiego powodu język polski sprawia AI problemy?

– Po pierwsze, jest kontekstowy. Po drugie, AI gubi się w odmianach rzeczowników. Komunikat „za najbliższym kościołem skręć w lewo” albo „niedługo dotrzesz do centrum handlowego xyz” nie będzie możliwy w polskiej aplikacji.

AI może się również wyłożyć na czytaniu nazw ulic i zamiast „skręć w ulicę Mieszka I” zaproponuje „skręć w ulicę Mieszka i”, co mnie się zdarzyło usłyszeć, ale nie w Google Maps.

Oczywiście systemu AI można nauczyć poprawnego nawigowania, co dzieje się w języku chińskim, który jest równie skomplikowany jak polski, tylko w odróżnieniu od rynku chińskiego nasz nie jest na tyle duży, żeby takie badania nad językiem się opłaciły.

Należał pan do osób zbulwersowanych wywiadem AI z Wisławą Szymborską. Dlaczego nie potraktował pan jej wypowiedzi z poczuciem humoru, który w tym kontekście przypisywał noblistce Michał Rusinek?

– Być może mój protest wewnętrzny wynika z przekonania, że naruszono majestat śmierci. Od razu przypomniał mi się Stanisław Lem i jego „Cyberiada”, którą brat czytał mi do poduszki. Trurl i Klapucjusz chcą zbudować społeczeństwo idealnie szczęśliwe. Tworzą mikrosoczeństwo, gdzie wszyscy się śmieją ze wszystkiego, ale okazuje się, że nie są szczęśliwi, tylko głupi po prostu. Nakazują więc prawem bycie szczęśliwym. Patrole wyszukują nieśczęśliwych i pracują nad nimi tak długo, aż ci okażą się szczęśliwi.

W jednej ze scen Trurl idzie na cmentarz na grób swojego mistrza. Chce go prosić o radę. Na nagrobku umocowany jest dzwonek. Trurl naciska go i słyszy sarkanie: „Kto mnie budzi po wiecznej nocy?! Kto mi nie daje spać?! Jak trumnę otworzę, jak deskę wyrwę, jak w tyłek przyłożę...”.

Miałem to samo skojarzenia z Szymborską. To, co chciała powiedzieć, powiedziała w swoich wierszach, co więcej, dała moc-

ną wskazówkę, mówiąc, że nic dwa razy się nie zdarza.

Prawdopodobnie nasze wnuki na podstawie wszystkich informacji, jakie wrzucamy do sieci, będą mogły zapytać nas o radę, ponieważ AI wygeneruje odpowiedź na podstawie naszych słów zapisanych w sieci.

– Czy to będzie nasza rada czy model językowy, który będzie starał się naśladować to, co mówiliśmy, tego nie wiem. Czy będzie w tym odkrywczą myśl? Nie. Nie będzie tej iskry, przeblysku intuicji, która sprawia, że rada może być cenna. Będzie tylko dźwięk.

Jesteśmy w stanie poprosić AI, by wygenerowała kolejny tekst piosenki do albumu „Dark Side of the Moon” i ona to zrobi, ale czy skomponuje utwory do kolejnej płyty Pink Floyd, nie sądzę.

Swoją drogą denerwuje mnie personifikacja sztucznej inteligencji. Zastanawianie się, co zrobi sztuczna inteligencja. Nic nie zrobi. Zrobią ludzie, którzy ją wykorzystują, w tym mówiący te słowa. Mnie AI pomogła w kwestii Lema.

Jak?

– Jego najsłynniejszą książką jest „Solaris”. Opowiada o planecie pokrytej galaretowatym oceanem, na którego powierzchni pojawiają się twory opisane przez Lema na wielu stronach. Analizu-

je proces ich powstawania i kategorie, jakie mają.

Wyobrażałem to sobie. Kiedy robiliśmy seans dla Planetarium Śląskiego, chciałem znaleźć grafika, który mi te twory narysuje. I to nie było nigdy satysfakcjonujące.

Dwa miesiące temu użyłem dwóch systemów AI. Do pierwszego wrzuciłem „Solaris” i poprosiłem, by na podstawie tekstu opisał proces tworzenia symetriady, jednego z tworów solaryjskich. Wypluł mi tekst, który wrzuciłem do kolejnego systemu AI, prosząc go o narysowanie grafiki. To, co narysował, było w punkt. Dokładnie to, co sobie wyobrażałem. Poprosiłem go o obraz bazy solaryjskiej i tak dalej. Narysował precyzyjnie to, co opisał nieżyjący już pisarz.

Ogląda pan fotografie ożywiane przez AI? Albo dzieła sztuki?

– Tak. Patrzyłem na „ożywione” zdjęcie taty, które mu zrobiłem, gdy był mniej więcej w moim wieku. Uśmiechał się, co wywołało u mnie mieszanekę uczuć. Z jednej strony smutek, że odszedł ktoś, kogo bardzo kochałem, a z drugiej wspomnienie radości, gdy żył.

Nie buntowałem się, że ten uśmiech wygenerowała AI, bo to ja wrzuciłem jego zdjęcie do programu i wiedziałem, czego się spodziewać. Ale nie chciałbym usłyszeć głosu mojego taty stworzonego syntetycznie przez AI.

Dlaczego?

– To co innego niż nagrania archiwalne. Kiedy słyszę, jak tata śpiewa piosenkę o „Dziewczynach z Albatrosa”, to oczywiście mnie to wzrusza i nie chciałbym usłyszeć tego w wersji AI, bo wtedy to wzruszenie też byłoby podszyte fałszem. Zna pani serial „Czarne lustro”?

Tak, ale nie miałam zapędu do oglądania.

– Szkoda, bo jeden odcinek dokładnie oddaje tę sytuację. Młode małżeństwo, on ginie w wypadku samochodowym. Na podstawie ich maili i zapisanych rozmów AI może wygenerować jego osobowość. Ona dzwoni do niego, rozmawiają godzinami, chociaż on jest tylko w telefonie.

Z czasem firma apgrejduje system i stwarza androida, który wygląda jak jej mąż. Ale android kończy na strychu, bo ona wie, że nie jest jej mężem. Sztucznie odtworzony głos mojego ojca nie byłby prawdziwy i ja bym wiedział, że nie jest prawdziwy.

Często dziś pan o nim mówi.

– Tęsknię za nim. Byłem ostatnią osobą z rodziny, która go widziała żywego. Umierał na raka płuc, w nocy.

Powiedzieliście sobie coś ważnego?

– Zapamiętałem naszą ostatnią rozmowę. Powiedziałem mu, że rzuciłem palenie, a on odpowiedział: „No, kurwa, bym ci radził”. To był cały tata. Jego historia została zamknięta. Ma swój początek w moim dzieciństwie i koniec w szpitalu. Nie ma sensu dopisywania kolejnych rozdziałów, tym bardziej że byłyby sztuczne.

Czy nie jest nieprawdziwa ostatnia piosenka Beatlesów? To też napisany pośmiertnie rozdział, a przecież pan zachwyca?

– Ten rozdział nie został wygenerowany przez AI. Lennon nagrał utwór na kasetę, brzdąkał w kuchni przy pianinie. Po jego śmierci Yoko Ono znalazła ją w jego rzeczach i w latach 90. dała McCartneyowi. Dostępna technologia nie pozwalała nic z tym nagraniem zrobić, dźwięki pianina zagłuszały głos Lennona w tle. Ale AI wydobyla z nagrania, co trzeba, a Peter Jackson stworzył z materiałów filmowych wideofilm, w którym występują wszyscy Beatlesi.

To jest zupełnie inna historia niż z Szymborską wygenerowaną przez AI. W niej nie ma za wiele AI. To technologia tylko, która pozwoliła w bezszwowy sposób połączyć różne ujęcia. Widziała pani ten wideoklip?

Parę razy.

– A dlaczego aż parę razy? Ja też go zobaczyłem parę razy albo nawet i kilkanaście.

Myślałam o upływie czasu, dość wzruszona.

– Też to miałem. Przypomniały mi się wieczory przy radiu, płyty mojego brata, których słuchałem. I to było miłe doznanie. Wzruszam się pod koniec, bo gdy patrzę na tłum wrzeszczących nastolatków, myślę o tym, że moi rodzice są z tego pokolenia. I potrafię wyobrazić ich sobie równie rozmocjonowanych.

Na końcu na pustej scenie zostają tylko instrumenty.

– Moim zdaniem ten teledysk jest kropką nad i. Koniec historii. Beatlesi zniknęli tak jak mój tata. Rozpłynęli się. Ale myśląc o ich wpływie na popkulturę i muzykę, ten koniec jest jak wybuch gwiazdy, która daje początek kolejnym gwiazdom. ●

Jarosław Juskiewicz

• (ur. w 1971 roku) – dziennikarz radiowy, lektor i twórca cyfrowy, przez 15 lat polski głos systemu nawigacji Google Maps. Autor audycji popularno-naukowych i dokumentalnych w Polskim Radiu Katowice oraz Radiu 357, a także seansów dla Planetarium Śląskiego w Chorzowie. Jego słynną frazę „Kieruj się na południe” zna w Polsce niemal każdy. Od 2019 roku jest ambasadorem Śląskiego Festiwalu Nauki „Katowice”.

Nie mów do mnie misiu



Leśnicy karmią i strzelają, urzędnicy szacują szkody, strażacy przyjeżdżają po truchło. Ale jaki urzędnik zajmuje się dzikimi zwierzętami tak po prostu?

Z ANNA MAZIUK
ROZMAWIA IWONA GÖRKE

IWONA GÖRKE: Niedźwiedź, gdyby miał wybrać między miodem a larwami, co by chętniej zjadł?

ANNA MAZIUK*: Larwy, bo to zastrzyk białka. Są bardziej pożywne niż węglowodany z miodu. Ale rozumiem, że pytasz o to, czy niedźwiedzie faktycznie lubią miód.

To „wiedza”, którą wynosimy z bajek. Misie czy niedźwiadki, jak je zdrabniamy – wiem, że tego nie lubisz – są amatorami miodu.

– Niedźwiedzie w popkulturze to często glupie misie, fajtlapy łatwo pakujące się w tarapaty. To budzi w nas chęć zaopiekowania się nimi. Takie portretowanie robi im dużo krzywdy.

Jak to?

– Przestajemy myśleć o niedźwiedziach jak o dzikich, potencjalnie niebezpiecznych zwierzętach. Zamiast tego stają się miłymi misiami potrzebującymi opieki i wsparcia człowieka. Wiele osób ma odruch, żeby „biedaczki” dokarmić.

Czego niedźwiedzie szukają w ulach?

– Niedźwiedź nie pogardzi miodem, ale to nie o tę słodycz mu chodzi, kiedy sięga do ula. Pakuje tam łapę, żeby wyjąć larwy, które pszczoły troskliwie dokarmiają. Niedźwiedzie uwielbiają owadzie białko. Często to pierwsze, co jedzą zaraz po wyjściu z gawry po hibernacji. Szukają ich w spróchniałych pniach.

Nie marnują energii, jeśli nie muszą. Jedzą to, co akurat jest pod łapą. Te z populacji karpackiej, które mieszkają w naszych górach, przez większość roku żywią się głównie pokarmem roślinnym – owocami, ziołami, trawami, orzeszkami bukowymi. Jeśli trafią na stary sad z jabłonkami, śliwkami czy gruszkami, potrafią przez wiele godzin cierpliwie zrywać owoce, aż wyczyszczą całe drzewko. I kolejne. Na to nie trzeba zużyć bardzo dużo energii.

Brzmi to niemal tak, jakby niedźwiedzie były wegetarianami.

– Dietę uzupełniają larwami różnych owadów – os, mrówek, chrząszczy – i padliną. Bardzo rzadko podejmują się polowania. Bo gdyby niedźwiedź miał biegać za jeleniem czy sarną, musiałby zużyć bardzo dużo energii. Dlatego częściej korzysta na przykład z tego, co upolowały wilki.

Lubią też orzeszki. W karpackich lasach przede wszystkim te bukowe. W roku nasiennym buka, który przypada raz na parę lat, jego owoce stanowią główne źródło pokarmu niedźwiedzi. Do tego stopnia, że w tym czasie maleje liczba szkód w pasiekach. Taką wiedzę można wykorzystywać i w latach, kiedy orzechów w lesie nie ma, lepiej zabezpieczać ule czy zwierzęta gospodarskie.

Zaintrygowały mnie te wilki. Król lasu podkrađa im jedzenie?

– Czasem je odgania, czasem czeka, aż odejdą, i zakrada się po resztki. Niedźwiedzie mają bardzo czuły węch, lepszy od wilków. Potrafią wyniuchać martwe kozice pod parumetrową warstwą śniegu! Wilczą ofiarę wyczuwają z kilku kilometrów. Idą do niej jak po sznurku. Widziałam to po tropach zostawionych w śniegu. Wilki zabiły dwie sarny w okolicy potoku. Niedźwiedź, który odpoczywał na górze w pobliżu, doszedł do nich na skuskę.

FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mówisz o pożywieniu, które niedźwiedź może znaleźć w lesie. Ale wiele żywi się ludzkim jedzeniem, grzebie w śmieciach, podchodzi do domów. W książce piszesz o niedźwiedzicy Magdzie potrafiącej włamać się do zamkniętej kuchni czy piwnicy.

– Na szczęście w skali Polski to wciąż pojedyncze przypadki. Konkretne niedźwiedzie, które z różnych powodów nauczyły się przychodzić po jedzenie do wiosek i tracąc naturalny dystans do człowieka. Tyle że jeśli nie wyeliminujemy źródła problemu – tego, co je przyciąga – z czasem tych osmieszonych będziemy mieli naprawdę dużo.

Czasem na filmikach w internecie patrzymy na niedźwiedzia, który chwytynymi łapami zgrabnie otwiera pojemnik na śmieci i stojąc na tylnych nogach, w nim grzebie. Albo na nagraniach ze słynnej Drogi Transfogarskiej w Rumunii widzimy, jak siedzące na skraju szosy niedźwiedzie machają łapką do przejeżdżających aut. Nauczyły się, że taki gest wywołuje w ludziach odruch karmienia ich.

Oglądamy to rozbawieni albo zachwyceni, nie mając pojęcia, jakie mogą być konsekwencje tego „uczlówiczenia”. Bo chociaż te zwierzęta, które nauczyły się wiązać bliskość ludzi ze źródłem pokarmu, nie stanowią zwykle zagrożenia, to mówimy o największym drapieżniku Europy. W każdej chwili może zdarzyć się nieszczęście, bo ktoś się przestraszy, zacznie uciekać. Niedźwiedź instynktownie go pogoni. Może dojść do tragedii. A w przypadku samego zwierzęcia zapewne dojdzie, bo najprawdopodobniej zostanie na nie wydany wyrok śmierci, mimo że nie zrobiło nic złego.

Jeśli zwierzę raz przyszło do wioski czy miasteczka i z łatwością znalazło jedzenie, to wróci sprawdzić – a nuż znowu się uda. A zawsze znajdzie się jakiś niezabezpieczony śmietnik, kompostownik albo kurnik. Rozwalenie paru desek nie jest przecież problemem.

W Bieszczadach niedźwiedź dobrał się do pily maszynowej, bo w niej zamiast paliwa wlano tłuszcz, w którym smażył frytki.

– W Wołkowie z kolei niedźwiedzica przychodziła na cmentarz. Jadła znicze, to przecież też tłuszcz. Potencjalnie wszystko może być źródłem pożywienia, dlatego tak ważne jest stosowanie zabezpieczeń.

Jednocześnie i nas, i niedźwiedzi jest więcej niż dawniej. Nas o wiele więcej, niedźwiedzi nieznacznie, ale jednak. Równocześnie nasz gatunek jest dużo bardziej ekspansywny niż kiedyś. Zbudowujemy ostatnie dzikie miejsca, stawiamy tam domy, ciągniemy kolejne drogi dojazdowe. Przy domach stawiamy śmietniki. Zapachy z nich przyciągają niedźwiedzie, a drogi i nasza wszechobylskość wypłaszają je z miejsc, gdzie mogły znaleźć spokojne schronienie.

Ale wewnątrz Tatrzańskiego Parku Narodowego domy nie powstają. A niedźwiedzie opuszczają go, wędrują do Zakopanego.

– W samym parku też były problemy, gdy wokół schronisk nie pilnowano śmieci. Ku ba, Magda, Kaśka z mojej książki najpierw przychodziły po resztki z kubłów na odpady, z czasem zaczynały podchodzić coraz bliżej ludzi. A ludzie coraz bliżej nich.

Sytuacje, które opisuję, sięgają lat 80. Od tamtej pory dużo się zmieniło – schroniska zabezpieczają odpady, ze szlaków zupełnie zniknęły kosze na śmieci, a parkowcy edukują turystów. Ale tydzień temu wróciłam z Tatr. Na szlaku widziałam okruszki bułki rozrzucone co kilka metrów. Bez względu na to, czy ktoś rzucił je celowo, czy nie, skutek jest ten sam – to dokarmienie dzikich zwierząt. Tym samym szlakiem tam i z powrotem wędrowały tropy dwóch lisków. One doskonale wiedzą, że ścieżki turystyczne trzeba monitorować, bo zawsze znajdzie się coś do zjedzenia. Pod schroniskami nadal zdarzają się ludzie, którzy posilając się, rzucają trochę zwierzętom, tak samo jest na

parkingach, i tam stale kręcą się lisy, które nie boją się ludzi.

Parę okrucichów, drobiazg, prawda? O co to halo?! Ale przemnoż to przez ileś tysięcy osób, które tego jednego dnia przeszły tym jednym szlakiem i zostawiły po sobie takie „pamiątki”, a potem pomnoż to przez liczbę szlaków i dni w roku. Dlatego ogryzek po jabłku, które skończyłam jeść kilkadziesiąt metrów przed schroniskiem w Roztoce, wniosłam do budynku i dopiero tam wyrzuciłam do śmietnika. Niby tylko ogryzek, ale wiem, co by było, gdyby każdy wyrzucił swój bioodpadek w takim często uczęszczanym miejscu. Takie niefrasobliwe podejście zabiło niedźwiedzicę Magdę.

Na szczęście teraz wszystkie schroniska w Tatrach dobrze zabezpieczają odpady. W Roztoce trzyma się je w piwnicy w szczelnych pojemnikach. Z kolei ze szlaków zupełnie zniknęły kosze na śmieci. Ale w samym Zakopanem nikt tego nie pilnuje, no bo to przecież miasto, worki ze śmieciami wystawia się wieczorem przed plot, jak w całej Polsce, żeby następnego dnia rano zabrała je śmieciarka. Tylko że niedźwiedzie doskonale znają „rozkład jazdy” i są w konkretnych miejscach wcześniej. A przecież wystarczy zorganizować jeden niedźwiedziodporny pojemnik na ileś domów albo ogrodzić śmietnik zwykłym pastuchem elektrycznym.

Lasy Państwowe? Regionalne Dyrekcje Ochrony Środowiska? Nie do wiary, ale w Polsce nie ma profesjonalnych służb ochrony przyrody

Tyle że to wymaga podjęcia aktywnych działań, pewnego zaangażowania. Można zżymać się na nieodpowiedzialnych ludzi, ale nie wszystko powinno być składane na barki mieszkane i mieszkańców. Potrzeba też rozwiązań systemowych, czyli zaangażowania władz miasta i firm zajmujących się odbiorem odpadów.

Zresztą system zawodzi nie tylko w tej kwestii, bo w kontekście dokarmiania niedźwiedzi potężnym problemem są nęciska myśliwskie.

Ale myśliwi nie nęcą niedźwiedzi, prawda?

– Nie mają prawa, niedźwiedzie są objęte ochroną ścisłą. Nawet kłusownictwo na nich rzadko się zdarza. To duże zwierzęta, ciężko byłoby ukryć ich ciała. Ale na nęciskach wyrzuca się buraki cukrowe, kukurydzę. Teoretycznie dla zwierząt kopytnych, ale przecież nawet gdybyśmy wbili obok tabliczki z taką informacją, to niedźwiedź nie zna naszego alfabetu. A nawet gdyby znał, to pewnie i tak by się nie powstrzymał, bo to kaloryczny pokarm, a w dodatku nie trzeba się wysilać, by go zdobyć.

Rzecz w tym, że te niedźwiedzie, które przychodzą do wiosek, często trafiają tam z pobliskich nęcisk, bo te znajdują się czasem tylko paręset metrów od zabudowań. I niedźwiedź z jednej stołówki idzie do drugiej. Obchodzi domy, bo tam często za plot wywala się odpadki. Potem śmietniki. Następnie wywróci jakiś plot, żeby dostać się do sadu.

Erik Balaż, słowacki ekolog i działacz na rzecz ochrony przyrody, z którym rozmawiasz, mówi wprost: „Jeśli dokarmiasz niedźwiedzia, zabijasz go”.

– Niedźwiedzie bardzo szybko się uczą i bardzo szybko przyzwyczajają pokarmowo.

Na skrócenie dystansu do ludzi często decydują się niedźwiedzice z młodymi. Dla nich to wyjątkowo opłacalna taktyka, bo pozwala nie tylko bez wysiłku wyżyć w rodzinie, ale i chronić potomstwo. Bo główną

przyczyną śmierci wśród niedźwiadków jest dzieciobójstwo. Młode pozostają pod opieką matki nawet przez ponad trzy lata. W tym czasie niedźwiedzice nie wchodzi w ruję, więc samce, chcąc ten proces przyspieszyć, zabijają jej dzieci. Chyba że są ich własne. Jedną z taktyk samic jest właśnie uciekanie bliżej ludzi, bo duże samce są bardziej ostrożne i rzadko się na to odważają.

Odważyła się słynna Magda i źle na tym wyszła. Całe życie spędziła na wolności, po czym została schwytana, uwięziona w klatce i wsadzona na wybieg we wrocławskim zoo. Mimo że znalazła się teoretycznie w dobrych rękach, bo u Gucwińskich, skończyła tragicznie.

– Magda zaczęła pojawiać się w tatrzańskim Roztoce pod koniec lat 80. Turyści traktowali ją jako atrakcję, aż parę osób przegoniła. Zresztą dlatego, że podchodziły jej prawie pod nos, żeby zrobić zdjęcie. Podjęto decyzję o usunięciu zwierząt ze środowiska. O pomoc i asystowanie w odłowieniu poproszono doktora Zbigniewa Jakubca, cenionego przyrodnika.

Wiedział, że to nie jest dobry pomysł. Proponował, by pozwolić samicy przegawrować z młodymi jeszcze jedną zimą, a potem ją uśpić. Miał nadzieję, że bardziej płochliwe dzieci bez niej nie będą podchodziły do ludzkich siedlisk. A mając ponad

wydał się im niebezpieczny. Zaczęli z nim walczyć. Sturlali się do potoku i przytrzymali głowę zwierzęcia pod wodą tak długo, aż przestało się ruszać. Potem jeszcze parokrotnie uderzyli w nią kamieniem. Niedźwiadek ważył 90 kg. Po stanięciu na tylnych łapach mógł sięgać mężczyznom do klatki piersiowej. Taki zwierzak nie stanowił poważnego zagrożenia dla sześciu dorosłych osób.

Ale wystraszyć się mogli.

– Oczywiście! Pewnie byli przerażeni i działali pod wpływem silnych emocji. Nieszczęście, ale będące konsekwencją tego, że najpierw zachowali się nierozważnie. Nie rozumieli reakcji zwierzęcia, nie znali się na niedźwiedziach, nie mieli pojęcia, jak należy się zachować.

Ciekawe jest to, że w tej sprawie zapadły wyroki skazujące. Nie bardzo surowe, ale to i tak bardzo rzadkie. Wiele osób wstawiło się po stronie niedźwiadka i przyrody. Myślę, że zainteresowanie mediów i opinii publicznej wpłynęło na decyzję sądu. Chociaż dla oskarżonych była niezrozumiała. Nie czuli, że zrobili coś złego. Przecież bronili swojego życia.

W tej sprawie sprawcy byli znani, zapadł wyrok skazujący, ale w wielu przypadkach, w których giną dzikie zwierzęta,

nie ma co liczyć na wykrycie sprawcy, a co dopiero karę. Tak jest w przypadku wilków.

– I system, i prawo słabo wspierają dochodzenie przyczyn zbrodni na zwierzętach. Poza tym wilki traktujemy inaczej niż niedźwiedzie. Z jednej strony dlatego, że jest ich więcej. Być może pokutuje przekonanie, że jeżeli czegoś jest więcej, to jest mniej istotne. Powszednie nam to i nie czujemy, żeby zabieganie o to było aż tak ważne. W narracjach medialno-myśliwskich często słyszymy, że wilków jest za dużo.

Ale co to właściwie znaczy? I dla kogo tych drapieżników jest za dużo?

– Chciałam powiedzieć, że dla myśliwych, ale to uproszczenie. „Za dużo” jest wytrychem służącym do kreowania przekazu w taki sposób, żeby uzyskać możliwość polowania na nie. To działa. Polska właśnie zagłosowała za osłabieniem ochrony wilków w konwencji berneńskiej, jak zresztą większość krajów Europy.

Złośliwi mówią, że to zemsta na wilkach Ursuli von der Leyen za zjedzenie starego kucyka.

– To jest o wiele bardziej złożone, nie chodzi wyłącznie o kucyka przewodniczącej Komisji Europejskiej. Nie tylko myśliwi chcieli zmiany prawa. Popierają ich rolnicy i hodowcy. Choć owszem, nierzadko oni także polują.

A po drugie, wilk jest symbolem ochrony przyrody. Wiele osób to wkurza, że nie można wpływać na jego populację. Kontrolować i zarządzać. W dodatku trzeba występować gdzieś wilków wkalkulować w plany polowań, żeby zostawić trochę dzikich zwierząt dla nich do zjedzenia. To, co robią wilki, przypomina człowiekowi, że przyroda dobrze sobie radzi bez ludzkiej ingerencji i regulowania.

Kto w Polsce zajmuje się dzikimi zwierzętami chronionymi?

– Nikt. I w tym problem.

Trudno w to uwierzyć. Przecież już chyba do wszystkiego mamy jakiś „dedykowany” organ.

– A profesjonalnych służb ochrony przyrody wciąż nie.

Rządzący twierdzą, że istniejące instytucje są wystarczające. Które? Lasy Państwowe? Je zwierzęta interesują wyłącznie w kontekście organizacji i sprzedaży polowań. Wtedy je dokarmiają. Regionalne Dyrekcje Ochrony Środowiska mają zajmować się szacowaniem szkód powodowanych przez zwierzęta chronione. Czasem do zwierzęcia we wnyku wzywa się straż pożarną, ale raz – że ona ma inne obowiązki, dwa – że nie zna się na dzikich zwierzętach, nie ma wiedzy o ich zachowaniach ani specjalistycznego sprzętu.

Zostają ośrodki rehabilitacji, ale one z kolei nie mają stałego rządowego finansowania. I mogą zająć się jedynie częścią problemów, jak usypianie rannych zwierząt czy dogłądanie ich potem, żeby dochodziły do siebie. Przecież weterynarz nie będzie biegł z bronią po mieście, żeby odpłaszac niedźwiedzie, albo rozmawiał z mieszkańcami i tłumaczył im, jak zabezpieczac odpady.

Powinien istnieć organ, który zajmowałby się tym wszystkim, łącznie z doradstwem i koordynacją współpracy pomiędzy pozostałymi, jeśli byłaby konieczna.

A wiesz, że w Ministerstwie Środowiska od wielu lat leży program ochrony niedźwiedzi?

Leży?

– Tak, leży. Odłogiem. Znajdują się w nim na przykład rekomendacje, jak postępować, gdy niedźwiedź jest ranny, czy co zrobić, kiedy zaczyna przychodzić do jakiejś miejscowości. Praktyczna wiedza i rekomendacje postępowania.

Nie dość, że w Polsce nie ma służb do spraw dzikich zwierząt, to te istniejące często nie wiedzą, jak reagować. Bo skąd niby strażak czy nawet zwykły weterynarz ma wiedzieć, co robić, gdy trafi na potrąconego przez samochód niedźwiedzia? Nie wspominając o posiadaniu akurat pod ręką odpowiednich dawek leków.

Zagubienie i bezradność istniejących służb pokazał przypadek z 2014 roku z Bieszczadów. W lesie zaginął mężczyzna. Ktoś doniósł, że w okolicy przebywa niedźwiedź. Służby odraczały działania, bały się wejść do lasu! Na szczęście w tym czasie w regionie byli pracownicy i pracownice Instytutu Ochrony Przyrody oraz Tatrzańskiego Parku Narodowego, którzy akurat obrobowali niedźwiedzie. Gdyby nie oni, nie wiadomo, jak i kiedy skończyłaby się ta akcja.

A przecież w kraju są ludzie z doświadczeniem i z wiedzą o dzikich zwierzętach, którzy potrafiliby ją wdroić, gdyby tylko dać im odpowiednie narzędzia, finansowanie i zmodyfikować utrudniające przepisy. Jak choćby to, że obecnie grupa ścigająca niedźwiedzia nie ma prawa wejść na cudzy grunt. Co innego, gdyby jej członkowie zostali pszczelarzami. Im w pogoni za rojem wolno wkroczyć na czyjąś działkę.

W Tatrach są osoby, które zajmują się odpłaszaniem niedźwiedzi podchodzących za blisko Zakopanego.

– To, co się tam działo pod schroniskami w latach 90., zapoczątkowało powstanie w TPN zespołu ds. niedźwiedzi. Zaczęto zastawiać pułapki, żeby chwytac ośmielone niedźwiedzie i zakładać im obroże radio-



FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

„Skąd niby strażak czy weterynarz ma wiedzieć, co robić, gdy samochód potrąci niedźwiedzia?”. W Polsce mamy służby od wszystkiego, tylko nie od zwierząt

telemetryczne. Dzięki temu członkowie zespołu z wyprzedzeniem dostają informację, że jakiś misiek zbliża się do miasta, i mogą zjawić się na miejscu zawczasu.

To ważne, bo potem trzeba działać bardzo szybko. Niedźwiedź powinien dostać w tyłek z broni o odpowiedniej mocy, a więc regularnej broni gładkolufowej, tyle że z gumowymi pociskami, dokładnie w momencie, kiedy będzie sięgał po „zakazane” pożywienie – jabłko czy do śmietnika. To go nie zrani, ale bardzo zabol. Do tych gumowych kłapsów dokłada się zapalenie światła czy huk, które stresują zwierzę. Chodzi o skojarzenie bólu i nieprzyjemności z czynnością, której chcemy oduczyć.

To się rzeczywiście sprawdza?

– Od badaczy z Kolumbii Brytyjskiej wiem, że tak.

To Kanada. A Polska?

– W Bieszczadach jest coraz więcej konfliktów z niedźwiedziami, ale Bieszczadzki Park Narodowy to tylko maleńki wycinek obszaru, na jakim występują. A w Polsce wyłącznie osoby zatrudnione w parkach narodowych mogą używać broni gładkolufowej.

wej do płoszenia zwierząt. Nikt inny nie ma takich uprawnień, ani policja, ani leśnicy, ani myśliwi. Ale chociaż Zakopane leży poza granicami parku, nikt się TPN nie czepia, bo gdyby nie jego działania, władze miasta miałyby gigantyczne kłopoty.

W Bieszczadach powstała ochotnicza grupa, ale wykończył ją m.in. brak finansowania. Odpłaszanie to praca na pełen etat i bardzo wysokie koszty – benzyny, broni, amunicji gumowej, sprzętu telemetrycznego. Fundacja Bieszczadziki, która się tym jako ostatnia zajmowała, zrezygnowała również z powodu przepisów – strzelanie do dorosłych niedźwiedzi z paintballa miało się z celem. A to było jedyne dostępne legalnie rozwiązanie.

Z takimi absurdami mierzymy się w Polsce, ale władze przysmykają na nie oczy. Wygodniej jest zrzucać odpowiedzialność.

W Tatrach, jak mówi Filip Zięba, zastępca dyrektora TPN, zdarza się, że uda się niedźwiedzia zniechęcić w jednym sezonie, tyle że w kolejnym czy za dwa lata wraca. Ich sukces polega na tym, że zajmują się odpłaszaniem od ponad 20 lat i w tym czasie żadne z tych zwierząt nie skrzywdziło człowieka, nie skróciło dystansu, przychodzą pod osłoną nocy. Czyli udaje się trzymać je w ryzach bez zabijania.

Są tacy, co powiedzą, że sprawiającego problemy niedźwiedzia powinno się odstrzelić i po kłopotcie.

– Tyle że to bardzo krótkowzroczne, bo nie rozwiązuje źródła problemu. Martwy niedźwiedź nie przekaze informacji innym, choćby dzieciom, że do ludzi nie warto się zbliżać. Poza tym zabijemy jednego, a na jego miejsce przyjdzie kolejny, jeśli atraktant – powód, dla którego ten pierwszy się tam zjawił – nadal będzie dostępny. Różne bada-

nia pokazują, że polowania są zwyczajnie nieskuteczne, zwykle dają tylko chwilę wytchnienia.

Pomijam już to, że zabijanie osłabia populację, jeśli chodzi o różnorodność genetyczną.

Jak sobie z niedźwiedziami radzą nasi sąsiedzi?

– Słowacy mają o wiele więcej niedźwiedzi, więc i inną skalę problemów. Działają u nich grupa do spraw niedźwiedzi, ale w trybie interwencyjnym, nie zapobiegawczym. Rzadko najpierw diagnozują źródła konfliktów i próbują je eliminować, raczej nie odpłaszają. Zdarzało się im przewożenie zwierząt w inne miejsca, ale to jest nieskuteczne. One wracają do siebie, wszędzie po drodze robiąc to samo, co „na swoim”. Słowacy najczęściej po prostu chwytają za broń.

Na „niedźwiedzim” panelu w Bratysławie poznałam Michała Haringa, badacza zaangażowanego w grupę interwencyjną. To było wiosną. Właśnie rezygnował. Od nowej władzy usłyszał, że zamierza zabijać więcej niedźwiedzi. Nie chciał przykładać do tego ręki.

Bo to przecież nie rozwiązuje problemu. Nie wspominając o tym, że często nie wiadomo nawet, czy „eliminuje się” właściwego niedźwiedzia, jeśli nie złapało się go na gorącym uczynku. A jeśli zabija się matkę, to jej paromiesięczne młode nie mają właściwie szans na przeżycie. Zaczną szukać łatwego źródła pokarmu. Pójdą do ludzi, gdzie go znajdują.

A Ukraina i Białoruś?

– To niczym Dzikie Zachód. Nie wiemy, co się tam dzieje, zwłaszcza odkąd trwa wojna.

Tam, gdzie polowanie na niedźwiedzie jest legalne, myśliwi oczywiście zawsze próbują zastrzelić jak największego samca. Tak jest resztą ze wszystkimi zwierzętami, wybierane są te najbardziej dorodne. Tyle że jeśli wyeliminujemy ze środowiska te najzdrowsze, nie przekażą dobrych genów dalej. Niedźwiedzie z czasem mogą być na przykład coraz mniejsze.

To grozi Chorwatom. U nich można strzelać do 16 proc. populacji. Starają się regulować prawnie to, by myśliwi nie zabijali wyłącznie największych samców, ale z egzekwowaniem przepisów jest różnie. Samce wciąż stanowią ponad 60 proc. wszystkich niedźwiedzi, na które się poluje w Chorwacji.

A jeśli pytasz o to, czy bez zabijania populacja niedźwiedzi wystrzeli nagle w kosmos, to nie, nie wystrzeli. W Polsce nie wystrzeliła. Choćby z powodu naturalnych, wewnętrznych regulacji. Bo zwłaszcza te duże samce zabijają inne niedźwiedzie, szczególnie małe niedźwiadki. Ale jeśli nie chcemy wspierać nienaturalnego wzrostu, musimy przestać dokarmiać na ęci-skach.

Parę miesięcy spędziłaś w Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie, zbierając materiał do kolejnej książki. Jak wygląda populacja oraz ochrona drapieżników w kraju, który bardzo kojarzy się z niedźwiedziami?

– I słusznie, bo w Kolumbii Brytyjskiej żyje naprawdę dużo niedźwiedzi. Z tym że o wiele więcej czarnych niż brunatnych. Te ostatnie nazywa się tam grizzly, i nie, to żaden odrębny gatunek, tylko inna populacja. One w tej prowincji są pod ochroną, ale już sąsiadująca z Kolumbią Alberta niedawno przywróciła możliwość polowań. Do czarnych można strzelać, ale są wyjątki – wybrzeże oceanu i wyspy, na których żyją nierzadsze na świecie „niedźwiedzie duchy”, czyli niedźwiedzie czarne o jasnej, niemal białej sierści. Dopiero w tym roku na terenie całego kraju zakazano trucia niedźwiedzi, wilków czy kojotów przy użyciu strychniny.

Zapolować na zwierzęta chronione mogą też rdzenni mieszkańcy. Tłumaczy się to tradycją, co w moim odczuciu w dzisiejszych czasach nie powinno mieć miejsca. Na szczęście większość z nich z tego prawa nie korzysta. Lecz często słabo im idzie za-

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński;

MAGAZYN-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejewska

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



bezpieczanie odpadów na terenie rezerwatów. W konsekwencji mają dużo konfliktów z niedźwiedziami i sporo zwierząt ginie z tego powodu. Chociaż poznałam i takich ludzi, którzy w swoich wioskach zajmowali się odpłaszaniem i pilnowaniem, żeby sąsiedzi nie wywalali resztek za dom.

Większość Kanadyjczyków wie, jak się zachować w przypadku spotkania z niedźwiedziem. Dużo lepiej niż u nas jest też z zostawianiem śmieci przy szlakach i na kempingach.

Niedźwiedzie ewakuowane z ogarniętej wojną Ukrainy znajdowały dom w Polsce i w Europie Zachodniej. W azylach czy ogrodach zoologicznych. A niedźwiedzie w naturze mają szansę na znalezienie nowego domu?

– Z pewnością nie znajdą go już po polskiej stronie Puszczy Białowieskiej, chociaż próbowały. Ich ostatnie widziane tam ślady pochodzą z 2010 r. Teraz raczej nie ma już na to szans. Nie przejdą przecież przez ten metalowy, pięciometrowy płot, który ma powstrzymać osoby uciekające przed wojną z Bliskiego Wschodu czy Afryki.

A Puszcza byłaby świetnym miejscem dla niedźwiedzi. Jest pełna powalonych drzew, których korzenie mogą być kryjówkami, a larwy w tych spróchniałych – źródłem pożywienia. Niedźwiedziom potrzebne są stare, trudno dostępne lasy, niepocięte sieciami dróg. Z tego powodu przetrwały niemalże jedynie w górach. Potrzebują spokojnych miejsc, by się ukryć, przygotować gawrę na zimę, zwłaszcza samice, które urodzą i te z rocznymi czy starszymi młodymi. W Tatrach znajdują je w jaskiniach. Tyle że ludzie nawet tam potrafią dotrzeć na skiturach czy podczas nielegalnych wspinaczek.

W Bieszczadach na zimowanie wybierają przede wszystkim dziuplaste jodły. W promieniu 500 m od gawry nie można prowadzić prac leśnych, ale tylko w okresie ochronnym od 1 listopada do 30 kwietnia. A jeśli w okolicach gawry były cięcia, niedźwiedzie nie wracają w okolicę nawet przez parę lat. Poza tym, jeśli wytnie się drzewa wkoło takiej starej jodły, zmienia się mikroklimat tego miejsca. To może wpłynąć na poziom wód gruntowych, wilgotność, zaciemnienie. Nowe warunki mogą już nie być optymalne. Utrudniamy niedźwiedziom znajdowanie nawet tych ostatnich tymczasowych domów na zimę.

Niedźwiedzie nigdzie nie mają łatwo. To bardzo poruszające, że mimo wszystko sobie radzą i jeszcze znajdują te bezpieczne kryjówki.

Wraz z Tomkiem Zwijaczem-Kozicą, szefem działu badań naukowych i planowania ochrony przyrody TPN, oraz z członkami zespołu ds. niedźwiedzi wszedł do gawry. Wyobrażam sobie, że to niesamowite doświadczenie.

– To magia. Czułam, jakbym robiła coś zakazanego, trochę jakbym bezczęściła sacrum, pakując się w takie miejsce jako człowiek. Jednocześnie że to wielki przywilej, bo doświadczałam czegoś, co dla większości ludzi jest niedostępne.

Gawry i same legowiska, to, czy i jak niedźwiedź umościł sobie poślanie, bardzo wiele mówi o konkretnych zwierzętach. One bardzo się od siebie różnią.

W gawrach niedźwiedzie przesypiają zimę, tak jak w bajkach?

– Raczej przeczekują. Hibernacja nie jest snem, poza tym niedźwiedzie nie należą do zwierząt głęboko hibernujących. Samica przecież w tym stanie rodzi młode, karmi je, one się w tej gawrze bawią. To dlatego tak łatwo je „przebudzić”, kiedy się do takiego miejsca podejdzie i je przestraszy.

A coraz więcej niedźwiedzi w ogóle nie hibernuje. Zimy są coraz cieplejsze. Śniegu prawie nie ma. Pożywienie jest łatwe do znalezienia, maksymalnie co parę kilometrów na nęciskach. Hibernacja to przystosowanie służące do przetrwania braku pokarmu w lesie i niskich temperatur. Skoro jest

ciepło, a jedzenie cały czas pod nosem, po co hibernować?

Przy tym samce i bezdzietne niedźwiedzice zawsze rzadziej to robiły.

Ogród zoologiczny albo azyl może być domem dla niedźwiedzia?

– Osoby, które badają niedźwiedzie, uważają – a ja podzielałam ich zdanie – że dziki dorosły niedźwiedź nigdy nie powinien trafić do niewoli. W tej sytuacji nie ma szans na happy end. Bez względu na to, jak duży teren i dobre warunki ludzie będą starali mu się zapewnić, to wciąż będzie maksymalnie może jeden hektar. W Polsce nawet tego brakuje. A niedźwiedzie w naturze codziennie przemierzają nawet dziesiątki kilometrów. Cały czas coś sprawdzają, wachają, próbują. To niezwykle ciekawskie zwierzęta. W azylu czy ogrodzie są skazane na potwornie monotonne życie. Poza tym, jak pokazał przypadek Magdy, one są zdolne bardzo wiele zrobić, żeby się wydostać.

W książce opisałam niedźwiadki, które trafiły do niewoli: Przemisję, Cisną i Adę. Przemisia na pewno była wykorzystywana w cyrku w Ukrainie. Miała padaczkę, więc się jej pozbyli. Ją i Cisną przyjęły dwa najlepsze ogrody zoologiczne w Polsce. Z Adą, gdyby przeżył, nie byłoby co zrobić. W Polsce brakuje miejsc, gdzie choćby potencjalnie można by takie zwierzęta umieszczać.

Ada zbliżył się do jednej z bieszczadzkiej wsi. Był w złym stanie, więc postanowiono go odłowić.

– Bez konsultacji z osobami, które się na niedźwiedziach znają! To była impulsywna decyzja. Brakowało jakiegokolwiek planu, co z nim zrobić, jeżeli przeżyje. Od początku wiadomo było, że małego niedźwiadka po odłowieniu i karmieniu nie będzie można z powrotem wypuścić do lasu. Bo on już będzie oswojony z człowiekiem. Będzie wracać po jedzenie.

Staram się pokazać, że pomaganie nie zawsze musi oznaczać ratowanie życia. Nam się wydaje, że to najlepsze, co możemy zrobić. Jednak w konsekwencji może być ogromnym cierpieniem dla tego zwierzęcia.

W książce o wilkach pisałam o Hardej i Gudrun, wilczych przyzwyczajonych do człowieka, niezdolnych żyć na wolności. Harda trafiła do Białowieży. Dla Gudrun miał powstać azyl. Nie wybudowano go. Skończyła w zoo w Poznaniu na bardzo małej przestrzni z innym wilkiem odłowionym w okolicy.

W Polsce powinien działać co najmniej jeden azyl z prawdziwego zdarzenia. Jako stosunkowo zamożny kraj, w którym żyją duże drapieżniki, powinniśmy mieć takie miejsca. Ich stworzenie i prowadzenie powinno należeć do obowiązków państwa, nie prywatnych organizacji i stowarzyszeń. Bo co się stanie ze zwierzętami, kiedy jej założyciel przejdzie na emeryturę albo umrze? Albo jeśli skończą się pieniądze? ●

Anna Maziuk

• ur. w 1986 r., reporterka (publikowała m.in. w „Wysokich Obcasach”, „Polityce”, „Tygodniku Powszechnym”) i przyrodniczka (prowadzi warsztaty stacjonarne i w naturze dla dzieci i dorosłych), na stałe związana z pismem „Kosmos dla Dziewczynek”. Mieszka w Bieszczadach Niskim. Autorka książek „Instynkt. O wilkach w polskich lasach” i właśnie wydanej „Niedźwiedź szuka domu”. Oba reportaże dostępne w dobrych księgarniach, na stronie wydawnictwa Czarne i w formie e-booków na Publio.pl



Kampania gryzoni

Donald Tusk: „Czy zostawilibyście swoje dzieci albo wnuki pod opieką Karola Nawrockiego?”. „Panie, ja bym mu chomika pod opieką nie zostawiła!”.



Michał Rusinek

Wygłada na to, że kluczowym elementem prezydenckich kampanii wyborczych stają się ostatnio gryzonie. W Ameryce była to wiewiórka szara (Sciurus carolinensis), w Polsce – chomik (Cricetus cricetus). Do rodzimej kampanii wkradł się także suwak mongolski (Meriones unguiculatus), a to przecież dopiero początek, więc możemy się spodziewać kolejnych przedstawicieli tego rządu ssaków.

W listopadzie Stanami Zjednoczonymi wstrząsnęła historia wiewiórki Peanut, która mieszkała w Nowym Jorku, ale bezduszni urzędnicy zadecydowali o jej uśpieniu. Kilka lat temu Mark Longo przygarnął małą wiewiórkę po tym, jak jej matka zginęła potrącona przez samochód. Dał jej na imię Peanut, czyli Fistaszek, i uczynił z niej instagramową celebrytkę: jego konto, na którym relacjonował jej życie, obserwowało pół miliona osób. Pewnego dnia do drzwi pana Longo zapukało ośmiu urzędników departamentu ochrony przyrody, odebrali mu wiewiórkę tłumacząc, że stanowi ona zagrożenie epidemiologiczne: może przenosić wściekliznę. Dwa dni później zwierzątko zostało uśpione. Przed śmiercią wiewiórce udało się jeszcze ugryźć jednego z urzędników w palec. Na niewiele się to jednak zdało.

Tę bulwersującą historię natychmiast wykorzystał sztab Donalda Trumpa. Kandydat na wiceprezenta J.D. Vance powiedział na wiecu wyborczym w Karolinie Północnej, że Trump był „rozjuszony” informacją o śmierci wiewiórki: „Ten sam rząd, który nie przejmuje się kwestią setek tysięcy nielegalnych imigrantów, przestępców przybywających do naszego kraju, zabrania nam posiadania zwierzątek domowych. To czyste szaleństwo” – grzmiał. Być może przesadą byłoby stwierdzenie, że Trump wygrał wybory dzięki wiewiórce, ale z pewnością śmierć wiewiórki mogła wpłynąć na część niezdecydowanych wyborców.

W czasie niedawnej konwencji rodzimego kandydata na prezydenta Rafała Trzaskowskiego w Gliwicach premier Donald Tusk powiedział, że spytał ludzi, czy zostawiliby swoje dzieci albo wnuki pod opieką Rafała Trzaskowskiego. Odpowiedzieli: „Tak, oczywiście, jasne”. A panu Nawrockiemu? „Popatrzyła na mnie jedna z zapytanych osób i powiedziała: »Panie, ja bym mu chomika pod opieką nie zostawiła!«”.

Tak oto w polskiej kampanii pojawił się inny gryzoń, znacznie lepiej udomowiony od wiewiórki i unieśmiertelniony w wierszu Marii Konopnickiej „Muchy samochodwały”: „U chomika w gospodzie/ siedzą muchy przy miodzie./ Siedzą, piją kolejną/ i z pajaków się śmieją./ Podparły się łapkami/ nad pełnymi kufkami./ Zagiął chomik żupana/ i dolewa do dzbana”.

Śmiali się też uczestnicy konwencji (choć miodu pitnego na niej, jak się zdaje, nie podawano). Na zaczepkę Tuska zareagować postanowił także doktor Karol Nawrocki. Jeszcze tego samego dnia umieścił w mediach społecznościowych swoje zdjęcie (w dresie i czapeczce z polską flagą) z podpisem: „Dobry to był dzień. Kończę go w towarzystwie chomika, który może czuć się u mnie bezpiecznie”. Miał to być, jak rozumiem, dowód na to, że ktoś jednak podjął ryzyko oddania pod opiekę panu Nawrockiemu swojego gryzonia.

Zapewne oddawał go w pośpiechu, bo nie zdążył poinformować kandydata-obywatelskiego-popieranego-przez-PiS, że to nie jest chomik, tylko suwak mongolski. Choć internauci są w tej sprawie podzieleni: niektórzy uważają, że jednak jest to chomik, ale z pewnością nie polski. Polski, który – na nieszczęście eurosceptyków – nazywa się właściwie „europejski”, waży do kilograma i, jak mi wyjaśnił Adam Wajrak, mógłby odgryźć panu Nawrockiemu palec. Dzięki temu wprawdzie jeszcze jedna rzecz łączyłaby go z Andrzejem Dudą, ale po co ryzykować? Na wszelki wypadek gryzoń na dłoni Nawrockiego był malutki.

Gryzoń anegdotyczny, realny czy literacki nie ma z pewnością takiego wpływu na wyborców, jak zamordowana przez urzędników wiewiórka, nie należy go jednak lekceważyć. Zwłaszcza w kontekście literackim. W przywołanym wierszyku Konopnickiej muchy śmieją się z pajaków: „Moja kumo jedyna!/ Czy mi pajak nowina?”, „Żebyś kumo wiedziała./ com już sieci narwała./ com z pajaków nadrwiała./ tobyś ledwo wierzyła”, „Śmiech doprawdy mnie bierze./ Pajak!... Także mi zwierzę!”, „Jak się dobrze zasadzę/ trzem pająkom poradzę!”. Pajak się tym przechwałkom przysłuchuje: „Prawi jedna, to druga,/ a tu z kąta coś mruga./ Prawi czwarta i piąta,/ a coś czai się z kąta”. Co się czai? Oczywiście – pajak: „zdusił muchy przy miodzie./ w chomikowej gospodzie”. Jaki z tego morał dla much? Nie przechwalać się i mieć się na baczności. Bo licho nie śpi.

Zwłaszcza że do wojny na gryzonia włączył się także Jarosław Kaczyński, debiutujący na portalu X. Umieścił tam bowiem zdjęcie swojej kotki ze złowróżbnym podpisem: „Dobrej niedzieli! Na zdjęciu Fiona”. Kotka ma spojrzenie niewiniątka, ale dobrze wiemy, do czego byłaby zdolna, gdyby napotkała na swojej drodze suwaka czy chomika. Nawet – a może szczególnie – europejskiego. ●



• 10 lutego 2019 r. Lindsey Vonn wywalczyła brąz na Mistrzostwach Świata i zakończyła profesjonalną karierę. Okazało się, że jednak nie był to koniec

FOT. JEAN-CHRISTOPHE BOTT/KEystone VIA AP

Kiedy po 10 latach po raz pierwszy mogła wyprostować prawe kolano, natychmiast pomyślała: „a gdyby tak znów zacząć się ścigać?”. Miesiąc po 40. urodzinach amerykańska narciarka Lindsey Vonn ogłosiła, że wznawia karierę przerwana, bagatela, w 2019 r. Choć wiele osób pukało się w głowę – tydzień temu ponownie wystartowała w zawodach Pucharu Świata.

Odwaga? Fantazja? Braura? Szaleństwo? Głupota? A może wszystko naraz?

• 5 lutego 2013 r., pierwszy dzień mistrzostw świata w Schladming. Start supergiganta kobiet się opóźnia. W nocy spadło dużo śniegu. Trzeba oczyścić trasę. Do tego jej część jest spowita mgłą. Gdy w końcu zaczęły się zawody, mgła nie wszędzie się podniosła. Lindsey Vonn jest faworytką. Ma za sobą najlepszy w karierze sezon i już sześć wygranych na koncie w bieżącym. Rusza na trasę z numerem 19. Jej największa rywalka Tina Maze i aktualna liderka wyścigu czeka na mecie.

Na pierwszym pomiarze czasu Vonn jest szybsza. Po skoku w połowie trasy leci daleko. Za daleko. Jak potem powie – prawą nartą łapie świeży śnieg, którego nie powinno tu być. Upada i koziółkuje po stoku. Uderza w kolejną bramkę. Gdy w końcu się zatrzymuje, słyca jej krzyk bólu. Dwanaście minut później Vonn zabiera do szpitala helikopter. Diagnoza jest najgorsza z możliwych, i to nie tylko dla alpejczyka: zerwane więzadła krzyżowe i boczne w prawym kolanie oraz złamana główka kości piszczelowej.

WIEK TO TYLKO LICZBA?

Stuknęła mi czterdziestka, kolano przestało boleć, więc czemu by po pięciu latach nie wrócić do ścigania.

Anna Kwiatkowska

Według lekarzy po takiej kontuzji do startów można wrócić po roku. Dokładnie za rok i cztery dni Vonn ma bronić olimpijskiego złota w Soczi.

Na śnieg wraca szybko, już w listopadzie. Na treningu nadrywa to samo więzadło krzyżowe, które lekarze naprawili jej dziewięć miesięcy wcześniej. Po miesiącu bardzo intensywnej rehabilitacji startuje w Lake Louise.

Piąte miejsce w supergigancie daje jej nadzieję, ale tuż przed Bożym Narodzeniem nie kończy zjazdu w Val d'Isère. Tym razem nie było dramatycznego upadku. „Moje kolano mnie zawiodło. Okazało się, że bez więzadła krzyżowego nie jestem w stanie ścigać się na najwyższym poziomie” – pisze w swoich socialach. Na początku stycznia 2014 r. informuje, że nie jedzie do Soczi. Kilka dni później poddaje się kolejnej opera-

cji. Sprawności w kolanie nie odzyska aż do kwietnia. Kwietnia 2024 roku.

Prawe kolano to główny powód zakończenia przez Vonn kariery w 2019 roku. I główny powód jej powrotu.

• Lindsey Vonn nie jest pierwszym sportowcem dowolnej płci uprawiającym sport po 40. Serena Williams ostatniego Wielkiego Szlema rozgrywała miesiąc przed 41. urodzinami. Roger Federer – z Vonn się przyjaźni i trzyma za nią kciuki – odłożył rakietę miesiąc po 41. urodzinach. W koszykówkę na najwyższym poziomie ciągle gra LeBron James – za kilka dni będzie miał 40. urodziny. Tiger Woods (przez parę lat chłopak Vonn) jeszcze w wieku 47 lat grał w golfowym turnieju Masters. Są niezniszczalni Japonczycy – skoczek Noriaki Kasai, 52-latek, szykuje się do kolejnego sezonu. A w drugoligowym klubie ciągle kopie piłkę jego starszy o pięć lat rodak Kazuyoshi Miura. Kariere 51-letniego kolarza Davide'a Rebellina zakończyła nie kontuzja, lecz śmierć – zginął w czasie treningu potrącony przez tira.

Może rzeczywiście wiek to tylko liczba.

• „Logiczne jest, że starsi sportowcy są lepsi. Korzyści płynące z doświadczenia i dojrzałości są tak wielkie, że jeśli jest możliwe przedłużenie ich fizycznej sprawności, to jest oczywiste, że najlepsi sportowcy będą mieć po 35 lub 40 lat. Spodziewamy się znacznie większej liczby 35- i 40-letnich mistrzów świata” – uważa Jeff Bercovici, dziennikarz, autor książki „Play On: The New Science of Elite Performance at Any Age”, w której przygląda się karierom zawodowych sportowców.

Sportowcy aktywni po 40.



LeBron James
lat 40

• To już drugi sezon NBA, w którym gracz Lakersów jest najstarszym zawodnikiem ligi. 22 października razem ze swoim synem Bronnym zostali pierwszą parą ojciec-syn, grającą razem w meczu NBA. Jest czterokrotnym mistrzem NBA i trzykrotnym złotym medalistą igrzysk olimpijskich.



Tiger Woods
lat 49

• W golfowym cyklu PGA Tour wygrał 82 razy (tyle, co Lindsey Vonn w Pucharze Świata). Ma na koncie piętnaście zwycięstw w zawodach Wielkiego Szlema. Był najlepszym golfistą na świecie od sierpnia 1999 roku do września 2004 roku i ponownie od czerwca 2005 roku. do października 2010 roku.



Roger Federer
lat 43

• 20 Wielkich Szlemów, w tym 8 Wimbledonów (najwięcej w historii), 103 tytuły, złoto olimpijskie, numer jeden na świecie przez 237 kolejnych tygodni (rekord). Ostatni mecz jako profesjonalny tenisista Federer rozegrał 22 września 2022 roku, półtora miesiąca po 41. urodzinach.



Noriaki Kasai
lat 52

• W Pucharze Świata w skokach narciarskich startuje od 36 lat. Jest najstarszym medalistą olimpijskim (41 lat i 254 dni), najstarszym zwycięzcą konkursu Pucharu Świata (42 lata i 176 dni), najstarszym zawodnikiem na podium PŚ (44 lata i 293 dni) i najstarszym zdobywcą punktów w PŚ (51 lat i 255 dni).



Serena Williams
lat 43

• Williams zdobyła 23 tytuły wielkoszlemowe w grze pojedynczej (najwięcej w historii). Wygrała co najmniej raz każdy z turniejów Wielkiego Szlema. Jest mistrzynią olimpijską. Ostatni profesjonalny mecz rozegrała 3 września 2022 r. w czasie US Open – 23 dni przed 41. urodzinami.

Dzisiejsi sportowcy wiedzą dużo więcej o swoim ciele. Pod okiem profesjonalistów i dzięki technologii umieją dobrać trening oraz obciążenia do swoich możliwości. Dobrze się odżywiają. Do tego dochodzi medycyna sportowa, która w ostatnich dekadach zrobiła olbrzymi postęp. Zerwane więzadła czy ścięgna to dziś nie są już kontuzje kończące karierę. W narciarstwie alpejskim, czyli w dyscyplinie bohaterki tego tekstu, zawodników z samego szczytu z nienaruszonymi kolanami – a przecież kontuzja kolana to coś, co przeraża każdego, kto uprawia sport choćby amatorsko – da się pewnie policzyć na palcach jednej ręki. Co jest więc takiego niezwykłego w powrocie 40-letniej alpejki do zawodowego ścigania?

Właśnie to, że to powrót. Wymienieni wcześniej sportowcy swoich karier nie przerywali. Vonn miała pięcioletnią przerwę – w świecie zawodowego sportu to epoka, nawet jeśli nie sportowo (choć zdążyło wejść kolejne pokolenie), to wizerunkowo-marketingowa.

W alpejskim Pucharze Świata do jednego powrotu emeryta w tym roku już doszło. Też był wielki, gdy odchodził. Też nie było go pięć lat. Tyle że Marcel Hirscher, austriacki arcymistrz, na sportową emeryturę w 2019 roku przeszedł zdrowy. Odszedł, bo miał dość. Wrócił, bo odkrył, że jednak się mylił. Jego powrót skończył się szybko, bo już po trzech startach – na początku grudnia zerwał (w końcu i jego to dopadło) więzadła w kolanie.

Vonn, ogłaszając koniec kariery, napisała na Instagramie: „Moje ciało krzyczy do mnie STOP, najwyższa pora go posłuchać”. Na liście części ciała, które w ciągu kilkunastu wyczynowych lat Vonn naraziła na szwank, oprócz pouszkadzanego na wszystkie możliwe sposoby prawego kolana są też: lewe kolano, kostka, ramię, bark, nadgarstek, mały palec u ręki oraz kciuk, który zraniła, otwierając szampana po jednym ze zwycięstw. Kilka razy miała wstrząśnienie mózgu.

Co się zmieniło od dnia, gdy ogłosiła, że kończy karierę zawodową? W kwietniu tego roku wszczepiono jej częściową protezę kolana. Ma w nim teraz kilka milimetrów tytanu. Po kilkutygodniowej rehabilitacji odkryła, że po raz pierwszy od dekady może chodzić i skakać bez bólu, a nawet wyprostować kolano.

Już kiedy kończyła karierę w lutym 2019 r. – miała wtedy 34 lata – przy opisach jej sukcesów przewijał się przymiotnik „najstarsza”. Najstarsza medalistka igrzysk

w konkurencjach alpejskich, najstarsza medalistka mistrzostw świata. Może się okazać, że wszystko, co w tym i następnym olimpijskim sezonie będzie robić sportowo – będzie okraszane tym przymiotnikiem.

Warto sobie uświadomić, czym ma się zająć 40-letnia Vonn. Zsuwanie się po stoku w Białce Tatrzańskiej ma z tym niewiele wspólnego. Amerykanka specjalizuje się w zjeździe i supergigancie – to te alpejskie konkurencje, w których na stromej i twardej jak skała trasie rozwija się prędkości dochodzące do 130 km/h. Jeśli z jakiegoś powodu stracisz równowagę i upadniesz – to masz szczęście, jeśli z trasy zjedziesz na własnych nogach. Jeśli masz go mniej – możesz nawet zginąć. Kilka tygodni temu zmarła tragicznie młoda, obiecująca włoska alpejka. 19-letnia Matilde Lorenzi przewróciła się na treningu, uderzyła twarzą w stok. Zmarła w szpitalu z powodu obrażeń mózgu.

– Strach nie jest elementem układanki. Nie myślę o nim. Oczywiście oceniam ryzyko, ale pod kątem tego, jak pojechać, by wygrać – opowiadała w 2017 roku Lindsey Vonn w CBS News. W autobiografii „Rise. My story” przyznaje, że przez lata zmagала się z depresją. Przed wszystkim, co w życiu było trudne, uciekała, pędząc jak szalona w dół stoku. „To była moja terapia. Na stoku czułam, że mam nad wszystkim kontrolę”.

Vonn ma w Stanach Zjednoczonych status celebrytki, choć narciarstwem alpejskim interesuje się tam garść kibiców. Ma wszystko, co do tego potrzebne: jest atrakcyjna, bogata, dobrze radzi sobie w socialach (2,4 mln obserwujących na Instagramie, 1,4 mln na Facebooku), nie ma obaw przed dzieleniem się życiem prywatnym (o jej związku z Tigerem Woodsem pisały portale na całym świecie), bywa na czerwonych dywanach, pozuje do zdjęć w bikini (albo nawet bez), zna inne gwiazdy (nawet naszą Igę Świątek), nie boi się mówić, co myśli, udziela się charytatywnie. No i ma trzy psy, w tym dwa adoptowane ze schroniska.

Ale niech nikogo nie zwiedzie ta celebrycka otoczka. Vonn zdobyła wszystko, co w narciarstwie alpejskim można zdobyć: cztery wielkie Kryształowe dla najlepszej zawodniczki sezonu, 19 małych Kul za wygraną klasyfikacji w jednej konkurencji, medale olimpijskie – złoto, czyli trofeum, które w Ameryce znaczy najwięcej, i dwa brązy, medale mistrzostw świata – dwa złote, trzy srebrne i trzy brązowe. Nikt ani przed nią, ani po niej nie wywalczył aż tylu – ośmiu – Kul za zjazd. Ani nie wy-

„Gdyby na moim miejscu był facet, to po powrocie po operacji do ścigania wszyscy – dziennikarze, zawodnicy, trenerzy – klepaliby go po ramieniu mówili: »Rany, brachu, to była ku...ska kontuzja. Szacunek«. I nikt by nie sugerował, że gość symulował”

grał tej najniebezpieczniejszej konkurencji tyle razy co ona (43). W 2019 r. to do niej należał kobiecy rekord liczby wygranych zawodów w Pucharze Świata – 82. Dopiero w sezonie 2022/23 w tabelce zepchnęła ją na drugie miejsce młodsza koleżanka Mikaela Shiffrin.

Ale Vonn ciągle było mało. Gdy w 2019 r. kończyła karierę, nie spełniła dwóch marzeń: nie udało jej się wystartować w zawodach z mężczyznami (Międzynarodowa Federacja Narciarska [FIS] odmawiała jej tego kilkakrotnie) i nie udało jej się pobić należącego do Ingemara Stenmarka rekordu – Szwed zawody Pucharu Świata wygrał 86 razy (ten rekord też, i to z nawiązką, pobiła już Shiffrin).

Wiosną 2018 r., gdy kończyła 18. sezon startów w Pucharze Świata, do Stenmarka brakowało jej tylko czterech zwycięstw. Jeden udany sezon bez kontuzji załatwiłby sprawę. Nie udało się. Najpierw w czasie treningu tuż przed sezonem po raz kolejny uszkodziła kolano – upadła, startując w Cortinie d'Ampezzo. Podjęła wtedy decyzję, że zaraz po lutowych mistrzostwach świata kończy ze ściganiem. – Nie będę umierać za ten rekord – oznajmiła.

Prawie cała kariera Vonn przebiegała w rytmie: sukces – kontuzja – rehabilitacja – powrót. Za każdym razem, gdy zwożono ją z trasy toboganem lub odlatywała helikopterem, zapowiadała, że na pewno wróci. Kroniką jej kontuzji, operacji i rehabilitacji stał się Instagram. W listopadzie 2016 r. wrzuciła zdjęcie ramienia z wielką raną po operacji opatrzone komentarzem: „Oj, zostanie po tym ślad. Ale szukając pozytywów – lepiej, że to ręka, a nie noga”. W realu do śmiechu jej nie było. Przez kilkanaście ty-

godni nie mogła ruszać prawą ręką. W czasie pierwszych startów po powrocie kijek do prawej ręki trenerzy przyklejali jej taśmą.

Na swoich ostatnich do tej pory mistrzostwach świata w Åre na trasie supergiganta znowu upadła. Wylądowała w siatkach zabezpieczających trasę i mocno się potłukła. Kilka dni później stanęła jednak w bramce startowej. W przeddzień na Twitterze zamieściła emocjonalny wpis: „Ostatni raz stanę na starcie. Ostatni raz poczuć adrenalinę w żyłach. Ostatni raz zaryzykuję wszystko. Ostatni raz... Zapamiętam go na zawsze. Do roboty!”. Ten ostatni raz zakończył się brązowym medalem. Na mecie z kwiatami czekał Ingemar Stenmark – ten, którego rekordu nie udało jej się pobić.

W „Rise” Vonn pisze, że przez całą karierę zarzucano jej, że kontuzje wyolbrzymiała, że jest królową dramy, że szuka uwagi. „Kiedyś usłyszałam, jak moja rywalka mówi, że na pewno udaję, bo tyle razy podobno miałam kontuzję, a potem wygrywałam. Prawda jest taka, że nieraz ściagałam się z kontuzją, która dla wielu oznaczałaby koniec sezonu. Czy to było mądre? Pewnie nie. Ale to był mój wybór”.

Vonn pisze też o podwójnych standardach w traktowaniu w sporcie kobiet i mężczyzn. „Gdyby na moim miejscu był facet, to po powrocie po operacji do ścigania wszyscy – dziennikarze, zawodnicy, trenerzy – klepaliby go po ramieniu i mówili: »Rany, brachu, to była k...ska kontuzja. Szacunek«. I nikt by nie sugerował, że gość symulował”.

Amerykanka nie znosi, gdy się jej mówi, że czegoś jej nie wolno albo że czegoś nie potrafi. – To mnie dopiero nakręca. Wtedy zrobię wszystko, żeby udowodnić, że jest odwrotnie. Kiedy w wieku 16 lat po raz pierwszy trafiła do kadry, podслуchała, jak starsze koleżanki i trenerzy mówią, że niczego specjalnego się po niej nie spodziewają. Nie miała wyjścia – musiała im pokazać, na co ją stać.

Miała 23 lata, gdy postanowiła wyjść za mąż za starszego o dziewięć lat zawodnika (a potem jej trenera) Thomasa Vonna. Od tego pomysłu próbował odwieść ją ojciec. Posłuchała? A gdzie tam! Przez kolejne lata nie rozmawiała po prostu z ojcem. Choć to on miał rację, bo małżeństwo nie było udane, zakończyło się po kilku latach trudnym rozwodem. I depresją.

Vonn kilka razy próbowała przekonać działaczy FIS, żeby pozwolili jej ścigać się z mężczyznami. – Trenuję z nimi i wiem, że od

Nie żyje ścigany nakazem aresztowania pisarz i sympatyk Doriota. Zdrajca popełnił samobójstwo” – tak komunistyczny dziennik „L’Humanité” donosił w krótkiej notce z 17 marca 1945 r. o śmierci Pierre’a Drieu la Rochelle. (Jacques Doriot był działaczem faszystowskim, m.in. przywódcą skrajnie prawicowej Francuskiej Partii Ludowej, PPF). Czołowy publicysta kolaboracyjnych pism „La Gerbe” i „Je suis partout”, naczelny wznowionego w 1940 r. pod nadzorem ambasadora III Rzeszy we Francji Otto Abetz’a prestiżowego, literackiego pisma „La Nouvelle Revue française” („NRF”) – Drieu la Rochelle był jednym z pierwszych na liście do rozliczeń za kolaborację z Niemcami.

Po wyzwoleniu Paryża w sierpniu 1944 r. nie dołączył do tych kolaborantów, którzy w panice uciekali z Francji. Gardził nimi. Ze wzgardą przyglądał się też tym, którzy postawieni przed sądem, nie mieli odwagi bronić swoich przekonań i by uniknąć plutonu egzekucyjnego, przerzucali odpowiedzialność na innych. Nie chciał ani się ukrywać, ani dać złapać – dla niego oznaczałoby to hańbę. W sierpniu 1944 r. podjął próbę samobójczą. Nieudaną.

Przez siedem kolejnych miesięcy zmieniał kryjówki na francuskiej wsi i w Paryżu, ukrywany przez przyjaciół i swoją pierwszą żonę Colette Jérôme, badaczkę w Instytucie Pasteura, Żydówkę.

W lutym 1945 r. wstrząsnął nim wyrok śmierci dla Roberta Brasillacha i egzekucja tego przedstawiciela nurtu „intelektualnego faszyzmu” we Francji. Nie wierzył już w swoją przyszłość, nie nawidził tak siebie, jak i nowego świata. Uważał, że popełnił błąd, ale nie, że zdradził: współpracował z nazistami w interesie Francji. Winna była historia, on stanął jedynie po złej stronie.

15 marca 1945 r. odebrał sobie życie. Tak zakończyła się kariera 52-letniego pisarza, który już w latach 20. zyskał literacki rozgłos. Pisał wiersze, powieści, eseje polityczne, brylował na paryskich salonach. Jego ewolucja polityczna wiodła od nacjonalistycznej Action Française po faszystowską PPF i kolaborację z okupującymi Francję nazistami.

W latach 20. sympatyzował z surrealistami, których porzucił. Powodem było ich zaangażowanie we Francuską Partię Komunistyczną i jej działania na rzecz – nieuchronnej, jak wówczas sądzono – światowej rewolucji.

Był blisko komunistów, w tym Aragona. Miał pacyfistyczne pokusy: w 1923 r. wezwał do wielkodusznego pojednania z Niemcami. Podczas II wojny światowej był zażartym antysemitą, który wydobyl swą pierwszą żonę Colette i jej dwoje dzieci z obozu w Drancy. Wychwalał Hitlera, potem był nim rozczarowany. W 1944 r. wyrażał swój podziw dla... Stalina.

Szczerze nienawidził parlamentarizmu – ale jego zaangażowanie polityczne było bezsprzeczne. Mylił się, dokonywał fatalnych wyborów, ale w przeciwieństwie do zachowania koniunkturalisty Doriota jego zwroty i decyzje wynikały ze szczerych przekonań. Za pozornymi sprzecznościami i politycznymi woltami kryła się tragiczna spójność – nienawiść do samego siebie i do świata wokół, pogrążonego, jak głosił, w dekadencji.

W latach 20 i 30. XX wieku motyw dekadencji przewijał się w twórczości wielu



FOT. ARCHIWIO GGB / ALAMY STOCK PHOTO/REAW

Pierre Drieu la Rochelle Mistyka siły

JESTEM ZDRAJCĄ. ALE NIEWINNYM

Nienawidził nowoczesnego, dekadentckiego świata, kobiet, a zwłaszcza samego siebie.
Ale zachwycał go Hitler. I Stalin

Jolanta Kawa

pisarzy i publicystów, zwłaszcza z kręgów nacjonalistycznej prawicy. Spustoszenia i trauma Wielkiej Wojny oraz rozwój technologii dostarczyły obfitej pożywki dla dyskursu o „kryzysie ducha” i ostrej krytyki kapitalizmu. Ówczesne niepokoje podsycaly niestabilność rządów III Republiki, kryzys gospodarczy i strach przed napierającym komunizmem.

Wykorzystując lęki tamtego czasu, pravicowi polemisi z wysokonakładowych pism „Action Française” czy „Je suis partout” atakowali podłość „nowoczesnego świata”. I pławiąc się w tej ponurej wizji, prorokowali rychły koniec cywilizacji.

W tym nurcie osadzona była twórczość i zaangażowanie polityczne

Drieu la Rochelle. Przekonanie o życiu w epoce i społeczeństwie naznaczone schyłkowością nadaje jednorodność jego pisarstwu:

„Podobnie jak wszyscy inni współcześni pisarze, stanąłem w obliczu przytłaczającego faktu: dekadencji. Wszyscy musieli się bronić i reagować na nią, każdy na swój sposób. Ale nikt tak jak ja – z wyjątkiem Céline’a – nie miał wyraźnej jasności tego faktu” – pisał w autobiograficznej powieści „Gilles” w 1939 r.

Urodził się w 1893 r. w Paryżu, w konserwatywnej, mieszczańskiej rodzinie z Normandii. Matka wywodziła się z zamożnej burżuazji, ojciec ze zubożałej szlachty. Ten adwokat bez klienteli nie miał ręki do interesów.

Uzależniony od hazardu, roztrwonil posag swojej żony. Prowadził podwójne życie i był niewiernym mężem.

Drieu dorastał w domu zatrutym nieustannymi wrzaskami i klótniami rodziców, którzy nie troszczyli się o emocje swoich dwóch synów – Drieu i jego młodszego brata. By uciec od codziennego piekła w domu i zrekompenzować poczucie niższości społecznej, Drieu był prymusem w katolickim gimnazjum w Paryżu, a potem w liceum.

Tak to później wspominał: „chodziłem do szkoły bogatych chłopców. Byłem zawstydzonym drobnomieszczańinem pośród wielkich burżujów”. Tym bardziej dotkliwie odczuł upokorzenie związane z obłaniem egzaminu końcowego w prestiżowej wyższej szkole nauk politycznych, który prowadził do kariery w dyplomacji. Porażkę tłumaczył swoją nieśmiałością i niską kondycją społeczną rodziny.

Drieu szczerze nienawidził ojca, ale w dorosłym życiu powielił jego schemat życiowy: też roztrwonil posag żony, zanim ją opuścił, nienawidził jej żydowskiej, zamożnej rodziny, która go zaakceptowała i utrzymywała. Czuł się nieudacznikiem – jak ojciec. Jako nastolatek stracił wiarę.

Wartości przekazane mu przez rodzinę ukształtowały jego wizję świata, pozbawioną iluzji i pełną goryczy. Surowo oceniał świat swego dzieciństwa, widząc w nim znak zarówno upadku rodziny, jak i końca starego świata, zdominowanego przez industrializację i nowoczesny kapitalizm.

Dlatego odrzucał konsumpcjonizm, maszynę, miasto, drobnomieszczański i burżuazyjny styl życia: maszyny i miasto zmieniały człowieka w automat, którego jedyną racją bytu jest konsumpcja dóbr materialnych.

Od wczesnej młodości czytał prawicowe gazety, zwłaszcza „L’Action Française”, pasjonował się pisarzami takimi jak Maurras, Barrès, Nietzsche. Kiedy wybuchła Wielka Wojna, nie krył entuzjazmu: uważał, że wojna kształtuje mężczyznę, który stając się wojownikiem, umacnia swoją męskość. Dzięki zaś wojnie stary, zdeprawowany świat legnie w gruzach, odrodzi się nowa, lepsza rzeczywistość.

„Ogłaszam wam nadejście ludzkiego królestwa” – pisał w jednym ze swoich wierszy opublikowanych w 1917 r. Na wojnie potwierdza się ciężka cięła, poczucie siły; Drieu odkrywa za Nietzschem wolę mocy i kult wodza.

Zdemobilizowany po wojnie w wieku 26 lat, nie mógł przyzwyczaić się do życia w cywilu. Błąkał się po Paryżu, od salonów po burdele, zatracając się w alkoholu i romansach.

W wyniku wojny odwrócił się także od „nacjonalizmu integralnego” Action Française, ale nigdy nie przestał wielbić Francji i oplakiwać jej upadku i zepsucia.

Jakie były wedle Drieu przyczyny tego upadku? Przede wszystkim kryzys demograficzny, w którym upatrywał powodu niezdolności Francji do samodzielnego zwycięstwa w Wielkiej Wojnie. Drugą przyczyną dekadencji miał być zanik partii i tradycyjnych podziałów społecznych: „Nie ma już konserwatystów, liberalów, radykałów ani socjalistów” – notował. Arystokracja zniknęła, podobnie jak burżuazja i lud, wszyscy są zniewoleni jedynym prawem pieniądza.

Kusił go komunizm jako „nieodparta fala miłości, przemocy i barbarzyństwa, która utopiłaby Europę i rozpuściła merkantylizm i maszynizm...”. Nie wydawało mu się jednak, by Rosja i jej bolszewicy przywódcy byli gotowi wyrzec się „wyuczonych i wyczerpującej religii Europejczyków i Amerykanów: produkcji”.

Alte to oczywiście świat polityki był ulubionym celem ataków Drieu. Uważał, że to bezsilność, bezwład i korupcja były cechami charakterystycznymi tego świata, który zmierzał prosto do bankructwa, co wyraźnie pokazała mu klęska 1940 r. Drieu atakował racjonalizm i drobnomieszczański styl życia, w którym widział tylko moralną dekadencję. To świat słabych ludzi i małych spraw. Nienawidził zwłaszcza Francji, która wędkuje i popija aperitif.

Sławił czasy średniowiecza, rycerstwa, katedr i wypraw krzyżowych. Współczesne życie – racjonalistyczne, drobnomieszczańskie – wydawało mu się mierne. Nienawidził „giełdy i Sorbony”, a jeszcze bardziej Żydów, „ponieważ są oni ucieleśnieniem nowoczesnego świata par excellence”.

Dekadencja to także brzydota Francuzów, którzy zapomnieli, jak rozwijać siły vitalne: „Ciało Francuzów jest godne pogardy (...)”. Strasznie jest chodzić ulicami i widzieć tyle rozkładu, tyle brzydoty. Te zgarbione plecy, te opadające ramiona, te spuchnięte brzuchy, te małe uda, te tchórzliwe twarze” (1934).

Podsumowywał w swoim „Dzienniku”: „Francuz, tak daleki od bogów, od ludzi, od zwierząt, jest osadem na pasywnej wieczności skostniałego intelektualizmu” (26 czerwca 1940). Lekkiem zalecanym przez Drieu był sport i dbałość o ciało. „Zawsze dbałem o swoje ciało” – wyznał na początku swej literackiej drogi. Nie była to prawda. Był kruchy fizycznie, co było powodem jego kompleksu niższości. Marzył o atletycznej sylwetce, tak silnej, by móc wstąpić do Waffen SS – pisał w dzienniku.

Zgorzkniały pesymista, nigdy nie przestał szukać drogi odrodzenia dla siebie, dla Francji i Europy. Mit odnowy był w nim tak żywy, że doprowadził go do pragnienia apokalipty, aby ten przeklęty świat mógł się oczyścić i odrodzić. Jednak każda droga okazywała się zawodna, przekształcała się w iluzję i rozczarowanie.

Wielka Wojna, która miała przynieść oczyszczenie, nie była taką, o jakiej marzył, na wzór średniowiecznych bitew. Na froncie został trzykrotnie ranny, widział rzeź, cierpienie i upokorzenie. Nowoczesna wojna zniszczyła rycerskie wartości i indywidualną odwagę, dlatego szczerze jej nienawidził: „To jest zła wojna. Ta nowoczesna wojna to wojna żelaza, a nie mięśni. Wojna nauki, a nie sztuki. To wojna przemysłu i handlu. Wojna generałów, a nie przywódców. Wojna żelaza i gazu. To wojna zaawansowanej cywilizacji” – pisał w 1943 r.

Inna droga wiodąca do odrodzenia była polityczna: Drieu optował za „trzecią drogą”, między kapitalizmem i komunizmem. Chodziło mu o stworzenie nowej formacji na obrzeżach tradycyjnych partii, materializmu naukowego i nacjonalizmu. Szukał i kluczył: „Chciałem zostać komunistą. Interesował mnie dziwny rodzaj komunizmu, taki, który napędzałby dekadencję i prowadził do końca wszystkiego, do zniszczenia. (...) A potem nagle pojawił się faszyzm. Wszystko znów stało się możliwe. W 1932 r. pojechałem do Ameryki Południowej. (...) Kiedy wróciłem, interesował mnie tylko faszyzm” (1942).

Ostatecznie w tym przekonaniu utwierdziły go manifestacje uliczne z lutego 1934 r., podczas których doszło do krwawych rozruchów między sympatykami skrajnej prawicy i lewicy. Dostrzegł w nich ruch wykraczający poza tradycyjne podziały polityczne, fundamentalnie antyburzowy i antyparlamentarny: „W krajach faszystowskich nie ma lewicy ani prawicy. To kapitalizm przeciwko socjalizmowi, splecione w walce na śmierć i życie”.

Po wydarzeniach z 1934 r. uważał, że sytuacja we Francji nareszcie dojrzała, by powstała partia faszystowska. W eseju z tego samego roku o jednoznaczny tytuł „Faszystowski socjalizm” Drieu definiował ów socjalizm à la française – mieściłby się on gdzieś pomiędzy kapitalizmem i marksizmem, i zakładałby współpracę wszystkich klas społecznych.

Powtarzał tamże, jak i w swoich artykułach do 1936 r., tezę, którą głosił od końca

I wojny światowej, że Francja była niebezpiecznie słaba i że jedynym wyjściem z tego stanu było stworzenie szerokiej partii, ruchu narodowosocjalistycznego.

Powstała w 1936 r. faszystowska partia Jacques’a Doriota, PPF, jawiła się mu jako ucieleśnienie tych pragnień. Toteż wstąpił ochoczo w jej szeregi, stając się jednym z jej głównych rzeczników. Został redaktorem naczelnym tygodnika „L’Émancipation Nationale”, tuby propagandowej partii. Był przekonany, że partia Doriota będzie matrycą faszyzmu, którego był wyznawcą.

Doriotowi poświęcił dwie książki i ok. 20 artykułów. Jawił mu się on jako francuski führer: „Widzieliśmy, jak Jacques Doriot żyje i pracuje. Widzieliśmy, jak syn kowala, były ślusarz w wielkim pocie czoła kontynuował pracę przez 15 lat. Jak wziął na swoje barki los Francji. (...) Czuje życie jako masywną rzeczywistość, jako blok

Zafascynowany paradami młodych hitlerowców, wychwalał ich męskość i zdolność niemieckiego systemu do kreowania przywódców. Uwodziła go estetyka faszystowska

metal, który trzeba toczyć, ciąć, kuć”.

Zachwyt nad Doriotem nie trwał długo. Zawiódł go: nie zbudował wielkiej partii narodowosocjalistycznej, do stworzenia której Drieu wzywał. Doriota otaczali byli komuniści, dorastał w robotniczej kulturze, a mimo to nie walczył z burżuazją. Co więcej, korzystał z finansowego wsparcia bankierów, także żydowskich.

Zerwanie z nim nastąpiło w 1938 r. Już wcześniej zresztą Drieu dostrzegал oportunizm Doriota, a jego hulaszczy tryb życia nie licował z figurą ascetycznego wodza, jakim Drieu chciał go widzieć.

Drieu podał się do dymisji 6 stycznia 1939 r. W liście do Doriota z goryczą uzasadniał swoją decyzję: „Oszukałeś nas, nie chciałeś ratować Francji. (...) Francuzi chcieli uciec od losu, jaki dotykał ich boleśnie przez sto lat. Byli gotowi na jakiś znak zachęty, by wyrwać się z marazmu. Porzucili ich w zwątpieniu”.

Od 1934 r. dla Drieu nową drogą do odrodzenia stał się faszyzm, który był dla niego „ruchem politycznym podążającym najbardziej bezpośrednio i najbardziej radykalnie na drodze wielkiej rewolucji naszych czasów, na drodze rewolucji ciała – zdrowia, godności, spełnienia i heroizmu – drodze obrony człowieka przeciw wielkiemu miastu i przeciw maszynie” (1937).

Wierzył, że odnalazł we francuskich, a potem niemieckich faszystach prawdziwych wojowników, których daremnie szukał na polach bitew. Podobnie jak on, wychwalali oni tężyżnę fizyczną, siłę człowieka, który nie boi się walczyć o swoją sprawę, który – nieobciążony zasadami – nie waha się użyć przemocy.

Bliska mu była faszystowska apologia radykalnego zniszczenia i śmierci. Czyż fałangiści nie szarżowali z okrzykiem „Viva la muerte”? Drieu niejednokrotnie twierdził, że jedyny, prawdziwy sens życia jest tylko w śmierci. Toteż z łatwością odnalazł się w obozie tych, którzy uważali śmierć za swój ostateczny cel.

Wychwalał męską przyjaźń i braterstwo. Tylko „mężczyzna jest jak Bóg”, kobiety są słabe i „pozbawione duszy”. Są jedynie odbiciem swojego mężczyzny”, który „je lepi”. Kobieta jest wyłącznie „materiałem”, który mężczyzna musi umieć obrać – pisał w dzienniku, utkanym z wielu podobnych mizoginicznych fraz.

Człowiek – dekadent przestał być częścią natury, utracił poczucie instynktu, nie dbał o swoje ciało. Racjonalizm go zaślepił, a demokracja jest sprzeczna z naturą – głosił Drieu. Naturalna była jedynie zasada autorytetu, wodza. Drieu czcił charyzmatycz-

nych przywódców, wyposażonych w siłę i zdolności przyciągania tłumów. Dlatego poparł Franco podczas hiszpańskiej wojny domowej. A potem Hitlera.

W 1935 r. uczestniczył w kongresie NSDAP w Norymberdze, skąd wrócił zauroczony: „To, co widzę (...), przekracza moje oczekiwania. Jest cudowne i straszne. (...) Parada elitarnych oddziałów w czerni była wspaniała. Nie przeżyłem nigdy czegoś podobnego pod względem artystycznych emocji od czasów rosyjskich baletów. Wszyscy ci ludzie są odurzeni muzyką i tańcem”.

Zafascynowany paradami młodych hitlerowców, wychwalał ich męskość i zdolność niemieckiego systemu do kreowania przywódców.

Uwodziła go estetyka faszystowska. Pisał: „wspaniale i odurzające parady tężyżny fizycznej”, podziwiał młodzież „czystą, maszerującą rytmicznym krokiem”. Wychwa-

lał masy ludzkie, które poddawały się porządkowi i dyscyplinie, wprawione w ruch podążały uroczyście jakby napędzane „starą mistyką cielesnej komunii”.

Faszystowskie zgromadzenia określał jako „wielkie, ludowe ceremonie”. Pisał: „Serce mi się kraje na myśl, że tego nie ma we Francji. Co za zapal, siła i radość tutaj. (...) Wokół unosi się rodzaj męskiej zmysłowości, która nie jest seksualna, ale bardzo odurzająca... (...) Ah! tej nocy umrę, umrę z namiętności”. „Obrzydzenie” Francuzami (dziennik, 1944) doprowadziło go do pragnienia przyłączenia Francji, skażonej śródziemnomorską i semicką krwią, do Rzeszy Niemieckiej, promotorki nordyckiej międzynarodówki.

Od 1934 r. Drieu stopniowo zaczął przyjmować teorie, które rozróżniały ludy na gruncie biologicznym, rasowym. Nim stały się one podstawą narodowego socjalizmu, idea wojny między rasami znalazła szczególny wyraz w drugiej połowie XIX wieku w twórczości takich francuskich pisarzy jak Arthur de Gobineau czy Édouard Drumont, których Drieu czytał i których idee stawały się mu coraz bliższe.

„Grupy etniczne zamieszkujące Europę nie mają tych samych korzeni co grupy etniczne zwane semitami. Nie ma ani podobieństwa cech fizycznych, ani języków. Ten prosty fakt wystarczy, aby uzasadnić pewną i nieredukowalną podstawę dla minimum rasistowskiego myślenia i uczynienia go obowiązującym dla wszystkich narodów Europy w odniesieniu do Żydów” – pisał w 1938 r.

Mieszanie ras – uważał – niszczy jakość rasy; Aryjczyk, człowiek szlachetny i odważny, musi zatem uważać, aby nie dać się zdominować przez chciwego semitę. Rasa nordycka, najczystsze wcielenie rasy aryjskiej, jest obecna w całej Europie Północnej, w tym w Anglii, a zwłaszcza w Niemczech. Podczas gdy Żyd uosabiał materializm i intelektualizm, które Drieu potępiał, i był zaczynem zachodniej dekadencji, człowiek nordycki jest figurą rodzimej czystości, obietnicą odnowy, łącząc w sobie instynktowną siłę i duchowe uniesienie.

Umacniając się potęgę Niemiec w Europie kontynentalnej w latach 30. Drieu widział w mniejszym stopniu jako efekt ich rozwoju przemysłowego i militarnego czy wzrostu liczby ludności, bardziej jako skutek mniejszego „zażydzenia” niż w innych krajach.

Wedle Drieu Francja była w gorszej sytuacji, stała bowiem w obliczu wątpliwości co do czystości rasowej. Obwiniał Żydów za „zanieczyszczenie” francuskiej krwi i przyczynienie się do upadku zachodniej cywilizacji,

Wszystkim francuskim plagom – depopulacji, alkoholizmowi, homoseksualizmowi, pasożytniczemu intelektualizmowi, ospałości i brakowi kręgosłupa u elit – winni byli Żydzi. To z powodu inwazji cudzoziemców i dominacji Żydów umierała czysta galijska rasa. „Wszyscy powoli stajemy się Żydami” – ostrzegał jeden z bohaterów powieści Drieu „Ślomiane psy” (1944).

Choć Drieu miał wielu żydowskich przyjaciół, pod koniec lat 30. jął głosić publicznie antysemickie tezy. Po raz pierwszy w artykule w „L’Émancipation Nationale” (11 lutego 1938), gdzie ostro skrytykował premiera lewicowego Frontu Ludowego Léona Bluma, nie z powodu nieskuteczności jego rządów, lecz dlatego, że był Żydem.

Apelował, by Żydzi opowiedzieli się jasno, czy akceptują asymilację, czy też jej odmawiają. Ci, którzy wybiorą to pierwsze, muszą najpierw odbyć „dwupokoleniowy okres próbny w kraju, zanim zostaną dopuszczeni do wykonywania niektórych zawodów i korzystania z praw politycznych”. Ci, którzy to drugie, „muszą oczywiście zostać umieszczeni w getcie”.

Konkludował: „Nie możemy pogodzić się z tym, że (...) tak wielu Żydów dzierży w swoich rękach administrację państwową i władzę”. Później nikczemnego zadania ich wyeliminowania z życia publicznego podjął się reżim Vichy.

Antysemityzm Drieu stawał się coraz bardziej zjadliwy, jego kulminacją był pełen antysemickich urojeń i fobii, pisany w czasie wojny dziennik. Daje w nim upust swoim obsesjom, wścieklej nienawiści do Żydów, a także do kobiet: „Nienawidzę Żydów. Zawsze wiedziałem, że ich nienawidzę. Kiedy poślubiłem Colette Jéramec, wiedziałem, co robię i jakiego plugastwa się dopuszczam. Z tego powodu nigdy nie mogłem jej przelecieć”.

„Plugastwem” był ślub z czystego wyrachowania, dla pieniędzy. Colette bowiem pochodziła z zamożnej, zasymilowanej, żydowskiej rodziny. Zakochana w Drieu, obdarowała go kwotą 500 tys. franków, które ten wydał lekką ręką. Potem go utrzymywała, finansowała publikację jego książek, choć zdradzał ją tuż po ślubie.

Małżeństwo nie zostało skonsumowane, bo oprócz wyrzutów sumienia, które trawiły go z powodu „plugastwa”, czuł do niej odrazę fizyczną: „Miała okropny, kaczkowaty chód, utykała, garbiła się jak kobiety jej [żydowskiej] rasy”. Rozwiedli się po pięciu latach w 1921 r.

Mimo to, gdy w maju 1943 r. wraz z dwójkiem dzieci została wywieziona do obozu w Drancy, Drieu pomógł jej się stamtąd wydostać. Czy zrobił to z wdzięczności dla Colette za jej hojność i szczodrość? Bynajmniej. Oto co napisał w dzienniku:

„Żydzi mnie dopadli. Moja pierwsza żona zrobiła wszystko, co w jej mocy, by trafić do więzienia, po to, bym musiał ją stamtąd wyciągnąć. Byłem na tyle tchórzliwy, że zlitowałem się nad nią i uwolniłem ją. Ona nie wie, że jej nie znoszę”.

Korespondowali ze sobą, spotykali się do czasu samobójczej śmierci Drieu. Gdy zaczęły się powojenne czystki, Colette ukrywała go przed aresztowaniem. To ją poprosił przed śmiercią, by zajęła się jego rękopisami. Później Colette w nielicznych wywiadach nigdy nie krytykowała jego postawy podczas wojny: Drieu wyrządził jej wiele krzywd, ale uratował ją i jej dzieci przed piekłem obozu w Drancy i wywózką do Auschwitz.

W zapiskach z 9 maja 1940 r. pytał, czy mógłby lubić Żydów, i odpowiadał jednoznacznie: „ci, których znałem, czytałem, zranili mnie swoim bezwstydem i bezczelnością, krytyką, która obrażała moje przekonania i zwyczaje. (...) Ich pisarze zaś zranili mnie samozadowoleniem, pychą i niezdolnością obchodzenia się ze skarbami francuskiej kultury. (...) Żydzi nie wnieśli do naszej kultury ani geniuszu, ani cnót”.

Zasługą hitleryzmu – podkreślał Drieu – było przebudzenie europejskiej świadomości o istnieniu „problemu żydowskiego”. Liczył więc, że Hitler „oczyści” Europę z Ży-

dów i zorganizuje ich przymusową emigrację do „jakiegoś światowego rezerwatu” na Madagaskarze lub w Australii.

W dzienniku brak wpisów z lata 1942 r., gdy odbywały się w Paryżu i okolicach obławy na Żydów przeprowadzane przez francuską policję. Podczas największej z nich zatrzymano i wywieziono do obozu w Drancy, a potem do Auschwitz ponad 13 tys. osób pochodzenia żydowskiego. Milczenie Drieu w tej sprawie nie budzi wątpliwości: przyklaskiwał działaniom kolaboracyjnego reżimu Vichy.

Milczał w sprawie obozów koncentracyjnych; w jednym z listów, 15 września 1935 r., napomknął jedynie o obozie w Dachau, który pokazali mu naziści podczas podróży do Niemiec. Jest to jednak skłamany obraz: „Tym, co uderza, jest godny podziwu komfort i prawdziwy rygor i dyscyplina”.

Później, już w czasie wojny, w żadnym ze swoich tekstów nie wspominał o obozach zagłady. Nie wiedział? Wiedział, ale milczał? Raczej to drugie, musiał wiedzieć, przed jakim horrorem ratuje Colette i jej dzieci uwięzione w obozie w Drancy.

Upadek Francji wieszczył od lat. Gdy to się stało, w czerwcu 1940 r., miał gotowy plan działania, który jego zdaniem nowy, kolaboracyjny reżim Vichy winien był bezzwłocznie podjąć: m.in. pozbawienie obywatelstwa osób, które uzyskały je po 1920 r., wydalenie z Francji uchodźców politycznych, wydalenie osób pochodzących z Afryki i Bliskiego Wschodu, utworzenie dla europejskich Żydów „rezerwatu” na Madagaskarze, likwidacja partii politycznych, parlamentu, zniesienie niezależności prasy, zburzenie części zabytków w Paryżu – Trocadéro (dzieło żydowskich architektów), dworca d’Orsay czy wieży Eiffla.

Uważał się za europejskiego patriotę; państwa narodowe były, jego zdaniem, przeżytkiem, toteż opowiadał się za Europą federalną: „Europa się zjednoczy, albo sama się pożre lub zostanie pożarta. A pokolenia wojny, które, jak się wydaje, nie zmierzają w tym kierunku, albo to zrobią, albo będzie za późno”.

Na owe czasy było to myślenie tyleż oryginalne, co niebezpieczne: jedynie Niemcy pod przywództwem Hitlera mogły stanąć na czele zjednoczenia Europy i położyć kres dekadencji. Jak pisał w dzienniku, należało to „od rewolucyjnej nieugiętości i zaciekłości hitleryzmu. Jeśli Hitler i jego ludzie nie osłabną, jeśli naprawdę chcą wytepić z Europy Żydów, masonów, socjalistów, komunistów, liberalów, kapitalistów, chrześcijan wszystkich wyznań, to prędzej czy później zmiotą Pétainów i zaszczepią w każdym podbitym kraju narodowy socjalizm”.

Wedle Drieu reżim Vichy był daleki od spełnienia tego ideału: to „zbiorowisko starców”, niezdolnych, by podjąć wysiłek rewolucji i odnowy narodowej. Marszałkowi Pétainowi i jego ludziom nie szczędził słów pogardy. Pétain to „stary dupek”, „stary, umiarkowany pierdziel”.

Drieu było najbliżej do radykalnego skrzydła kolaboracji, które płomiennie wyznawało wiarę w Hitlera i zwycięską III Rzeszę. Uważał, że należy podporządkować się nazistowski Niemcom, ponieważ są najsilniejsze, mają najlepszy system gospodarczy, społeczny i polityczny. „Narodowy socjalizm to wielki wynalazek stulecia” – pisał w grudniu 1942 r. Twierdził, że nie jest hańbą zaakceptowanie tego systemu:

Drieu la Rochelle:
*„Nie możemy pogodzić się z tym, że tak wielu Żydów dzierży w swoich rękach administrację państwową i władzę”.
Resztę wykonał reżim Vichy*

„narodowy socjalizm, totalitaryzm to nieuchronna konieczność”.

Toteż zasilil szeregi czołowych propagandystów kolaboracyjnej prasy, jał pisać felietony dla najbardziej zjadliwych dzienników takich jak „Je suis partout” czy „La Gerbe”. Pierwszy z nich, opublikowany 19 września 1940 r. w „La Gerbe”, nadał jasny ton: Niemcy są teraz Europą, należało więc dokonać rewolucji, jeśli Francja chce „wejść do Europy jutra z podniesioną głową”.

Po klęsce Francji w 1940 r. i utworzeniu rządu Vichy większość gazet przeniosła się do wolnej strefy. Niektóre wróciły do okupowanego Paryża już w lipcu 1940 r., włączając się w kolaboracyjną propagandę. Za niemieckie pieniądze powstały też nowe tytuły, które całym sercem, nie stroniąc od brutalnej retoryki, wspierały nazistowską politykę.

I tak oto, za namową ambasadora Abetza, z którym Drieu się przyjaźnił, podjął się on wznowienia publikacji – po pięciomiesięcznej przerwie, od lipca do listopada 1940 r. – prestiżowego miesięcznika literackiego „La Nouvelle Revue française”, jedynego czasopisma w strefie okupowanej. „NRF”, której redaktorem naczelny został Drieu, stała się miejscem, gdzie legitymizowano „ideal” europejski poprzez oparcie go na sojuszu francusko-niemieckim i i bagatelizowano okupacyjną rzeczywistość.

Antysemityzm, podziw dla polityki nazistowskiej, walka z antyfaszyzmem były głównymi tematami tekstów publikowanych w „NRF”, także przez samego Drieu. Pismo zdecydowanie porzuciło fasadę apolityczności. Uparcie broniło zasady „sztuka dla sztuki”, co brzmiało bałamutnie, zwłaszcza że z listy autorów współpracujących z „NRF” Drieu usunął, zgodnie z przykazem okupantów, pisarzy żydowskich (np. Juliana Bende), protestantów i antyfaszystów.

Jedność europejska budowana pod kierownictwem Niemiec jest jednym z głównych tematów podejmowanych w „NRF”. Zintegrowana, silna Europa to skuteczna przeciwwaga dla Ameryki i ZSRR. Nazistowskie Niemcy prowadzą europejską wojnę, należy stanąć po ich stronie, w przeciwnym razie komunizm zaleje całą Europę:

„Gdyby Niemcy się zachwiali, komunizm stanąłby u bram Berlina w jednej chwili” – pisał Drieu w „NRF” w 1942 r.; „z Berlina zająłby całą Europę” – przestrzegał. Wyobrażał sobie rosyjską ziemię wyzwoloną spod komunistycznego jarzma przez nazistów i kreślił wizję szczęśliwości dla Europy: „Wyobraźmy sobie, jak wyglądałoby jutro dla europejskiej wielkości, gdyby niemieckie elity wznowiły wielowiekową współpracę z rosyjskimi masami, wykorzystując w końcu największe światowe zasoby”.

Choć na przełomie 1942/43 r. publikował nadal w „NRF” dytrambiczne teksty pod adresem Hitlera i Niemiec, w dzienniku dawał wyraz przeczuciu ich bliskiej klęski. Wytykał błędy Führera, który, pisał, nie jest „Juliuszem Cezarem, a co najwyżej Napoleonem”.

Rozczarowany hitleryzmem i samym Hitlerem, obrał sobie za modelowego przywódcę Stalina. Jał wierzyć, że imperium sowieckie może odnieść zwycięstwo i zjednoczyć Europę. Drieu, zmagający się całe życie z kompleksem niższości, poczuł słabości fizycznej i niezdolnością do aktywnego działania, zawsze stawał po stronie silnych, potencjalnych i rzeczywistych zwycięzców.

Co udaremniło mu przystąpienie do komunizmu? „Drobnomieszczański konformizm i nieufność do Żydów” – wyznawał w dzienniku w grudniu 1942 r. A także – jak wyznał w ostatnim liście do brata – „odraza do francuskich komunistów”.

Drieu do końca swoich dni tkwił w schizofrenicznym rozdwojeniu: z jednej strony, mimo błędów Hitlera i powolnego upadku III Rzeszy, powtarzał, że ów realizuje jego polityczne ideały: heroizm wojenny, kult siły, wolę destrukcji starego, dekadentckiego świata. Z drugiej z coraz większą fascynacją

przyglądał się sowieckiej Rosji, która jawiła się mu jako „przykład idealnego imperium”, Stalin jako władca „z nadania boskiego”, „jego ludzie” zaś jako „prawdziwi arystokraci, jakich świat nie miał od wieków”.

Drieu nie zmienił poglądów politycznych, w komunizmie dostrzegał cechy, które wcześniej uwiodły go w faszyzmie: totalitarny charakter sowieckiego komunizmu, dzięki któremu wykuwał się „nowy człowiek”, kult wodza połączony z kultem siły – hierarchizację społeczeństwa, jego prymat nad jednostką.

Najważniejszy zaś był fakt, że Stalin „był lepszy i silniejszy od Hitlera”, że świat będzie miał nareszcie prawdziwego wodza. Rok później, profetycznie i z „dziłą radością”, ogłaszał nadejście sowieckiej nawałnicy:

„To będzie straszne, potwornie destrukcyjne, nie do zniesienia dla naszego pokolenia, które zginie powoli lub nagle, ale to lepsze niż powrót do starych rupieci, anglosaskiego lumpeksu, burżuazyjnej pseudoodnowy, odkurzonej demokracji”.

Podziw dla komunizmu nie przerodził się w konkretne zaangażowanie Drieu. Pozostał na obrzeżach iluzji i politycznych miraży. Oscylując między dwiema rywalizującymi ideologiami: faszyzmem i komunizmem, obnażał kruchosc swoich przekonań. Jego umiłowanie siły i przemocy wiodło go do stawania po stronie zwycięzców.

Stałymi elementami w myśli politycznej Drieu była jego koncepcja zjednoczonej Europy, którą miały wcielić w życie w pierw hitlerowskie Niemcy, a potem sowiecka Rosja. I głęboki wstręt do demokracji i do Żydów.

Jego zmienność postaw objaśnia brak ugruntowanych przekonań ideologicznych. Raz zachęcał Japończyków, by zaatakowali Rosję, innym razem nawoływał, by z nią zawiazali sojusz.

Droga Drieu to nieustanne balansowanie między entuzjastycznym przystępowaniem do ruchów, partii i ideologii na fali, co kończyło się rozczarowaniem i przemijało (nacjonalistyczna Action Française, surrealiści, faszyzm, komunizm), a niezdolnością do działania i realizacji jasno określonego projektu przez dłuższy czas.

Targany wewnętrznymi sprzecznościami, rozdzierał szaty, hamletyzował. Nie nawidził nowoczesnego, dekadentckiego świata, kobiet, a zwłaszcza samego siebie. Owładnięty obsesją śmierci i samobójstwa. Sartre miał rację pisząc: „Przystąpił do nazizmu z własnej woli, bo w głębi jego serca, podobnie jak w głębi nazizmu, jest nienawiść do samego siebie i nienawiść do człowieka, którą ona rodzi”.

Był rozczarowany dawnymi przyjaciółmi – m.in. Aragonem, z którym łączyła go silna więź. Przetrwała jedynie niezmarą różnicą poglądów przyjaźń z André Malraux, uznanym pisarzem, członkiem ruchu oporu i późniejszym ministrem kultury u boku gen. de Gaulle’a.

Drieu w 1944 r. w dzienniku nie szczędził mu słów uznania i podziwu: „Zawsze go ceniłem”. Malraux odwzajemniał się

tym samym. Była między nimi wielka zażyłość i bliskość. W marcu 1943 r., na prośbę Malraux, Drieu został ojcem chrzestnym jego syna. Z kolei po aresztowaniu Malraux przez gestapo 22 lipca 1944 r. Drieu interweniował u ambasadora Abetza, prosząc, żeby „Malraux nie się stało”. Ich przyjaźń nie ucierpiała nawet wtedy, gdy Malraux odmówił publikowania swoich tekstów podczas okupacji w „La Nouvelle Revue française”.

Malraux chciał chronić Drieu; w 1944 r. był gotów przyjąć go do brygady Alzacja-Lotaryngia, którą dowodził; Drieu mógłby przejść na dobrą stronę i tak jak podczas I wojny walczyć przeciwko Niemcom. Ale się nie zdecydował.

Po wyzwoleniu, gdy Drieu się ukrywał, Malraux pozostał jego lojalnym przyjacielem. Przed śmiercią Drieu uczynił go wykonawcą swego literackiego testamentu. Już jako minister u de Gaulle’a Malraux zadbał o publikację jego książek.

W wywiadzie z 1959 r. Malraux nie krytykował Drieu ani go nie potępiał. Zażyłość i szacunek wzięły górę nad ideologiczny-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Czesław Miłosz

Kołysanka

Józefowi Czechowiczowi

*Nad filarami, z których smoła ścieka,
w prowincji tej, gdzie salwa co dzień błyska,
pod śpiew saperów o losie człowieka
kołysze płacz dziecinny kołyska.*

*Kołysze, lula nowego bohatera
w zapachu ognia i spalonych zbóż.
Pluszczą pontony, tryska ptak zbudzony.
Roz-kwi-ta-ły pęki białych róż.*

*Nie śpiewajcie, chłopcy, pieśni tej –
porucznik mówi – bo zanadto smutna
i tak już w wodzie mokniemy po pas.
Nie bójcie się, tam w górze nie szrapnele –
po prostu leci ogień sennych gwiazd.*

*Mój mały – szepczą dziecku w wiosce siwej
od mgły armatniej – mały, bajkę chcesz?
Więc była... rzeka nazwana Stochodem.
W rzece mieszkała taka ryba, leszcz.*

*A leszcz był płaski jak miesiąc wieczorem
i pływał sobie, wodne kwiaty jadł,
aż przyszedł ktoś nad wodę i zakrzyczał:
wróć, u-ca-luj jak za dawnych lat.*

*Zdziwił się leszcz, kto go wolać może.
Ale dość bajki, śpijże już, mój mały.
Jest inna bajka. Był raz sobie kraj,
a w kraju żyta szerokie szumiały,
szumiały żyta, szumiały i szły
krajem pociągi pełne bochnów chleba,
nad pociągami srebrny grał skowronek...
Dalej nie umiem.*

Wiersz za: Czesław Miłosz, „Trzy zimy”, Warszawa - Wilno 1936

mi sporami: „Znałem go, był niezwykle stanowczy, decyzyjny i przykładowy w swojej odwadze. (...) [Miał] wielki wewnętrzny autorytet. (...) Nigdy nie czułem się lepszy od Drieu. To ja go podziwiałem. Nadal uważam go za jednego z najszlachetniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem”.

Pod koniec wojny Drieu otrzymywał groźby śmierci, a jego nazwisko znajdowało się na liście pisarzy zakazanych przez francuski ruch oporu. Wiedział, że będzie musiał zapłacić za kolaborację z wrogiem. W jednym z ostatnich tekstów pisał: „Jestem zdrajcą. Współpracowałem z wrogiem”, ale „nie jestem winny”. „Przegrałem. Żądam śmierci”. Śmierci, ale nie z rąk ludzkich, lecz na własnych warunkach. Jak Judasz, o którym rozmyślał i pisał w ostatnich miesiącach swego życia w powieści „Ślomiane psy”. Bo czyż Judasz poprzez swą zdradę i samobójstwo nie wypełnił boskiego proroctwa i nie uczynił Historii możliwą? W postaci Judasza Drieu chciał widzieć siebie, tragizm swojego losu i usprawiedliwienie swoich wyborów dyktowanych przez przeznaczenie.

Gdy 15 marca 1945 r. dowiedział się z gazet, że wydano nakaz jego aresztowania, wziął tabletkę nasenną i odkręcił gaz. ●

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn



• Václav Havel w grudniu 1989 roku,
kilka dni przed złożeniem przysięgi jako
prezydent Czechosłowacji

FOT. LUBOMIR KOTEK/AFP PHOTO

Havel

PREZYDENT W PIŻAMCE W PASKI

**Helena Łuczywo: Jeśli liczyć ważne dni mojego życia,
to ten na Hradczanach jest w pierwszej piątce.**

Berenika Steinberg

ANDRZEJ JAGODZIŃSKI: Najpierw odmówiłem: „Co wy, zwariowaliście? Ja poważne rzeczy robię, tłumaczę literaturę czeską, a gazeta to co? Dziś napiszę, jutro wszyscy wyrzucą i zapomną”. Ale pierwszy numer „Gazety Wyborczej” wyszedł 8 maja i 17 maja zadzwonił do mnie mój przyjaciel Wojtek Kamiński, który był szefem działu zagranicznego, i mówi: „Słuchaj, Havla zwolnili z więzienia, zrobisz z nim rozmowę”. I tak było – przyje-

chałem do redakcji i zrobiłem z Havlem rozmowę przez telefon. A przy okazji zobaczyłem urządzenia, o których wcześniej tylko słyszałem – jedno to telefon z nagrywaniem, drugie to dyktafon reporterski. A trzecie, to mi kazali usiąść przy komputerze i powiedzieli, że teraz mam ten wywiad spisać. „Ale jak spisać?”, pytam. „No po prostu, to jest jak maszyna do pisania, tu masz klawiaturę, tyle tylko, że jak skończysz, to przyciśniesz F ileś tam i zase-

wujesz”. Takie miałem szkolenie komputerowe, to był '89 rok.

Kiedy zaczęła się aksamitna rewolucja, przychodziłem do redakcji już prawie codziennie. Jeździłem też do Pragi, pisałem korespondencje – parę dni tu, parę tam. I chyba napisałem jakiś tekst o tym, że „Lidové Noviny” [patrz ramka] będą wychodzić oficjalnie. Wcześniej tę gazetę moi czescy koledzy i koleżanki z opozycji wydawali w podziemiu. Czy to było jak

„Tygodnik Mazowsze”? Może, chociaż w „Tygodniku Mazowsze” chodziło bardziej o niezależną informację, a w „Lidovych Novinach” były głównie teksty publicystyczne – śmialiśmy się potem, że to takie piękne eseje, a nie informacja. I kiedy okazało się, że mają wyjść z podziemia, Helenka mnie wezwwała i mówi: „Musimy im pomóc, opowiedzieć, jak się robi gazetę ogólnokrajową. Bo nam pomogło »Libération«”.

HELENA ŁUCZYWO: A to nie był pomysł Andrzeja? „Liberation” rzeczywiście nam niesamowicie pomogło, a w szczególności graficzka Dominique Roynette, z którą potem przez wiele lat współpracowaliśmy.

MAREK ZALEJSKI: Ja o tym pomyśle usłyszałem na pewno od Helenki. Zapytałem głupio, czy to rewanż za Zaolzie. Tomek [Tomasz Kuczborski – wraz z Markiem Zalejskim twórca pierwszej makiety „Gazety Wyborczej”] nie mógł jechać, więc padło na mnie.

A.J.: W każdym razie Helenka mówi: „Zadzwoń do nich, dogadaj się. Pojedziemy tam w dużym składzie, żeby to było reprezentatywne”.

M.Z.: Był plan, że jedzie delegacja: szefowa „Gazety Wyborczej”, jeden z głównych grafików, redaktor techniczny odpowiedzialny za proces drukarski, wybitny tłumacz, który pracował w dziale zagranicznym „Gazety” i znał Havla, oraz Piotrek Bikont, który był niezależnym dokumentalistą i miał kamerę szesnastkę.

A.J.: On wtedy kręcił jakiś film o Polsce w ’89 roku. Więc uznał, że nie da się zrobić filmu o Polsce bez Havla. Nie wiem, czy ten film w końcu powstał. Jeśli tak, to tam jest scena warta wszystkich pieniędzy. Dlatego że Piotrek sfilmował faceta parę godzin przed jego wyborem na prezydenta u niego w domu, w piżamie.

H.Ł.: Zdaje się, że pojechaliśmy w przeddzień albo dwa dni, zanim Havel został prezydentem.

M.Z.: Ale to był zupełny przypadek, bo z „Lidovymi Novinami” umawialiśmy się dużo wcześniej, na przełomie listopada i grudnia, jak jeszcze nic nie było wiadomo. W Czechosłowacji wszystko nastąpiło momentalnie. Co wtedy czułem? To było szczęście, myślałem: zaczęło się i nie przestanie, więc niech gdzie!

H.Ł.: Cała „jesień ludów”, która się zaczęła właściwie w dniu wyborów 4 czerwca, a więc jeszcze latem, była jak sen. Bo może wszyscy o tym marzyliśmy, ale nikt nie przypuszczał, że dożyjemy końca komunizmu. To, że te kolonie sowietkie, choć nikt nie używał wtedy tego słowa, te kraje bloku sowieckiego się wyzwoliły – to było fantastyczne. Piękny czas.

M.Z.: I pamiętam, że wszyscy martwili się o Rumunię, to był ostatni kraj.

H.Ł.: To było straszne, jedyna krwawa rewolucja w „jesieni ludów”. Zaraz, 25 grudnia zabili Ceausescu i jego żonę... Czyli myśmy jechali do Pragi tuż po tym.

27 GRUDNIA 1989

A.J.: Zawsze bardzo się staram, żeby zdążyć na czas, ale jednak często mi nie wychodzi. W każdym razie przyjechałem na lotnisko, jak oni już siedzieli w samolocie.

M.Z.: On się spóźnił? To samolot się spóźnił! Siedzieliśmy strasznie długo na starym Okęciu, pamiętam, że Piotrek Bikont miał do mnie pretensje, że dotykam jego kamerę. Choć rzeczywiście – nie przypominam sobie, żeby Andrzej wtedy z nami czekał.

A.J.: Przeleciałem przez bramki, pokazując paszport i legitymację „Gazety”, która wtedy robiła jednak piorunujące wrażenie. Helenka była na granicy zawału. Bo oni oczywiście nie wiedzieli, dokąd leca, gdzie śpią, z kim i o której mają się spotkać. Tylko ja to wiedziałem. Jakbym się spóźnił na ten samolot – a wtedy do Pragi leciał pewnie jeden dziennik – byłoby po ptokach. Kiedy wpadłem na pokład, to pierwszy i ostatni raz w życiu dostałem brawa.

M.Z.: Mieliśmy wystartować koło południa, ale przez opóźnienie dotarliśmy do Pragi wieczorem.

H.Ł.: Absolutnie nie pamiętam, gdzie my spaliliśmy. Pewnie w hotelu?

A.J.: Załatwiłem pokoje gościnne Instytutu Polskiego albo ambasady. Wydaje mi się, że to był jakiś taki kołchoz na blokowisku.

M.Z.: Z lotniska jechaliśmy tam tramwajem. Pamiętam upiorne, odrapane bloki za oknem i żarty: „Andrzej, gdzie ty nas wieszysz?”.

H.Ł.: Zimno było jak cholera. Możliwe, że miałam na sobie kozuch, w każdym razie byłam cała okutana.

A.J.: Mnie było gorąco, ja tam cały czas musiałem coś załatwiać. Proszę pamiętać, że nie było komórek ani laptopów.

M.Z.: Miałem ze sobą wielką skórzaną teczkę na ramię. Jechaliśmy na dwa dni, to co ja mogłem w niej mieć? Pewnie papierosy, ołówek, flamastry i już. Następnego dnia rano znowu wsiedliśmy w tramwaj i pojechaliśmy na Václavské Náměstí, najbardziej ekskluzywny plac w Pradze, do nowego lokalu „Lidovych Novin”.

28 GRUDNIA 1989

A.J.: Zajmowali piętro mieszczańskiej kamienicy z XIX wieku. W środku była prowizorka, do której my byliśmy przyzwyczajeni, w końcu żłobek [pierwszą siedzibą „Wyborczej” był budynek dawnego żłobka przy ul. Iwickiej w Warszawie] to też była prowizorka.

M.Z.: Walały się jakieś krzesła, maszyny do pisania, telefony, telefax. Wystarczy do robienia gazety.

H.Ł.: Przyjęli nas w obszernym pokoju, usiedliśmy przy długim stole. Za pośrednictwem Andrzeja jakoś nawiązaliśmy rozmowę.

A.J.: Szczерze mówiąc, niewiele z tego pamiętam, dlatego że ja też robiłem za tłumacza. A tłumaczenie na żywo polega na tym, że pracują dwie półkule mózgu, niezależnie od siebie, i słabo się później pamięta. Kto z nami rozmawiał? Myślę, że to była wierchuszka.

H.Ł.: I z tej rozmowy wynikało, że oni już wszystko wiedzą, co i jak chcą robić. I że to będzie bardziej jak magazyn publicystyczny, a nie dziennik z wiadomościami. Oni w ogóle nie myśleli jak my. Bo kiedy tylko zaczęło wyglądać na to, że „Gazeta Wyborcza” będzie wychodzić na stałe, wiedzieliśmy już, że musimy mieć dział sportu, program telewizyjny, takie rozmaite rzeczy, które normalnie były wtedy w dziennikach. Może kiedy jest czas rewolucyjny, ludzie chcą czytać artykuły wzywające do boju, ale na co dzień potrzebują normalnej gazety. Powiedzieliśmy parę zdań – że Marek jest grafikiem, że możemy pomóc. Ale oni wydawali się dosyć zajęci.

M.Z.: Ja to zapamiętałem jako takie wielkie święto. Że nie będą teraz zajmować się techniką robienia gazety, bo zaraz będą mieli prezydenta, to czas na świętowanie. Nie dzisiaj, nie dzisiaj – mówili.

A.J.: Przyjęli nas poważnie, z dużą atencją, nie to, że nas olali. „Gazeta” miała jednak parę miesięcy za sobą, o tym się pisało, mówiło. A oni dopiero zaczęli, choć oczywiście mieli za sobą stuletnią historię, czego my nie mieliśmy. Natomiast było widać, że im trochę przeszkadzamy. To się czuje w rozmowie. Nie wchodzili w detale, nie dopytywali się. Więc spotkanie skończyło się dosyć szybko. Ale Helena była bardzo zadaniowa – miała nauczyć Czechów robienia gazety. Okazało się, że to nie całkiem wyszło, w każdym razie nie mogła uznać tego za sukces. Więc mówi: „Słuchaj, Jagoda, ty dzwoń do Havla, bo trzeba zrobić z nim wywiad. Nie może być tak, że myśmy tu przyjechali na wycieczkę”.

H.Ł.: Możliwe, mogłam mieć taki pomysł. Zważywszy że to wszystko jednak kosztowało.

A.J.: „Dzwoń do Havla” – bardzo fajny pomysł, tylko że to nie jest tak hop-siup. Dzisiaj się bierze komórkę i się dzwoni, prawda? Staliśmy na ulicy, więc najpierw musiałem coś z nimi zrobić, a potem znaleźć telefon. Uznałem, że najlepiej będzie ich podholować i zostawić w siedzibie Forum Obywatelskiego – głównej siły napędowej aksamitnej rewolucji. Forum mieściło się na dole Václavského Náměstí, blisko stacji metra Mustek, w secesyjnej kamienicy, na którą się mówi Śpaliček [czyt. Szpaliczek]. Spora przestrzeń, gdzie ludzie się spotykali i gadali.

M.Z.: Coś takiego jak u nas kawiarnia Niespodzianka [w 1989 roku w byłej kawiarni Niespodzianka na placu Konstytucji w Warszawie mieścił się sztab wyborczy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”].

A.J.: Pomyślałem, że może akurat będzie tam Vašek Havel, a jak nie, to przynajmniej ich tam spokojnie zostawię – tam była jakaś kawiarenka, może kogoś znajomego spotkam, kto się nimi zajmie, w końcu nie byle jacy goście przyjechali. Z „Lidovych Novin” do Śpalička było bliźiutko, tyle co od Rynku Starego Miasta do placu Zamkowego. I rzeczywiście, spotkałem znajomych, a pierwszy, który się nawinał, to nieżyjący już Pavel Bergmann [historyk i filozof, sygnatariusz Karty 77, jeden z założycieli Forum Obywatelskiego]. Więc mówię mu: „Pavel, to przyjaciele z »Gazety Wyborczej«, tu jest zastępczyni Adama Michnika”. No to on się bardzo ucieszył. Powiedziałem, że szukam Vaška Havla. „Słuchaj – mówi Bergmann – Vašek dzisiaj żegna się z przyjaciółmi, bo on jutro, wiesz, prezydentem zostaje. Zaraz się dowiem, gdzie są”. Okazało się, że siedzą w knajpie, w salonku, już nie pamiętam nazwy, ale na drugim końcu Václavského Náměstí, jakiś kwadrans od Śpalička. Salonek to osobne, zamknięte pomieszczenie w czeskich knajpach, w którym można usiąść w kilkanaście osób. Jak tam dobiegłem, to kelner mi powiedział, że pan Havel przed chwilą wyjechał do domu. Już nie pytałem, czy ktoś jeszcze został. Jakbym kogoś znajomego spotkał, to jeszcze gorzej, bo przecież bym usiadł i gadał. Więc pędem z powrotem do Śpalička, w dół to szybciej, koło 10 minut, i mówię: „No niestety, Vašek już pojechał do domu”.

Vašek był bardzo sympatycznym, kulturalnym człowiekiem. Dziękował, mówił, żebyśmy pozdrowili Adama. I nagle ze środka mieszkania krzyczy Olga: „Vašku! Chodź spać!”

Andrzej Jagodziński

„Trudno – mówi Helenka – odpuszczamy”. Na co Bergmann: „Absolutnie! Jedziemy do niego!”. Pomyślałem, że to jakaś paranoja. Facet pojechał do domu odpocząć, już się wieczór zrobił, my wparujemy w parę osób – wywiad miała robić Helena, ja miałem tłumaczyć – a przecież on jutro ma dosyć istotny dzień. Przy czym z naszej grupy tylko ja go znałem, więc mnie było okropnie głupio. Ale Bergmann się zaangażował, złapał taksówkę. Nie dzwoniłśmy wcześniej do Havla, od razu wpakowaliśmy się do auta – Bergmann, Helena, Bikont i ja, bo chyba nikt więcej by się nie zmieścił.

M.Z.: Redaktor techniczny i ja zostaliśmy w Śpaličku. Chyba piłem jakieś piwo, pewnie czeskie.

A.J.: W taksówce siedzieliśmy ściśnięci, bo jeszcze ta wielka kamera Piotrka. Havel mieszkał w kamienicy, którą zbudował jego dziadek, nad samą Wełtawą. Dzisiaj ta ulica nazywa się Rašinovo Nábřeží, wtedy to było nabrzeże Engelsa. Dziadek Havla był wielkim przedsiębiorcą budowlanym, na Václavskim Náměstí zbudował secesyjny Pałac Lucerna – pierwszy żelbetowy budynek w Pradze, jeden z najpiękniejszych. Kiedy w 1948 komuniści przejęli władzę, ta kamienica na nabrzeżu Wełtawy została oczywiście upaństwowiona, ale w którymś momencie rodzinie Vaclava udało się odzyskać całe ostatnie piętro – dwa mieszkania połączone wspólnym hallem. Po lewej stronie mieszkał Vašek ze swoją pierwszą żoną Olgą, po prawej jego brat Ivan – filozof, specjalista od sztucznej inteligencji – z żoną Daszą. Weszliśmy po schodach, bo winda została dobudowana dopiero, jak Vašek był już prezydentem.

H.Ł.: Nie jestem pewna, czy wszyscy byliśmy trzeźwi. Ja byłam, bo nie bardzo piję, ale pamiętam strasznie wesoły nastrój i że to było bardzo przyjemne, że jest tak wesoło.

A.J.: Bergmann zaczął się dobijać do drzwi. W końcu otwiera nam jakiś facet, ktoś w rodzaju bodyguarda, Bergmann go odsuwa i mówi: „Wchodzimy!”. Weszliśmy do dużego hallu w mieszczańskim stylu, stały tam kanapy, stoliki. I poczułem ogromną satysfakcję, ponieważ na ścianie wisiało sześć oprawionych afiszy spektakli Havla z całego świata, między innymi dwóch sztuk w moim przekładzie – jednoaktówki z Teatru Powszechnego i sama „Audiencja”, którą wystawił Teatr 38 w Krakowie. Bergmann mówi: „Vašek,





FOT. SŁAWOMIR SIERZPUKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA

• Warszawa, 5 maja 1989 roku, kolegium redakcyjne w pierwszej siedzibie „Gazety Wyborczej” w dawnym żłobku na Iwickiej. O lewej: Adam Michnik, jego zastępcy — Ernest Skalski i Helena Łuczywo, szef działu opinie Tomasz Burski, szef działu zagranicznego Wojciech Kamiński. Tyłem Danuta Zagrodzka, dziennikarka działu gospodarczego



gdzie jest Vašek?”. „Chyba śpi” — mówi ten facet. Bergmann: „Obudzić!”. Facet gdzieś zniknął. A Bikont chodzi dookoła i filmuje całe pomieszczenie.

H.Ł.: Pamiętam, że staliśmy przy progu. Zwłaszcza ja, bo uważałam, że nie należy się tam w ogóle ładować, więc sobie po cichu stałam z tyłu.

A.J.: Nagle otwierają się drzwi wejściowe i wchodzi Ivan. Bergmann do niego: „Vaška trzeba obudzić!”. Na co Ivan: „Ja w ogóle nie wiem, gdzie jest Vašek, ja tu mieszkam po prawej stronie, cześć, trzymajcie się”. Nie mam pojęcia, ile czekaliśmy, na pewno dłuższą chwilę, choć mnie się wydawało, że całą wieczność. W końcu otwierają się jakieś drzwi i do hallu wchodzi Vašek.

H.Ł.: To było niesamowite. Był drobny i kruchy. Wydawało mi się, że jest niewiele wyższy ode mnie. Był w piżamce w paski, co to już nikt takich nie nosił. Pamiętam, że mój tata też miał taką. Wyglądał na nieprzytomnego, ale trudno mu się dziwić — nagle z wyrzutka społeczeństwa miał zostać prezydentem kraju.

A.J.: Już nic nie wspominamy o wywiadzie, ja tylko mówię: „Strasznie cię przepraszam, chcieliśmy cię tylko pozdrowić od Adama”. Jedyny zachwycony jest Piotrek Bikont, który cały czas filmuje.

H.Ł.: Jak wielu ludzi w Polsce uważałam Havla za bohatera. Bo był bohaterem. A na dodatek wspinałam pisarzem. No w ogóle superczłowiek! I troszkę to kolidowało z tą osobą w piżamie, patrzyłam na niego z mieszaniną podziwu i rozbawienia.

A.J.: Vašek był bardzo sympatycznym, kulturalnym człowiekiem. Dziękował, mówił, żebyśmy pozdrowili Adama. I nagle ze środka mieszkania krzyczy Olga: „Vašku! Chodź spać!”. On w ogóle źle spał, więc pewnie położył się wcześniej, żeby rano być przytomnym. To jednak były dla niego dosyć emocjonujące chwile. Zresztą długo się wahał, czy chce, żeby go wysunęli na kandydata. To był facet, który intensywnie zastanawiał się nad sobą, rozważał różne

alternatywy, więc niewątpliwie bił się z myślami cały czas. I choć nie dawał tego po sobie poznać, bo już się pewnie nauczył jakiejś odporności, ale był niesłuchanie wrażliwy i nieśmiały. Kiedy już wyszliśmy, to Helena mówi: „Co myśmy zrobili? Straszna poruta”.

H.Ł.: Bardzo prawdopodobne, jak siebie znam. Jak my mogliśmy temu wielkiemu człowiekowi zwracać głowę w takim momencie?

A.J.: I że trochę przesadziliśmy, wpychając się facetowi niemalże do sypialni.

Więc wymyśliła, że następnego dnia rano kupimy Vaškowi dziesięć róż i jeszcze zanim pojedzie do parlamentu, wręczymy mu te róże i go przeprosimy.

H.Ł.: Możliwe, nie pamiętam tego. I co, udało nam się?

29 GRUDNIA 1989

A.J.: Kupić dziesięć róż w Pradze w tamtym okresie nie było łatwo. Mimo że zerwaliśmy się o świcie. Vaška wybierali jakoś przed południem, więc musieliśmy zdążyć. W każdym razie trochę nam to zajęło. I kiedy w końcu dotarliśmy pod jego dom, zatrzymała nas policja, ponieważ właśnie w tym momencie wsiadał do limuzyny. Więc mu tylko pomachaliśmy na drogę. Weszliśmy jeszcze na górę zostawić w hallu te róże i karteczkę, na której napisaliśmy parę słów. Potem szybko na dół i do najbliższej przecznicy za róg, gdzie była knajpa. Bo, po pierwsze, byliśmy bez śniadania, a, po drugie, chcieliśmy zobaczyć transmisję z parlamentu.

M.Z.: W knajpie było już mnóstwo ludzi. Pili piwo, jedli białe kielbaski, pachniało spalenizną — coś, czego w Polsce w ogóle nie było.

A.J.: Na ścianie wisiał mały telewizor i właściwie, jak tylko usiedliśmy, Havel już stał i pozdrowiał jako prezydent.

M.Z.: Więc zjedliśmy te kielbaski i ruszyliśmy na Hradczany.

A.J.: Hradczany to cały zespół pałacowy, dawniej siedziba królów. Teraz prezydent ma tam swoją kancelarię. Wybory

odbywały się w Sali Władysławowskiej. Potem w katedrze odprawiona została msza Te Deum — wprowadzie Vašek nie był specjalnie religijny, jednak uznał, że po okresie komuny to powinno być. Z katedry Vašek przeszedł do pomieszczeń prezydenckich na trzecim dziedzińcu. Stamtąd na balkonie miał się pokazać krajowi i światu. Udało nam się dotrzeć tylko na pierwszy dziedziniec, dalej nie było jak — ludzie byli wszędzie, na trzecim, na drugim i na pierwszym dziedzińcu. A i tak mieliśmy szczęście, bo byliśmy na terenie Hradczan, reszta stała na placu Hradczanskim. Tłumy, tłumy! Myśmy wprowadzie Vaška nie widzieli, ale wszędzie było nagłośniecie. I powiem pani, że jak przemówił z tego balkonu... Niesłuchana chwila... Nasz przyjaciel został tutaj, w tym kraju, prezydentem! Popatrzyłem na Helenkę, na tę żelazną kobietę. Łzy jej leciały jak groch. Mnie też.

H.Ł.: Oczywiście. To był jeden z tych, wiesz, kluczowych dni życia. Przede wszystkim Czechosłowacji, ale również naszego, prawda? Jeśli liczyć ważne dni mojego życia, to ten na Hradczanach jest w pierwszej piątce. Wszędzie nieprzebrane tłumy i wszyscy byli szczęśliwi. Aha, i wszyscy coś pili.

M.Z.: Szampana! W życiu czegoś takiego nie widziałem — tłumy ludzi, wszyscy się cieszą i częstują nas tym pieniącym się sikiem. Pamiętam to gigantyczne szczęście. Co pomyślałem? Że szkoda, że on u nas nie jest prezydentem. I że robiłem mu okładki dla NOW-iej [Niezależna Oficyna Wydawnicza — pierwsze w Polsce wydawnictwo publikujące poza cenzurą, w drugim obiegu] i, wiesz, to strasznie przyjemne — robisz komuś okładki, a potem, proszę, on zostaje prezydentem. Daj spokój, w Polsce już w latach 70. to był ktoś, wielka postać!

H.Ł.: Szczerze mówiąc, jak teraz się skupiam, to wydaje mi się, że cały czas na tych Hradczanach miałam go przed oczami w tej piżamce. Bo w tym było coś tak czarującego i wzruszającego.

A.J.: Przemówienie Vaška Havla zakończyło całą uroczystość. A potem? Pewnie poszliśmy na piwo, jak znam życie. ●

„Lidové Noviny”

• Wychodziły nieprzerwanie od 1893 roku do likwidacji przez komunistów w 1952. W 1987 wznowiony przez czeskich opozycjonistów — m.in. Václava Havla — jako miesięcznik w drugim obiegu (samizdat). W grudniu 1989 roku, w czasie aksamitnej rewolucji, wyszedł już legalnie. Na pierwszej stronie ukazał się artykuł Havla pt. „Goodbye samizdat”. Od stycznia 1990 roku wychodziły oficjalnie — najpierw dwa razy w tygodniu, a od kwietnia 1990 codziennie. 31 sierpnia 2024 ukazał się ostatni papierowy numer. Dziś „Lidovky” są dostępne jedynie w internecie.

Václav Havel

• Czeski dramaturg, eseista, dysydent. W 1968 roku podczas Praskiej Wiosny zaangażowany w demokratyczne zmiany w Czechosłowacji. Po inwazji wojsk Układu Warszawskiego otrzymał zakaz publikowania; teatry nie mogły wystawiać jego sztuk. Był pomysłodawcą i jednym z rzeczników Karty 77 — inicjatywy obywatelskiej broniącej praw człowieka w komunistycznej Czechosłowacji. Od 1977 w aresztach i więzieniu spędził prawie pięć lat. W styczniu 1989 został aresztowany za złożenie kwiatów w miejscu samospalenia Jana Palacha na Václavském náměstí w 20. rocznicę tego wydarzenia. Został zwolniony po pięciu miesiącach. W piątek 17 listopada wybuchła aksamitna rewolucja, dwa dni później z inicjatywy Havla powstało Forum Obywatelskie skupiające opozycjonistów z różnych środowisk. Rząd rozpoczął z nimi negocjacje. 10 grudnia prezydent Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej Gustáv Husák zaakceptował nowy rząd porozumienia narodowego — z siedmioma przedstawicielami opozycji — po czym zrezygnował z urzędu. Tego samego dnia FO wysunęło na jego miejsce swojego kandydata — Václava Havla. 29 grudnia 1989 parlament jednogłośnie wybrał go na prezydenta. Pełnił tę funkcję przez dwie kadencje — najpierw jako prezydent Czechosłowacji, potem Czech. Zmarł w 2011 roku.

Okruchy historii

Religia Dugina

Misją, naturą i przeznaczeniem Rosji jest rozszerzanie swojego terytorium.

Motyka



Jeszcze w latach 90. wpadła mi w ręce książka Aleksandra Dugina „Podstawy geopolityki”. Przeczytałem ją zachęcony notką, że to lektura zalecana studentom Akademii Wojennej Sztabu Generalnego Federacji Rosyjskiej. Dziś Dugina przedstawia się jako piewę odbudowy imperium. Ale uważne przeczytanie jego pracy pozwoliło mi zrozumieć, że jest on kimś więcej: prorokiem nowej „naukowej” para-religii.

W końcu XX wieku Rosjanie stracili ostatecznie wiarę w marksizm-leninizm, a do prawosławia dopiero zaczęli powracać. Powstała pustka duchową postanowił zapewnić im Dugin, wówczas skromny filozof. W skrzępcę się od erudycji i uczonego wywodu książkę przedstawił wizję Rosji, jako państwa, które z racji geografii skazane jest na wielkość.

Jego zdaniem istnieją obiektywne prawa geografii i polityki, które

przesądają, iż ten, kto włada „sercem ziemi” (Heartland), czyli centrum obszaru Eurazji, w sposób naturalny ulega tendencji do przejmowania kontroli nad „ziemiami przybrzeżnymi”. Kres tej zdeterminowanej geografii ekspansji wyznacza dopiero okalające oba kontynenty oceany i morza.

Nie trzeba spoglądać na mapę, by zrozumieć, że Heartland zajmuje Rosja, która tym samym stanowi Geograficzną Oś Historii. Misją, naturą i przeznaczeniem Rosji jest zatem rozszerzanie swojego terytorium. Ekspansja odbywała się kiedyś pod hasłem obrony i jednoczenia prawosławia (idea „Trzeciego Rzymu”), a później światowej rewolucji komunistycznej, której zwycięstwo miało być koniecznością historyczną. Tymczasem prawdziwym wytłumaczeniem i usprawiedliwieniem dla podboju kolejnych ziem powinny być prawa geografii, rzekomo obiektywne i naukowe.

Sprzeciwianie się geograficznemu przeznaczeniu jest zdradą narodową, oznacza bowiem w konsekwencji wcześniej lub później utratę uprzywilejowanej pozycji na rzecz kogoś innego.

Jednostka powinna bez zastrzeżeń podporządkować się państwu. Czytamy: „samoidentyfikacja pojedynczego człowieka jest rzeczą drugorzędną”,

Rosjanie powinni być „w pierwszej kolejności prawosławnymi, w drugiej – Rosjanami i dopiero w trzeciej ludźmi”.

Dalej Dugin nakreślił bardziej szczegółowe plany ekspansji. Istnienie Ukrainy zagraża bezpieczeństwu Rosji, wymaga więc natychmiastowej reakcji, która uczyni z niej część Imperium Euroazjatyckiego. Po Ukrainie należy pozbyć się niepotrzebnego kordonu sanitarnego wokół Rosji, złożonego z „małych, rozszoszczonych, historycznie nieodpowiedzialnych narodów i państw z maniakalnymi pretensjami i serwilistyczną zależnością od [...] Zachodu”.

By nie było wątpliwości: Dugin ma tu na myśli również Polskę, której niepodległy byt nie leży w interesie Rosji, bo „takie są prawa geografii sakralnej i geopolityki”.

Rosyjski filozof nie proponuje jednak wcielenia do Rosji wszystkich państw Eurazji, raczej chce z nich wszystkich uczynić odpowiednik demoludów powstałych po wojnie w Europie Środkowej. W Eurazji powinna powstać konfederacja małych imperiów podległych centrum w Moskwie, zjednoczonych niechęcią do USA. Wszystkie narody będą mogły swobodnie się rozwijać kulturowo, ale kluczowe stanowiska w strukturach administracyjnych powinni objąć Rosjanie.

Z łaski Moskwy status stolic małych imperiów miałyby otrzymać Berlin, Teheran i Tokio, zwabione różnymi koncesjami w tym ustępstwami terytorialnymi. W zamian za zgodę na podległość Niemcy na przykład powinny otrzymać ziemie odtworzonych Prus Wschodnich.

Filozofia Dugina dała Rosjanom znakomity argument do odrzucenia wszelkich prób rozliczenia się z imperialną tradycją. Zwolniła ich też z poczucia winy za agresywną politykę Rosji.

Bo przecież napadając na Ukrainę, wypełniają oni jedynie naturalne prawo geografii, a nikt przecież nie będzie żądał przeprosin od wybuchającego wulkanu, czy wezbranej rzeki.

Temu sposobowi myślenia uległa Aleksandra Radlak, tłumaczka polskiego wydania „Podstaw geopolityki” (Warszawa 2019). Jej zdaniem, Dugin bynajmniej nie nawoływał do agresji Rosji na Ukrainę, lecz tylko stawiał „bezbłędne prognozy”, w oparciu o „staranne śledzenie logiki wielkich przestrzeni” i rozpoznanie „nieuchronności procesów geopolitycznych”. Cóż, oddanie Polski ZSRS w 1945 roku tłumaczono beزالternatywną koniecznością historyczną... ●

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

Historia krzepi

Wieniec i powróż

W opinii historyków rok 1924 należał do najbardziej udanych w dziejach II RP.

Natęcz



Prawdziwym majstersztykiem okazały się reformy premiera Władysława Grabskiego. Uzdrowiły tonącą w hiperinflacji walutę i bliską krachowi gospodarkę, położyły fundamenty pod normalne funkcjonowanie finansów publicznych. Dokonano tego własnymi siłami, bez znaczących kredytów zagranicznych, co było możliwe dzięki obarczeniu kosztami reformy wszystkich grup społecznych, stosownie do poziomu zamożności.

Bez przesady można powiedzieć, że ten wysiłek ocalił młodą państwowość w stopniu nie mniejszym niż zwycięska wojna z Sowiecką Rosją. Kraj w stanie finansowego i gospodarczego chaosu szybko padłby ofiarą niemieckiej i sowieckiej zaborczości.

Reformom towarzyszyły ogromne trudności. W 1924 Polskę dotknęła katastrofalna powódź, a także klęska

nieurodzaju. Zbiory obniżyły się o 18 proc., w tym plony zbóż aż o 33,4 proc. W kraju eksportującym żywność teraz trzeba było ją importować, co zaciężyło na bilansie handlowym i równowadze budżetowej. Gwałtownie, bo o 30-40 proc., spadły światowe ceny węgla, drewna i cukru, będących podstawą polskiego eksportu. Wybuchła fala strajków. Największy, w lipcu 1924, spalił Górny Śląsk. Burzyła się wieś, zwłaszcza przeciw rygorystycznemu ściąganiu podatków, potrzebnych do pokrycia wydatków państwowych.

Sytuacja zmusiła premiera Grabskiego do skomplikowanej gry politycznej. Jego rząd zawdzięczał istnienie poparciu prawicy i centrum. Większość chwiała się jednak. W konsekwencji Grabski, aby dostosować się do zmian w sejmie, wielokrotnie rekonstruował rząd, przydając mu na przemian prawicowości bądź lewicowości. W ciągu dwóch lat istnienia gabinetu przetrwało ledwie dwóch ministrów, a niektóre teki wielokrotnie przechodziły z rąk do rąk.

Najgroźniejszy z takich kryzysów wybuchł w końcu roku 1924. „Od pewnego czasu – notował marszałek sejmowi Maciej Rataj – napływają anonimowe wyrzutami na Grabskiego i obelgami. W Polsce łatwo wieniec triumfalny ściągają ludziom z głowy i zaciska-

ją na szyi jak powróż! Ostrzegałem tyłko Grabskiego, by nie robił z siebie cudotwórcy i przygotowywał społeczeństwo na trudności, które nie są przewidywane. Wolął uchodzić za tego, który za jednym zamachem zbawił Polskę. Niestety!”

Sytuacja była niebezpieczna, bo premier naraził się dwóm największym graczom: popierającej dotąd Narodowej Demokracji oraz od początku niechętnym mu pilsudczykom. W końcu 1924 roku jeden z endeckich liderów Juliusz Zdanowski, zapisał w diariuszu: „Kości upadły, choć nie zostały rzucone. Grabski u nas nie kupi nikogo. Z ministrów zrobił niemych i uległych wykonawców. Prezydent na niego przysięga i jest mu zupełnie po woli. Ma zaś Grabski naturę niesłychanie dyktatorską”.

Kryła się za tą krytyką nadzieja endecji na przejęcie władzy. Uskrzydlił te oczekiwania wynik wyborów w Wielkiej Brytanii, gdzie 29 października 1924 konserwatyści pokonali rządzących wcześniej laburzystów.

Wilcze doły kopali pod Grabskim też pilsudczycy. Świadczyła o tym najlepiej notatka Rataja z 4 stycznia 1925, relacjonująca jego rozmowę z ministrem spraw zagranicznych Aleksandrem Skrzyńskim: „Opowiadał mi pan Skrzyński o wizycie, którą mu zło-

żył przed kilku dniami Pilsudski. Odgrażał się Pilsudski, że weźmie się do roboty politycznej i do następnego sejmku wprowadzi 300 swoich posłów, wystawiwszy do wyborów »program negatywny«. Na czym polega ten program? »Bić k...y i złodziei!«. Pan Skrzyński ręczył za autentyczność”.

Grabskiemu jednak przetrwał, urzędował jeszcze blisko rok. Przesał o tym jego kunszt polityczny oraz mocniejsze niż urazy przekonanie posłów, że zastąpić go niepodobna, bez ryzyka podważenia reform, które przeprowadził.

Kiedy dzisiaj wraca się myślą do sytuacji sprzed stu lat, widać podobieństwa z naszymi czasami. Jakże łatwo jesteśmy gotowi ściągać politykowi ratującemu kraj wieniec triumfalny i zamieniać go w powróż na jego szyi. Osoby tak postępujące winny pamiętać, że ta narodowa przywara zadusiła przed stu laty Grabskiego, co szybko zemściło się zwłaszcza na jego endeckich przeciwnikach, uruchamiając fatalny dla nich scenariusz polityczny zakończony sukcesem zamachu majowego. ●

Tomasz Natęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

• Rekonstrukcja walk drużyn wojów podczas festynu archeologicznego zorganizowanego w muzeum w Biskupinie w 2013 roku

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



O POCHODZENIU POLAKÓW

Niemieccy badacze twierdzili, że Słowianie to tak naprawdę Germanie.
Polscy naukowcy sprawdzili tę hipotezę, badając DNA naszych praprzodków.

Z PROF. **MARKIEM FIGLEROWICZEM**
ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

PIOTR GŁUCHOWSKI: Badając DNA zawarte w ludzkich kościach spoczywających na starożytnych cmentarzyskach, ustalił pan wraz z zespołem pochodzenie osób tworzących państwo Piastów. A zatem: skąd się wzięli?

PROF. MAREK FIGLEROWICZ: Nie tak szybko! Zaczniemy od tego, że rodzaj *Homo* istnieje od około 2,5 mln lat. Przez ten czas powstawały i wymierały liczne gatunki należące do tego rodzaju – *Homo habilis* (człowiek zręczny), *Homo erectus* (człowiek wyprostowany) i tak dalej. Wszystkie z wyjątkiem *Homo sapiens*, który powstał zaledwie 300 tys. lat temu i żyje do dzisiaj. Pierwsze narzędzia nasi przodkowie stworzyli ponad 2 mln lat temu, pierwsza

komunikacja słowna zaistniała przed milionem lat. W tym czasie wszyscy ludzie byli łowcami-zbieraczami: żywili się nasionami, korzonkami, owocami, padliną, zdarzało się im coś upolować; przypuszczamy, że dochodziło także do kanibalizmu. Opanowali ogień. I dopiero pod koniec tej długiej, liczonej w milionach lat historii, bardzo niedawno, bo jakieś 10 tys. lat temu, zaczęło się rolnictwo – a wraz z nim cywilizacja, którą znamy: osady, miasta, umocnienia, drogi... to są ostatnie sekundy w życiu rodzaju *Homo*.

Mówię o tym dlatego, byśmy zrozumieli, że każda istota na Ziemi ma swoją historię biologiczno-ewolucyjną, a człowiek jest unikatowym gatunkiem, który dodał do niej jeszcze historię mówioną. Z niej powstała historia klasyczna: opowieść, jaką sami o sobie tworzymy.

Co ta opowieść mówi o etnogenezie Słowian?

– W starożytności, gdzieś około V wieku p.n.e., pojawiły się w basenie Morza Śródziemnego zapiski, wedle których w Europie Centralnej i Wschodniej żyją jacyś Scytowie oracze, Neurowie i Budynowie. Około przełomu er starożytni autorzy, w tym Tacyt i Pliniusz Starszy, pisali, że na wschód od Germanów, nad Oceanem Północnym, czyli nad Bałtykiem, zamieszkują Wenedzi. Inni autorzy pism z tamtego czasu używają określeń Antowie i Sclavoni – możemy przypuszczać, że nazwy te usłyszeli od Germanów.

Prawdziwość tych informacji najlepiej zobrazować na przykładzie mało eleganckiego, lecz powszechnie stosowanego określenia „Murzyn”. W Afryce nie znano tego słowa – stworzyli je przybysze z Eu-

ropy. Tak jak wszędzie, mieszkańcy Afryki tworzyli państwa, plemiona, szczepy, które miały swoją historię, tradycję, swoje nazwy własne, ale dla białych przybyszów to była jedna masa: Murzyni.

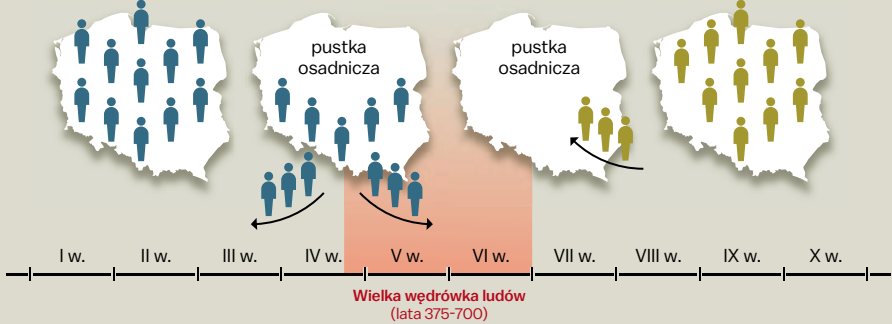
Jeszcze lepszym przykładem jest słowo „Indianie”.

– No właśnie. Indianie – bo biali myśleli, że są w Indiach, choć byli w Ameryce. Zapewne w taki sam sposób starożytni nazywali nieznane im ludy żyjące na terenie centralnej i wschodniej Europy. Można zatem powiedzieć, że patrząc z zewnątrz, notowali jedynie swoje wyobrażenia o nieznanym im społeczeństwach. Potem nadeszło chrześcijaństwo i wiara, że wszyscy pochodzimy od Noego. Bo tylko on wraz z rodziną uratowali się z Potopu, więc ludzkość to jego dzieci. Nestor, mnich kijowski z XII

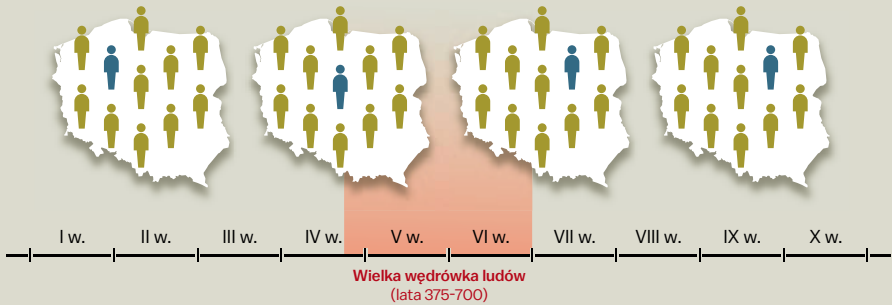
Hipotezy dotyczące pochodzenia ludności zamieszkującej na terenie współczesnej Polski

plemiona germańskie plemiona słowiańskie

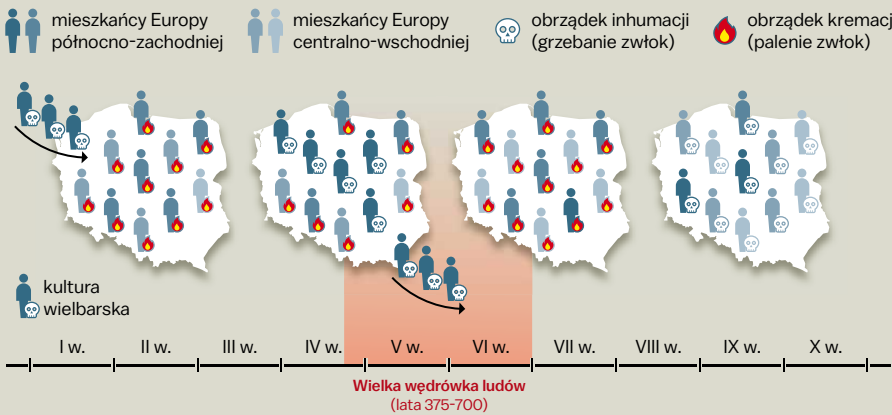
Hipoteza allochtoniczna zakładająca brak ciągłości genetycznej



Hipoteza autochtoniczna zakładająca ciągłość genetyczną



Hipoteza oparta na wynikach badań genomicznych



ŹRÓDŁO: MAREK FIGLEROWICZ „DYNASTIA I SPOŁECZEŃSTWO PAŃSTWA PIASTÓW W ŚWIELE ZINTEGROWANYCH BADAŃ HISTORYCZNYCH, ANTHROPOLOGICZNYCH ORAZ GENOMICZNYCH”
© GAZETA WYBORCZA

wieku, a po nim polski kronikarz Wincenty Kadłubek uznali, że Słowianie, których już wówczas postrzegano jako grupę odrębną od Greków, Żydów czy Germanów, pochodzą od Jafeta – przodka ludów Północy. Chodziło o pokazanie, że ludzie żyjący między Wartą a Dnieprem też mają biblijne korzenie, zajmując należne im miejsce w świecie.

W stworzonym obrazie pojawił się jednak problem: jak historycznie wytłumaczyć skrajne nierówności między szlachcicem a chłopem? Marcin Bielski, poeta i historyk żyjący w XVI wieku, zaproponował rozwiązanie: genezę szlachty wywiódł od półmitycznych Sarmatów, o których pisali Herodot, Hipokrates i Strabon. Według Bielskiego Sarmaci wojownicy podbili miejscową ludność rolniczą, a ich potomkami są polscy i litewscy herbowni.

Następnie przyszła rewolucja francuska i ludzie przestali wierzyć, że władza pochodzi od Boga, że każdy musi być czymś poddany. Zamiast spoiwa w postaci króla pomazańca trzeba było wymyślić coś innego. Tak powstała koncepcja narodu, volk.

Wymyślił ją Johann Herder w Królewcu, a podchwycili inni filozofowie. No i zaczął się dyskurs trwający od 200 lat: czy Słowianie to naród? Może grupa etniczna? A może populacja złączona wspólną historią?

Gustaf Kossinna, niemiecki archeolog z przełomu XIX i XX wieku, zakładał, że zasięg kultury pokrywa się z grupą etniczną. Czyli jednolita kultura to etnos. On sam i przeważająca większość niemieckich historyków twierdził, że na ziemiach byłej Korony Polskiej „od zawsze” żyli Germanie, którzy gdzieś około IV-V wieku po Chrystusie ruszyli na południe, w miejscu pozostałej zaś po nich pustki osadniczej zjawili się nadciągający ze wschodu Słowianie. Jest to tak zwana hipoteza allochtoniczna pochodzenia Słowian.

Tymczasem naukowcy polscy – jak Kazimierz Godłowski czy Michał Parczewski – stworzyli alternatywną hipotezę, wedle której Słowianie byli tu przed Germanami. Zebrane przez nas dane wskazują, że obie tezy są błędne.

A jaka jest prawda?

– Pierwsze sygnały archeologiczne o istnieniu Słowian pojawiają się około VI wieku naszej ery. Wcześniej, to jest w pierwszych wiekach po Chrystusie, w Europie Centralnej kwitła gospodarka związana z rozwojem plemion germańskich. Nagle w VI wieku dochodzi do jej załamania. Zamiast naczyń produkowanych na kole garncarskim zaczęto używać garnków ręcznie lepionych. Domy ustąpiły miejsca prymitywnym jamom mieszkalnym – półziemiankom. Znikły wyroby żelazne, miecze, ozdoby... Pojawili się natomiast pierwsi Słowianie – ludzie połączeni kulturą i językiem. Co ciekawe, pojawiają się oni jednocześnie i na obszarze współczesnej

Ukrainy, i Chorwacji, i Polski – nie wiadomo skąd. W VI wieku nagle wszędzie ich pełno.

Zadanie, które stało przede mną i moim zespołem, sprowadzało się więc do weryfikacji hipotez – allo- i autochtonicznej. Pozornie to proste przedsięwzięcie – porównajmy geny żyjących nad Wisłą 2 tys. i 1 tys. lat temu. Jeżeli są takie same – prawdziwa jest hipoteza auto-, jeżeli nie – wówczas allochtoniczna.

Niestety, nie jest to takie łatwe, gdyż począwszy od połowy drugiego tysiąclecia p.n.e., aż do nastania chrześcijaństwa we wczesnym średniowieczu, mieszkańcy interesujących nas ziem palili swoich zmarłych. Nie mamy więc próbek kości, z których można wyizolować DNA. Jeśli nawet znajdzie się jakiś pojedynczy szkielet, to nadal nie wiemy, czy jest on reprezentatywny dla danego obszaru. Równie dobrze mógł to być imigrant, kupiec, podróżny... Na szczęście pojawiła się kiedyś kultura wielbarska.

Za encyklopedią: gocko-gepidzka kultura rozwijająca się między I a V wiekiem na terenach obecnej północnej i wschodniej Polski oraz zachodniej Ukrainy. Nazwa pochodzi od stanowiska w Wielbarku, obecnie dzielnicy Malborka.

– Germanicy nosiciele kultury wielbarskiej gdzieś między I a II wiekiem naszej ery weszli od północy na teren obecnej Polski. I co dla nas ważne: nie palili się, tylko grzebali. Mamy więc ich geny i widzimy, że są podobne do starożytnych społeczeństw dzisiejszej Danii, Norwegii, Szwecji, Anglii, Szkocji. Wpadliśmy na taki pomysł: skoro przez kilka wieków wędrowali wzdłuż Wisły i Bugu aż po Morze Czarne, to chyba krzyżowali się z tutejszą ludnością? Możemy więc znaleźć w ich genomach geny ludzi tutejszych.

Przebadaliśmy 27 cmentarzysk, w tym pięć kultury wielbarskiej i 22 średniowieczne z okresu tworzenia państwa Piastów. Pobraliśmy ponad sto „wielbarskich” próbek z okresu rzymskiego i porównaliśmy z ponad 300 próbkami „średniowiecznymi”.

Co się okazało?

– Jeżeli brać pod uwagę tylko niewielki fragment genomu przekazywany w linii męskiej, czyli chromosom Y, widzimy dużą różnicę, jeżeli natomiast spojrzymy na mitochondrialny DNA przekazywany w linii żeńskiej (ten małe fragment genomu zawsze dziedziczymy po matce) – różnic prawie nie ma. To znaczy, że migrantami byli prawdopodobnie wyłącznie mężczyźni, którzy mieszały się ze spotkanymi pod drodze kobietami.

Skoro przyszli sami panowie, to już po pierwszej krzyżówce z autochtonkami ich dzieci miały 50 proc. genów lokalnych, w kolejnym pokoleniu 75 proc. i tak dalej. Geny imigrantów stopniowo się rozcieńczyły, a jedyne, co pozostawało, to dziedziczony z ojca na syna chromosom Y – przyniesiony z Północy. „Wielbarscy” tworzyli grupy, w ramach których nie dopuszczali miejscowych mężczyzn do reprodukcji, co niekoniecznie oznaczało podbój. Obok „wielbarskich” żyła bowiem wciąż na terenach współczesnej Polski także ludność lokalna, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, którzy nie mieszały się z przybyszami z Północy.

Czyli już wiemy, że północni przybysze mieszały się z lokalnymi paniami...

– ...co bardzo nas ucieszyło, inaczej byłby kłops. Teraz pozostało porównać średniowieczne cmentarze z tymi z wielbarskimi. I mamy wyniki: średniowiecznym przedstawicielom państwa Piastów najbliższą jest do populacji wielbarskich powstałych przez zmieszanie lokalnych kobiet z imigrantami z Północy.

W drugiej kolejności średniowiecznym populacjom najbliższą do Szwedów, Duńczyków, Norwegów. Inaczej mówiąc, żyjące na terenie współczesnej Polski lokalne społeczeństwo z okresu rzymskiego (nie imigranci) ma prawie te same geny, jak „piastowska” populacja okresu średniowiecz-

na. Co więcej, obie populacje – i ta z okresu rzymskiego, i ze średniowiecza – są blisko spokrewnione z ludami północnymi.

Czyli już za Konstantyna Wielkiego byliśmy tu, gdzie jesteśmy. Z tego wychodzi, że bliższa prawdy jest teza autochtoniczna.

– Nie do końca. Zakładała ona, że żyli tu Prasłowianie, istotnie różniący się pod względem genetycznym od plemion germańskich. Tymczasem nasi przodkowie mieli podobne pochodzenie genetyczne jak Duńczycy, Szwedzi, Norwegowie... Równocześnie wbrew hipotezie allochtonicznej po IV wieku n.e. nie musiało dojść do migracji ze Wschodu, by ukształtowało się społeczeństwo państwa Piastów. Genetycznie bliżej nam było wówczas do Skandynawów niż na przykład do pradawnych mieszkańców Rosji, z którymi biologicznie mieliśmy tyle wspólnego, co z ówczesnymi mieszkańcami Półwyspu Iberyjskiego.

Innymi słowy: słowiańskość to twór kulturowy, pod względem biologicznym podobni byliśmy do ludzi z północnej Europy. Od Germanów odróżniła i oddzieliła Słowian przede wszystkim kultura: rodzaje garnków, pochówków, ozdób i tym podobne. Natomiast geny mieliśmy takie jak północni Niemcy, a nie jak Chorwaci.

Jeżeli dobrze zrozumiałem: w starożytności żyli nad Wisłą ludzie biologicznie podobni do tych mieszkających nad Łabą oraz Renem i oni w VI wieku stworzyli osobną kulturę...

– ...którą dopiero ponad 1 tys. lat później nazwano „słowiańską”. Dlatego, mówiąc o ludziach żyjących w średniowieczu na terenie Polski, wolę posługiwać się określeniem „społeczeństwo państwa Piastów”. Myślę, że ono najlepiej opisuje populację, której spoiwem były wspólne dzieje. A wiele wskazuje na to, że była to historia bardzo trudna. Już kilka lat temu na łamach „Nature” ukazała się praca, z której wynika, że w latach 536-550 n.e. w różnych częściach świata nastąpiły potężne erupcje wulkaniczne. Przez dwa lata w Europie nie było widać Słońca. Katastrofa ekologiczna związana z gwałtownym obniżeniem temperatury wygnała ludzi na Południe, część z nich w ogóle wymarła. W Bizancjum mieliśmy wówczas „dżumę Justyniana”. Zapasć widać też w Ameryce Południowej. Na północy Europy upadła kwitnąca gospodarka Germanów, ich rzesze ruszyły ku południu.

Niezwykle trafna może się zatem okazać opinia sformułowana niedawno przez profesora Przemysława Urbańczyka – uważa on, że geneza słowiańszczyzny to wspólny ciężki los ludzi, którzy mimo przeciwności zdecydowali się zostać i przetrwać w miejscu urodzenia. ●

Prof. Marek Figlerowicz

• Inżynier chemik, biolog, w latach 2011-23 dyrektor Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN, w którym kieruje Zakładem Biologii Molekularnej i Systemowej

Projekt badawczy pt. „Dynastia i społeczeństwo państwa Piastów w świetle zintegrowanych badań historycznych, antropologicznych oraz genomicznych” pod kierunkiem Marka Figlerowicza w części genomicznej realizowali: Luiza Handschuh (sekwencjonowanie DNA), Małgorzata Marcinkowska-Swojak (izolacja DNA i przygotowywanie do sekwencjonowania), Michał Żerćzak (bioinformatyka, analizy haplogrup chromosomu Y), Ireneusz Stolarek (bioinformatyka, modelowanie populacji). W projekcie udział wzięły także zespoły spoza Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN: Zespół Antropologiczno-Genetyczny Wydziału Biologii UAM pod kierownictwem Janusza Piątka oraz Zespół Archeologiczno-Historyczny Wydziału Archeologii UAM pod kierownictwem Hanny Kóčka-Krenz. Pracę sfinansowało Narodowe Centrum Nauki.

Arctowski

NIE TYLKO POLARNIK

Był posępny, poważny, zdystansowany, humorzasty. Studenci mówili o nim „lodowy dziad”, ale go szanowali.

• Henryk Arctowski jako pracownik Smithsonian Institution w Waszyngtonie. Zdjęcie z 1940 roku FOT. LIBRARY OF CONGRESS'S

Z **KATARZYNĄ DĄBKOWSKĄ**
I **DAGMARĄ BOŻEK**, AUTORKAMI KSIĄŻKI
„HENRYK ARCTOWSKI. W ŚWIECIE MYŚLI”,
ROZMAWIA **MARTA GRZYWACZ**

MARTA GRZYWACZ: Skąd fascynacja Henrykiem Arctowskim?

KATARZYNA DĄBKOWSKA: Odkąd pamiętam, interesowałam się rejonami polarnymi. Na studiach na reżyserii filmowej w Katowicach mój pierwszy dokument opowiadał o polarnikach ze Śląska, którzy regularnie odwiedzają Polską Stację Polarą Hornsund na Spitsbergenie i przeżywają gorączkę polarną. Potem robiłam film o samobójstwach Inuitów na północy Kanady i wreszcie zaczęłam szukać tematów filmowych, które wiązałyby się z Polską Stacją Antarktyczną im. Henryka Arctowskiego położoną na Wyspie Króla Jerzego w archipelagu Szetlandów Południowych. Jednocześnie Dagmara szukała bohaterek do swojej książki „Polarniczki. Zdobywczyńce podbiegunowego świata” i tak się poznałyśmy. Już na pierwszym spotkaniu narodził się pomysł napisania wspólnie biografii Henryka Arctowskiego.

A co to jest gorączka polarna?

K.D.: To jest zwrot używany przez samych polarników, a dotyczy zespołu zachowań, które obserwują u siebie ludzie odwiedzający rejony polarne. Fascynacja krajobrazem jest tak ogromna, tak głęboko dotyka wrażliwości, że zostaje w człowieku na długo i potrzeba powrotu staje się bardzo silna. Tęsknota do tamtych miejsc, do przyrody, przestrzeni, przypomina trochę uzależnienie.

DAGMARA BOŻEK: To jest potrzeba spotkania się z czymś metafizycznym, czego w naszej codzienności nie doświadczamy. Miałam przyjemność dwa razy zimować,

czyli spędzić cały rok, w polskich stacjach polarnych, na Spitsbergenie w Arktyce oraz na Wyspie Króla Jerzego w Antarktyce Zachodniej. Byłam pracownikiem administracyjnym i asystentką terenową, prowadziłam również działania popularnonaukowe. Kiedy przyjeżdżałam do domu, chciałam natychmiast wracać.

W sumie okres gorączki polarnej w moim życiu trwał pięć lat. To był stan zawieszenia w czasoprzestrzeni. Fizycznie wróciłam do Polski, ale faktycznie mnie tu nie było. Nie robiłam planów, nie podejmowałam długofalowych działań, bo wiedziałam, że jeśli tylko pojawi się okazja, to rzucę wszystko i wyjadę na stację. W końcu, gdy ta możliwość się pojawiła, zrezygnowałam. Ze względów osobistych uznałam, że tak będzie lepiej. Ale kto wie, czy pisanie książki o tematyce polarnej, czym obecnie się zajmuję, nie jest przedłużeniem tej gorączki w formie mniej inwazyjnej.

A wydawałoby się, że chłód, ciemność i bezustanny kontakt z niedużą grupą ludzi w zamkniętej przestrzeni mają raczej efekt odstrasżający.

D.B.: I dla większości ludzi tak jest. Izolacja, niewielka liczba bodźców, organizm, który w warunkach nocy polarnej zaczyna zupełnie inaczej funkcjonować, to są wyzwania dla naszej psychiki. Kuźnia charakterów. Ja należę szczęśliwie do tych, którzy dobrze zniesli warunki polarne. Psychologia nazywa to efektem salutogenetycznym – chodzi o pozytywny wpływ przyrody na postrzeganie świata. Rozbudzona zostaje nasza wrażliwość, mocniej odbieramy wrażenia estetyczne. Druga kwestia to cisza. Brak bodźców dźwiękowych powoduje, że nagle zaczynamy zauważać rzeczy, które wcześniej nam umykały, bo byliśmy w ciągłym pędzie. To za tą ciszą się tęskni. Inna sprawa, że aby przebywać w takich warunkach,

często w samotności, trzeba być pogodzoneym ze sobą i światem.

Henryk Arctowski doświadczył gorączki polarnej?

K.D.: Na pewno, jako jeden z pierwszych, doświadczył zimowania w Antarktyce. Takie zresztą było założenie międzynarodowej Belgijskiej Wyprawy Antarktycznej w latach 1897-99. Grupa naukowców na statku „Belgica” miała przeprowadzić całoroczne badania geologiczne, biologiczne, oceanograficzne, geodezyjne i meteorologiczne. Uczestnicy wyprawy nie przewidywali jednak, że ich statek utknie w lodach Antarktyki, że oprócz nocy polarnej i uczucia izolacji będą się zmagać z lękiem o życie. Zarówno próby przetrwania, jak i wydostania się z okowów lodu były heroiczne. Dwie osoby zmarły, inne cierpiały na zaburzenia psychiczne. Mimo wszystko, po powrocie do Europy, Henryk chciał zorganizować nową wyprawę do Antarktyki, automobilem, wciąż w przekonaniu, że ten kontynent trzeba badać, zbudować tam sieć stacji naukowych i wysyłać kolejne wyprawy.

D.B.: Z relacji Henryka wynika, że czuł się dobrze w laboratoryjnej ciszy, w nocy, gdy skupiał się na pracy. Pozostawał wówczas – jak to nazywał – „w świecie myśli”, i to było dla niego bardzo cenne. Wielokrotnie potem do tego „świata myśli” tęsknił. Ale była to raczej tęsknota za nauką niż Antarktyką. W jednej z relacji pisał: „Zostaliśmy postawieni w warunkach egzystencji całkowicie nienormalnych, stłoczeni wspólnie na niewygodnie wąskiej przestrzeni. Niektórzy stawiali się nerwowi, pobudliwi i bezsenni, a wyobrażenia nieustannie błędziła i śniła. Byłem jednym z nich”.

Oznacza to, że nie zniósł najlepiej pobytu w Antarktyce.

Arctowskiemu musiało być dodatkowo trudno, bo z jakichś przyczyn stał się dla kolegów podmiotem żartów.

D.B.: Niewątpliwie w przetrwaniu pomagało badaczom poczucie humoru. A Henryk nie był osobą łatwą w kontaktach. Johan Koren, asystent zoologa Emila Racovity, rysował zabawne historyjki, którymi opisywał konflikty między Arctowskim a innym polskim badaczem z „Belgiki” – Antonim Bolesławem Dobrowolskim, znacznie bardziej lubianym przez załogę. Arctowski, ku uciesze badaczy, był też bohaterem wielu karykatur, które tworzył z kolei sam Racovita. A właściwie nie tyle Arctowski był bohaterem, ile jego zadek, który na rysunkach Racovity pokazywał zmiany meteorologiczne – chmury, kierunek wiatru itd.

Z drugiej strony Roald Amundsen, rzadko wspominający osobowości z „Belgiki”, o Arctowskim pozostawił opinię, że to, czym zajmował się na statku, z powodzeniem mogłoby wykonywać czterech specjalistów. Dostrzegał więc pracowitość polskiego badacza. Ale faktycznie Henryk Arctowski, posępny, poważny, zdystansowany, często zmieniający nastroje, nie był dobrze postrzegany przez otoczenie. Jego studenci w Geofizyki i Meteorologii na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, choć go szanowali, mówili o nim „lodowy dziad”.

Z podziwu godnym zacięciem szukałyście odpowiedzi na pytanie, jaki był Arctowski, do tego stopnia, że posłużyłyście się opinią grafologa, dla mnie dość zaskakującą. Nie przypuszczałabym, że tyle można wyczytać z charakteru pisma.

K.D.: My też byłyśmy bardzo zaskoczone tym, czego dowiedziałyśmy się dzięki pani grafolog, która z zawodu jest także psychologiem. Kiedy się spotkałyśmy, od razu nam powiedziała, że nie chce nic wiedzieć o Hen-

ryku. Dostała więc od nas kilka fragmentów listów, pamiątek z młodości i starości Arctowskiego, przy czym wybrałyśmy treści neutralne, żeby informacji wynikających z tekstu było jak najmniej. Omijałyśmy te, gdzie Henryk pisze, że jego życie nie ma sensu, albo że nienawidzi żony, albo że ją kocha. Informacje, które otrzymałyśmy po analizie jego pisma, wykraczały daleko poza naszą ówczesną wiedzę i dotyczyły wielu sfer życia Arctowskiego, czasami bardzo intymnych i wręcz kontrowersyjnych. Nasza ekspertka nie mogła wiedzieć o tym, z jakimi problemami emocjonalnymi i zdrowotnymi zmagał się nasz bohater, jaki miał temperament i talenty, a jednak jej opinia bardzo pokryła się z tym, co z czasem odkrywałyśmy w różnych źródłach.

Wyprawa „Belgiki” była dla Arctowskiego trampoliną do sukcesu? Po wszystkim pozostał w Belgii, ale potwornie się tam męczył i w końcu, rozczarowany, wyjechał.
D.B.: Ta wyprawa umieściła Arctowskiego między takimi sławami jak Amundsen czy Nansen, dostał zatrudnienie w Królewskim Belgijskim Obserwatorium Meteorologicznym, ale rzeczywiście nie wykorzystał tej sytuacji tak, jak mógł. I to należy złożyć m.in. na karb jego słabych umiejętności interpersonalnych. Bo był to człowiek bardzo ambitny, niesamowicie pracowity, ale też łatwo go było obrazić.

Taki przykład: był już pracownikiem New York Library, gdy w 1919 roku wyjechał na Konferencję Pokojową do Paryża. Pod jego nieobecność rozdzielono dwa działy, którymi się zajmował, odebrano mu funkcję kierownika, został zastępcą, więc kiedy wrócił, wpadł w furję i zrezygnował z pracy. Stawiał sprawy na ostrzu noża. I gdy Belgia odmówiła mu tzw. wielkiej naturalizacji, czyli honorowego obywatelstwa przyznanego za zasługi, a w końcu Arctowski stworzył monumentalne dzieło – opracował większość materiałów naukowych z wyprawy do Antarktyki – przeżył ogromną frustrację. Musiał się ubiegać o belgijskie obywatelstwo jak szeregowy obywatel. Nic więc dziwnego, że kiedy je dostał, opuścił Europę i wyjechał do Stanów.

K.D.: On tego sukcesu nie odniósł także dlatego, że po zakończeniu wyprawy do Antarktyki jej uczestnicy bardzo szybko rozpoczęli kolejne projekty.

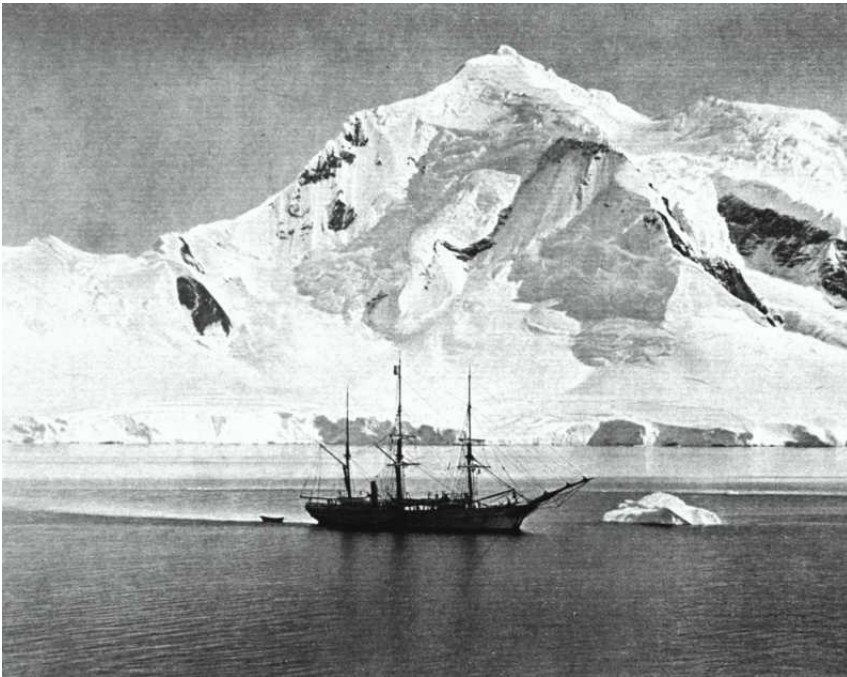
Amundsen szykował się do wyścigu na biegun południowy, inni obejmowali wysokie stanowiska, odbierali medale i nagrody, wydawali książki, a Arctowski – jako kierownik naukowy wyprawy antarktycznej – został z toną materiałów do opisania. Kiedy skończył tę pracę parę lat później, to ważniejsze były już inne polarne odkrycia. Więc on w tej swojej skrupulatności i perfekcjonizmie przeoczył moment popkulturowej chwały i śmietankę spili inni. Choć badania, które prowadził w Antarktyce, okazały się bardzo odkrywcze.

Badania zmian klimatycznych?

K.D.: Między innymi. Jego obserwacje meteorologiczne potwierdziły na przykład, że Antarktyka jest chłodniejsza, niż sądzono. Sporządził też mapę głębokości oceanu na podstawie dźwięków uzyskanych podczas dryfowania statku, wysunął hipotezę, która została potwierdzona, że pasmo południowych Andów jest analogiczne do tego z Archipelagu Grahama w Antarktyce itd. Zmiany klimatyczne obserwował jako jeden z prekursorów. Już potem, w Stanach Zjednoczonych, skupiał się na ich praktycznym aspekcie – jak wpływają na wydajność w rolnictwie. I cały czas walczył o granty na kolejne prace.

Żył raczej w niedostatku.

D.B.: Był naukowcem, jego żona Jane do domu Addy – śpiewaczką operową, to nie były zawody, które zapewniały stabilność finansową. Henryk w swoich pamiętnikach pisze, że brakuje im pieniędzy na opał, nie mają z czego zapłacić służącej, ciągle liczą pieniądze, a z drugiej strony, jako członkowie elity naukowej i artystycznej, muszą „bywać”, więc choć na wszystko brakuje,



• Statek badawczy „Belgica” w 1898 roku u wybrzeży Antarktydy. W tle szczyt Mount William na wyspie Antwerpia. Obok Henryka Arctowskiego (1871-1958) członkiem belgijskiej wyprawy był Antoni Dobrowolski (1872-1954)

FOT. WIKIPEDIA

„Musimy stale posuwać się naprzód, a historia nauczy nas, o ile ważniejsze są pokojowe podboje naukowe niż wszystkie wojny na zniszczenie toczone między narodami” Henryk Arctowski

to jadą do Londynu czy Paryża. Ostatnio dotarli do nas materiały ze Lwowa, o których myślałyśmy, że przepadły w czasie II wojny światowej, dotyczące pracy Henryka na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Pojawia się tam informacja, że prosi kasę uniwersytecką o udzielenie mu pożyczki na zakup odzieży zimowej. W przypadku profesora akademickiego jest to jednak uderzające, a przecież ten okres lwowski, międzywojenny, oceniamy jako najbardziej produktywny, najbardziej szczęśliwy w życiu Arctowskiego, który wreszcie osiągnął stabilizację. A jednak nawet tam mieszkał w wynajętym mieszkaniu.

K.D.: Wraz z wybuchem II wojny światowej, która zastała go na kongresie naukowym w Waszyngtonie, odpadła mu też możliwość otrzymywania emerytury. Dostawał niewielki zasiłek na przetrwanie, więc był 68-letnim profesorem, z ogromnymi osiągnięciami, który został właściwie z niczym, zaczynając po raz kolejny wszystko od nowa dzięki wsparciu ze Smithsonian Institution. I jeśli prosił o granty, to zawsze na badania naukowe, które prowadził w Ameryce prawie do końca życia. W jednym z jego listów, jeszcze sprzed II wojny światowej, znalazło się kategoryczne zdanie: „Pieniądze muszą się znaleźć”. Chodziło o stworzenie obserwatorium meteorologicznego na Kasprowym Wierchu. Arctowski zawsze walczył przede wszystkim o rozwój i wspieranie nauki. Sam zresztą to podkreślał: „Musimy stale posuwać się naprzód, a historia nauczy nas, o ile ważniejsze są pokojowe podboje naukowe niż wszystkie wojny na zniszczenie toczone między narodami”.

Czy to właśnie kłopoty finansowe miały wpływ na burzliwy przebieg jego małżeństwa?

D.B.: Kiedy Jane i Henryk się poznają, ich znajomość od razu ma bardzo intensywny charakter, pobierają się już po trzech miesiącach. Początki związku były burzliwe, oboje mieli trudne charaktery, a tu dodatkowo nastąpiło zderzenie romantycznej wizji z rzeczywistością. Jego praca, jej koncerty, brak pieniędzy. Natomiast z wielką ulgą czytałyśmy kolejne dokumenty z życia Arctowskich, które potwierdzały, że wspierali się nawzajem. Jane ostatecznie zrezygnowała ze swojej kariery, prowadziła działalność edukacyjną i dyplomatyczną, ich dom we Lwowie był nazywany ambasadą Zachodu. Uczyla studentów Henryka angielskiego, za co byli jej bardzo wdzięczni. Miała dla nich wiele serca, którego brakowało jej w stosunku do rodziny męża. Niemniej jednak to właśnie od jego dwóch krewnych otrzymałyśmy zdjęcie Henryka i Jane, chyba jedyne, na którym on się uśmiecha. Tak czy inaczej, wytrwali ze sobą do końca życia. I chcemy wierzyć, że była to nie tylko silna więź, ale też wielka miłość. Jane zresztą zmarła cztery miesiące po Henryku.

Nie mieli dzieci z wyboru?

D.B.: W pamiętnikach Henryk pisze, że Jane spóźnia się miesiączką, „tak że nowe problemy są na widoku”. Z dalszych wpisów wynika, że Jane poroniła, bo jej matka „nie chciała, żeby miała dzieciaka”. Podejrzewamy, że ambitni rodzice Jane stawiali na jej karierę artystyczną, chcieli, żeby została znaną śpiewaczką operową.

Ciekawe stanowisko jak na ówczesne stosunki rodzinne. Ale czy to znaczy, że matka skłoniła Jane do aborcji?

D.B.: Mogło tak być, ale oprócz tego cytatu nie mamy na ten temat żadnych informacji.

Co uznajecie za największy sukces Arctowskiego? Wyprawę „Belgiki”, starania o prowadzenie polskich badań w rejonach polarnych, badania nad klimatem w Smithsonian Institution w Stanach?

K.D.: Dla mnie największym sukcesem jego życia było to, że po prostu wytrwał w swoim powołaniu – badacza, naukowca, dla którego nauka jest całym życiem. Są zdjęcia, kiedy już jako staruszek siedzi nad wykresami, a w ostatnich listach do znajomego pisze: „Bądź pan zdrow i pracuj”. Mógł pójść drogą na skróty, na ustępstwa, może byłoby mu wtedy wygodniej żyć, ale tego nie zrobił. Kiedy umierał w 1958 roku w Stanach, odbywała się właśnie Wyprawa Transantarktyczna Brytyjskiej Wspólnoty Narodów „automobilami”, pod kierunkiem Hillary’ego i Fuchsa, i zastanawiam się, czy Henryk o tym wiedział. Czy wiedział, że te jego marzenia, które snuł 50 lat wcześniej, właśnie się spełniały.

D.B.: Eugeniusz Romer, geograf i przyjaciel Arctowskiego, napisał tekst „Kilka słów o nieznanym zasługach Henryka Arctowskiego”, czyli jego udziale w konferencji pokojowej w Paryżu. Henryk opracował wówczas bardzo szczegółowe raporty po angielsku, składające się z map, rycin, wykresów, danych liczbowych, które miały wykazać, że ziemie polskie znajdujące się w zaborze pruskim powinny zostać przyłączone do Polski, bo należą do niej zarówno historycznie, jak i pod względem językowym i kulturowym. I dla mnie jest to chyba największy sukces Henryka Arctowskiego.

Czyli patriotyzm?

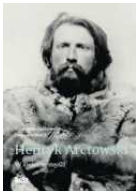
D.B.: Wydaje mi się, że jego największą miłością życia była Polska. To jej był najbardziej wierny, najbardziej oddany. Choć była to trudna miłość, bo kochał Polskę chyba bardziej niż ona jego. To, że zmienił nazwisko na Arctowski, także jest przejawem przywiązania do kraju.

Czy Polska doceniała Arctowskiego, przynajmniej w wymiarze naukowym?

D.B.: W polskim środowisku naukowym cień na historii Arctowskiego położył konflikt między nim a Antonim Bolesławem Dobrowolskim. Skądinąd to Henryk umożliwił Antoniemu uczestnictwo w wyprawie „Belgiki”, ale już w Antarktyce panowie się skonfliktowali. Później w polskim środowisku naukowym powstały dwa stronnictwa; mówiło się o szkole Arctowskiego i szkole Dobrowolskiego.

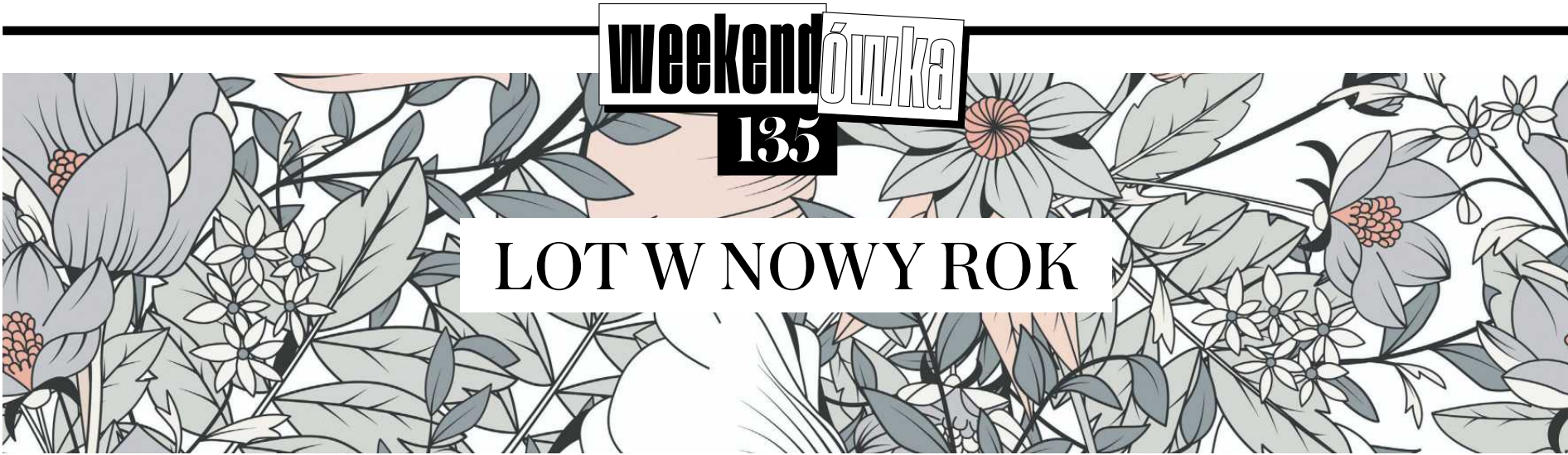
To, że Henryka nie było w Polsce, zadziało na jego niekorzyść. Przebiła się mocniej narracja Antoniego. Henryk jest dziś przede wszystkim nazywany polarnikiem, ale to tylko część jego dokonań, bo prowadził też przecież badania geofizyczne i działał na polu dyplomacji naukowej. I, owszem, powstała stacja imienia Henryka Arctowskiego na wyspie Króla Jerzego, mamy okręt hydrograficzny ORP „Arctowski”, jest kilka szkół i instytucji, które noszą jego imię, ale Arctowski jest znacznie bardziej doceniany na arenie międzynarodowej niż w Polsce. Na przykład National Academy of Science w USA co dwa lata przyznaje Medal Arctowskiego za badania związane z fizyką Słońca, czyli dla kontynuatorów tego, co Arctowski rzeczywiście robił w Stanach, w Smithsonian Institution. Dzięki temu, że biografia Henryka Arctowskiego ukazała się również w języku angielskim, liczyliśmy na jej szeroką recepcję również za granicą. ●

„Henryk Arctowski. W świecie myśli”



Katarzyna Dąbkowska, Dagmara Bożek

Wydawnictwo Bosz



Dwudziestego dziewiątego grudnia – choć można też spotkać się z datą 27 grudnia – 1928 roku, z połączenia prywatnych firm Aerolot (wcześniej funkcjonowała jako Polska Linja Lotnicza Aerolloyd) oraz Aero (w 1921 roku towarzystwo lotnicze Aero-Targ zorganizowało pierwszą polską linię lotniczą między Warszawą a Poznaniem) a także Śląskiego Towarzystwa Lotniczego powstał LOT, czyli Polskie Linie Lotnicze.

Decyzja, by powołać do życia państwowe- go przewoźnika, dojrzewała w gabinetach De- partamentu Lotnictwa Cywilnego w Minister- stwie Komunikacji od roku 1927. Oficjalnie Lin- je Lotnicze LOT sp. z o.o (potem Linje zmienio- no na Linie) rozpoczęły działalność 1 stycznia 1929 roku, kursami na trasach Warszawa – Byd- goszcz i Warszawa – Katowice. Potem doszły ko- lejne, m.in. do Lwowa, Łodzi i Poznania, a także pierwszy międzynarodowy – do Brna i Wiednia.

Pierwszym dyrektorem LOT-u został ma- jor Tomasz Turbiak, którego w 1930 roku zastą- pił mjr Wacław Makowski. To mjr Makowski, za sterami Lockheeda L-14H Super Electry do- konał w 1938 roku liczącego blisko 25 tys. km przelotu z Burbank k. Los Angeles do Warsza- wy. Od 1940 roku LOT planował regularne połą- czenia z USA.

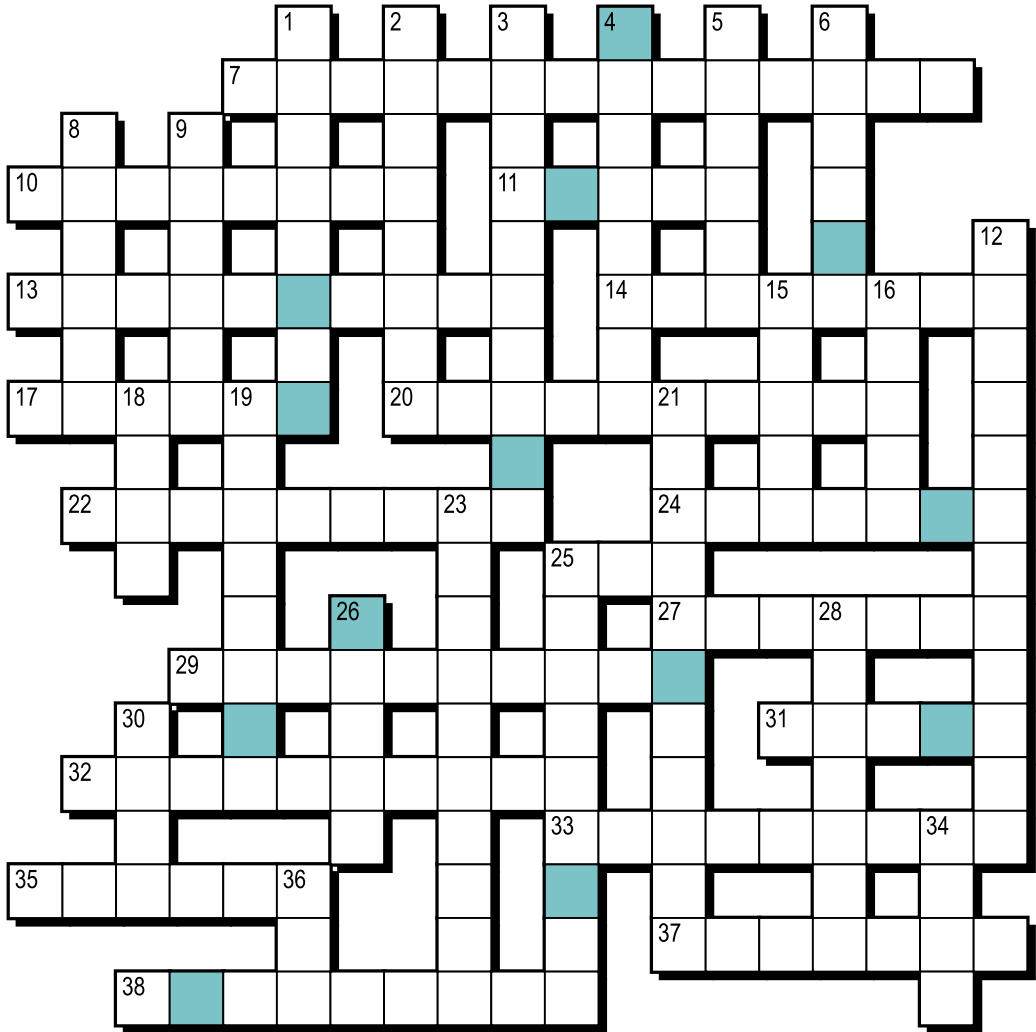
W pierwszym roku funkcjonowania LOT przewiózł blisko 16,5 tys. pasażerów. Główną bazą lotniczą było lotnisko na Polu Mokotow- skim (ruch pasażerski przeniósł się na Okęcie w 1935 roku).

LOT w 1930 r. został przyjęty do IATA – Sto- warzyszenia Międzynarodowego Transpor- tu Lotniczego, z nadanym kodem LO. Rok póź- niej na statecznikach samolotów Polskich Linii Lotniczych pojawił się charakterystyczny znak żurawia. Jego autorem był plastyk Tadeusz Gro- nowski, którego okazał się zwycięzcą ogłoszone- go konkursu na znak firmowy LOT-u.

Flota krajowego przewoźnika liczyła na po- czątku 21 maszyn. Były to głównie niemieckie Junkersy F 13 (latały na nich także wcześniej Ae- rolloyd i Aero) i Fokkery F.VIIa konstrukcji ho- lenderskiej. W latach 30. flotę unowocześniano, m.in. Junkersy 13 zastępowano nowocześniej- szymi Junkersami Ju-52, zakupiono też amery- kańskie DC-2 i Lockheedy L-10-A, w skład LOT- u weszły też konstrukcje rodzime: PWS-24 oraz RWD-5, osławiony przelotem przez Atlantyk, gdy za sterami siedział Stanisław Skarżyński.

Rok temu LOT świętował 95-lecie istnienia. Dziś, o krok bliżej setnych urodzin, zapraszamy Państwa do „Weekendówki” lotniczej. I rzecz ja- sna życzymy wszystkiego najlepszego w No- wym Roku!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



**KRZYŻÓWKA
WYSOKICH LOTÓW**

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 7)** bardzo pożądana cecha każdego samolotu
- 10)** cessny, casy lub airbusy
- 11)** ... kontroli lotów, górują nad lotniskami
- 13)** Black Hawk z wirnikiem nośnym i ogonowym
- 14)** cudowne ..., wyjście cało np. z katastrofy lotniczej
- 17)** bracia Orville i Wilbur, pionierzy lotnictwa
- 20)** bracia z określenia 17 poziomo
- 22)** ... powietrzna, wojska przerzucane przede wszystkim przy pomocy śmigłowców
- 24)** ptaki, które nie wiedzą, czym jest widok z lotu ptaka
- 25)** polskie tłumaczenie nazwy „Blackbird” przypisanej

samolotowi dalekiego zwiadu strategicznego firmy Lockheed, użytkowanemu w USA do końca lat 90.

- 27)** potocznie o silniku z wirnikiem łopatkowym
- 29)** Boeing 787
- 31)** blokowane elektronicznie, by nie otworzyły się podczas lotu
- 32)** ... na start lub na lądowanie (zgoda)
- 33)** urządzenie wyrzucające fotel z pilotem w przypadku awarii samolotu
- 35)** z ramą i ruchomymi trójkątnymi skrzydłami
- 37)** Wolfgang Petersen („Air Force One”) lub Robert Schwentke („Plan lotu”)
- 38)** ... wojenna, dysponuje lotniskowcami

Pionowo:

- 1)** przestarzałe o lotnisku
- 2)** wsiadła do samolotu i poleciała na wakacje
- 3)** serwuje nad chmurami
- 4)** ... lotnicze, pasażerskie lub towarowe
- 5)** zastona w oknie samolotu
- 6)** szersze i wygodniejsze w biznes class
- 8)** podejście samolotu do lądowania albo wykonanie skrętu przez lewe skrzydło
- 9)** ... B-17, nazywany Latającą Fortecą
- 12)** nauka kojarząca się z opływowymi kształtami samolotów
- 15)** Polskie ... Lotnicze LOT
- 16)** tło eskadr
- 18)** pierwszy „niedolotnik”
- 19)** jedno z lotnisk obsługujących Londyn
- 21)** projektuje nowe urządzenia, pojazdy
- 23)** Berlin – Lufthansa, Rejkjawił – ?

**Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 134 z 21.12:**

- Poziomo:** 3) Stronger
7) Ariana 8) Video 10) Shake It Off 11) Aerosmith
12) Walken 13) Umbrella
16) Like A Prayer 21) hit
23) Rihanna 24) Shakira
25) PSY 27) Alanis
28) George 29) Pink Floyd
30) skazańcy 31) Hello
32) teledyski

- Pionowo:** 1) Freedom
2) Nirvana 3) Spice Girls
4) Gabriel 5) Take On Me
6) Skyfall 9) Gotye
10) Sheeran 12) Wrecking
Ball 14) Australia 15) Perry
17) pałac 18) Guns N’ Roses
19) Rhapsody 20) Khalifa
22) Sabotage 26) seriale

HASŁO:
DESPACITO

- 25)** proces przemieszczania się ciepła w powietrzu, dobrze znany szybownikom
- 26)** moduł księżycowy, który 20 lipca 1969 r. osiadł na Morzu Spokoju
- 28)** skojarz: obszar, trójkąt, znikanie samolotów
- 30)** ... powietrzny, lotnicza trasa przewozowa
- 34)** O2
- 36)** ... przestworzy, mistrzowie akrobacji lotniczych

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację